R G B WH GR BL Grey Scale #13 C M Y K
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

Qu 123.858.

J. KACZANOWSKA i WŁ. WEYCHERT - SZYMANOWSKA

# OD NIEWOLNICTWA DO WYZWOLENIA CZŁOWIEKA PRACY

VI

PAŃSTWOWE ZAKŁADY WYDAWNICTW SZKOLNYCH
WARSZAWA 1949

Colour Chart #13
Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black
Centimetres Inches

Dd 123.858

J. KACZANOWSKA i WŁ. WEYCHERT - SZYMANOWSKA

# OD NIEWOLNICTWA DO WYZWOLENIA CZŁOWIEKA PRACY

VI

PAŃSTWOWE ZAKŁADY WYDAWNICTW SZKOLNYCH
WARSZAWA 1949

J. KACZANOWSKA i WŁ. WEYCHERT - SZYMANOWSKA

# OD NIEWOLNICTWA DO WYZWOLENIA CZŁOWIEKA PRACY

Cz. III

NAJEMNICTWO

PAŃSTWOWE ZAKŁADY WYDAWNICTW SZKOLNYCH
WARSZAWA 1949

OD NIEWOLNICTWA DO WYZWOLENIA CZŁOWIEKA PRACY

Cz. I — Niewolnictwo
Cz. II — Poddaństwo
Cz. III — Najemnictwo

Zatwierdzone do użytku szkolnego pismem Ministerstwa Oświaty nr VI Oc - 2486/47, z dnia 5 września 1947 r., jako książka polecona do bibliotek szkolnych, w szczególności do szkół i kursów dla dorosłych samouków.

Podpisano do druku dn. 27 IV 1949 Nakład 50 000 egz.
Arkuszy druk.: 15¾ Zarządz. 769 Zamówienie nr 2559
Papier druk. sat. 61 × 86 cm, 70 g, kl. VII

*Zakłady Graficzne Państw. Zakładów Wydawnictw Szkolnych w Łodzi*
229/48 — D - 04283

1949 D 2447/3

## NAJEMNICTWO

Jeśli kolebką ustroju opartego na poddaństwie jest wieś z gospodarką naturalną, to najemnictwo rodzi się w mieście w gospodarce pieniężnej. Robotnik za pracę otrzymuje pieniądze, z którymi sam musi sobie radzić. Nie jest poddanym przedsiębiorcy, nie doznaje od niego opieki, jest wolny poza miejscem i czasem pracy. Wolność tę doskonale uchwyciła Maria Konopnicka w wierszu *Wolny najmita:*

„Czegóż on stoi? Wszak wolny jak ptacy?
Chce, niechaj żyje, a chce, niech umiera.
Czy się utopi, czy chwyci się pracy,
Nikt się nie spiera."

Jest to wolność nędzarza, który sam nic nie może produkować, bo produkcja fabryczna wymaga pracy zespołowej. Robotnik ma tylko ręce do pracy. Brak mu warsztatu, narzędzi, surowców. Te są w ręku kapitalisty, który za swój pieniądz może dostać wszystko, może kupić siłę roboczą i postawić jej warunki, jakie zechce. Praca ludzka w okresie nieograniczonego zapotrzebowania jest towarem i dzieje się z nią to, co z każdym towarem. Jeśli rąk do pracy jest mało, to się je ceni wysoko, jeśli dużo — cena ich spada.

## Wolny najmita

Maria Konopnicka — (1842—1910), poetka z okresu po powstaniu 1863 r., opiewająca najboleśniejsze wówczas kwestie społeczne. Odczuwa ona głęboko krzywdę społeczną w ogóle. Wśród *Obrazków* poświęconych tej krzywdzie znajduje się podany niżej wiersz malujący los chłopa, który jako bezrolny najmita, wyrzucony z ziemi, opuszcza wioskę rodzinną. Jest to symbol wielkiej przemiany społecznej, która z dawnego poddanego uczyniła pozornie „wolnego" najmitę.

Wąską ścieżyną, co wije się wstęgą
Między pólkami jęczmienia i żyta,
Szedł blady, nędzną odziany siermięgą,
Wolny najmita.

I nigdy wyraz nie był dalszy treści,
Jak w zestawieniu takim urągliwym!
Nigdy nie było tak głuchej boleści
W jestestwie żywym!

Rok ten był ciężki: ulewa smagała
Srebrnym swym biczem wiosenne zasiewy
I ziemia we łzach zaledwie wydała
Słomę a plewy.

Z chaty, za którą zalegały podatki,
Wygnany, nędzarz nie żegnał nikogo...
Tylko garść ziemi zawiązał do szmatki
I poszedł drogą.

W powietrzu ciche zawisły błękity,
Echo fujarki spod lasu wschód wita...
Stanął i otarł łzę połą swej świty,
Wolny najmita!

Wolny, bo z więzów, jakimi go przykuł
Rodzinny zagon, gdzie pot ronił krwawy,
Już go rozwiązał bezduszny artykuł
Twardej ustawy...

Wolny, bo nie miał dać już dzisiaj komu
Świeżego siana pokosu u żłoba;
Wolny, bo rzucić mógł dach swego domu,
Gdy się podoba...

Wolny, bo nic mu nie cięży na świecie,
Kosa ta chyba, co zwisła z ramienia,
I nędzny łachman sukmany na grzbiecie,
I ból istnienia...

Wolny, bo jego ostatni sierota,
Co z głodu opuchł na wiosnę, nie żyje...
Pies nawet stary pozostał u płota
I z cicha wyje...

Wolny! — Wszak może iść albo spoczywać,
Albo kląć z zgrzytem tłumionej rozpaczy,
Może oszaleć, i płakać, i śpiewać —
Bóg mu przebaczy...

Może zastygnąć jak szrony od chłodu,
Bić głową w ziemię, jak czynią szaleni...
Od wschodu słońca do słońca zachodu
Nic się nie zmieni.

Ubogi zagon u nędznej twej chatki
I mokrą łączkę, i mszary, i wrzosy
Obsadzi urząd... podatki! podatki!
Ty idź do kosy!

Idź! idź! Opłatę do kasy wnieść trzeba,
Choć jedno ziarno wydadzą trzy kłosy
I choć nie zaznasz przez rok cały chleba...
Idź, idź! do kosy!

Czegóż on stoi? Wszak wolny jak ptacy?
Chce — niechaj żyje, a chce — niech umiera!

Czy się utopi, czy chwyci się pracy,
Nikt się nie spiera . . .

I choćby garścią rwał włosy na głowie,
Nikt się, co robi, jak żyje, nie spyta . . .
Choćby padł trupem, nikt słówka nie powie . . .
— Wolny najmita!

# WCZESNY KAPITALIZM

## Walka miast z systemem feudalnym

M. Beer: *Historia powszechna socjalizmu i walk społecznych* (W przekładzie na język polski wydana w Warszawie w 1923 r.).

Rozkład średniowiecza wyniknął z rozwoju nowych form gospodarczych i odbywał się wśród gwałtownych walk wewnętrznych już od XIV w. Przedstawicielami nowej gospodarki były miasta i dlatego musiały one walczyć z systemem feudalnym.

Nowa gospodarka czuła się skrępowana systemem feudalnym. Potrzebna jej była dla ludności wolność przenoszenia się z miejsca na miejsce, swoboda kupna i sprzedaży, swoboda w wyborze rzemiosła i w wynajmowaniu się dowolnemu pracodawcy. System feudalny opierał się na skrępowaniu, na użyczaniu gruntu i udzielaniu ochrony wojskowej w zamian za świadczenia.

System ten przykuwał do roli wielkie masy chłopów, nakładając na nich ciężary, które nie pozwalały im nabywać i użytkować towarów wyrabianych w mieście. Innymi słowy system feudalny hamował dopływ robotników do miast i znacznie zmniejszał popyt na towary miejskie. Toteż miasta starały się o zniesienie poddaństwa, pańszczyzny i dawały

chłopom schronienie. Dawały im coś więcej jeszcze: rynek zbytu dla produktów wiejskich, co umożliwiało chłopu wykupienie się, jeśli pan potrzebował pieniędzy. A szlachta musiała mieć pieniądze na broń, na zbytek, na podróże, zwłaszcza od czasu, gdy wojny krzyżowe otworzyły przed nią świat i zapoznały ją z jego rozkoszami.

Nie tylko praca i spożycie traciły na skutek systemu feudalnego. Cierpiała na tym i wytwórczość, gdyż właściciele gruntów posiadali s u r o w c e potrzebne dla przemysłu miejskiego. Obszarnicy mieli lasy, a więc drewno i futra; trzody, a więc skóry i wełnę; na ich polach rósł len i konopie — słowem rozporządzali surowcami, bez których nie ma przemysłu. Wreszcie panowie feudalni, świeccy i duchowni, pobierali o p ł a t y d r o g o w e, m o s t o w e i utrudniali, a nawet m o g l i z a h a m o w a ć k o m u n i k a c j ę.

Tak więc w a l k a m i a s t z s y s t e m e m f e u d a l n y m w y n i k ł a z m o n o p o l u o b s z a r n i k ó w na s i ł ę r o b o c z ą, na s u r o w c e i na d r o g i k o m u n i k a c y j n e i była nieodzowną koniecznością przy zmianie warunków gospodarczych i kulturalnych.

## Owce pożerają ludzi

F. G. Łoziński: *Historia pracy w związku ze zmianami w życiu gospodarczym Europy zachodniej*

F. G. Łoziński — nauczyciel historii w Szkole Pracy w Leningradzie od roku szkolnego 1918/19. Jego książka *Historia pracy w związku ze zmianami w życiu gospodarczym Europy zachodniej*, napisana w r. 1920, jest w ZSRR pierwszą próbą tego rodzaju popularnego podręcznika dla szkół i samouków. Tytuł artykułu zapożyczony jest od szlachetnego marzyciela XVI wieku Tomasza Morusa, który napisał *Utopię*, obraz szczęśliwego życia na wyspie przez siebie wymyślonej. Wyrazu *utopia* używa się dziś dla nazwania marzeń nierealnych.

Wielkie odkrycia geograficzne — (Ameryki i drogi do Indii) w XV i XVI w. odbiły się na stosunkach handlowych

i przemysłowych Europy. Nie Morze Śródziemne, lecz Ocean Atlantycki stał się teraz główną drogą morską. W związku z tym zamiast miast włoskich, dawnych potęg handlowych, wzbogacały się Hiszpania i Portugalia, a w Holandii i Anglii rozwinął się nie tylko handel, ale i przemysł. Im bardziej wchodziły w użycie produkty zamorskie, tym więcej własnych fabrykatów trzeba było wytwarzać na wymianę.

Od dawna słynęła wełna angielska, którą przerabiano we Flandrii na doskonałe sukno. W połowie XV w. Anglia zrozumiała, że traci na wywożeniu surowca, który można by przerabiać na miejscu. Sprowadzono z Niderlandów tkaczy, którzy zaczęli sukno wyrabiać w Anglii tak, że wkrótce starczało nie tylko na potrzeby miejscowe, ale i na wywóz. Przemysł sukienniczy stał się jednym z najrentowniejszych w Anglii. Wtedy rzucono hasło zamiany pól ornych na łąki dla owiec; mówiono, że kopyto owcze zamienia piasek w złoto. Proces ten był bardzo gwałtowny i łączył się z wysiedlaniem włościan siedzących na ziemi jako dzierżawcy krótkoterminowi lub nawet wieczyści. Dokument z r. 1489 stwierdza, że w wioskach, w których z trudem uprawiało rolę 200 ludzi, teraz potrzeba było 2, 3 pastuchów. „Owce pożerają ludzi" — woła szlachetny marzyciel, Tomasz Morus, autor *Utopii*. Wyrzuceni raptownie i zmuszeni do zmiany warunków życiowych włościanie, nie zawsze znajdujący pracę w przemyśle, stawali się włóczęgami i żebrakami, najczęściej z musu.

Rząd znalazł na to jedyną radę: krwawe prawa przeciw włóczęgom (w XVI wieku), których prawodawstwo uważało za przestępców dobrowolnych przypuszczając, iż od nich tylko zależało znalezienie pracy w nieistniejących już warunkach życiowych.

Obszarnicy, którzy się teraz stali przemysłowcami, w pogoni za zyskiem starali się zdobyć jak najwięcej ziemi. Reformacja religijna pozwoliła brać katolickie ziemie klasztorne i kościelne. Zostały one rozdarowane przez królów i sprzedane za grosze. Poza tym pan zabierał na własność gminne pastwiska

dawniej służące wszystkim. Teraz pan ogradzał je nie dając przystępu do nich włościanom. W XV i XVI w. mnóstwo jest procesów o te ziemie ogrodzone, ale sądy najczęściej przyznają rację silniejszym, tj. panom, i gminy tracą grunta.

Jeszcze w połowie XVI w. Anglia była krajem przeważnie rolniczym i nie pracowała dla handlu zagranicznego. Ale pomału stawała się krajem przemysłowym, który zdobywał coraz więcej rynków w świecie. Przyczyniła się do tego emigracja protestantów prześladowanych w innych krajach. W r. 1567 z Niderlandów, które były wówczas pod panowaniem katolickiego fanatyka, króla hiszpańskiego Filipa, przepłynęło do Anglii około 100 tys. ludzi. W r. 1572, po tzw. nocy św. Bartłomieja, tj. po okrutnym wymordowaniu protestantów w Paryżu, uciekły do Anglii gromady tzw. hugonotów. W sto lat później, w XVII w., po zniesieniu przez Ludwika XIV edyktu nantejskiego, który hugonoci dostali od tolerancyjnego króla Henryka IV, znów popłynęła fala około 75 tys. emigrantów do Anglii. A byli to przeważnie rzemieślnicy i przemysłowcy. Wprowadzili oni nowe gałęzie przemysłu, np. wyrób koronek, batystu, aksamitu, zwierciadeł, okrętów. Tym sposobem dopływ ludzi prześladowanych religijnie bardzo wydatnie przyczynił się do rozbudowy przemysłu angielskiego, wzmacniając tendencje narodu popierane przez państwo dążące do podniesienia przemysłu i handlu.

## Praca przymusowa w zaraniu kapitalizmu

### Edward Abramowski: *Feudalizm*

Edward Abramowski 1868—1918. Filozof i socjolog kierunku marksistowskiego. Jego dzieło *Feudalizm* jest próbą zastosowania marksistowskiej teorii materialistycznego pojmowania dziejów do średniowiecznej historii Europy zachodniej. W poniżej podanym urywku autor tłumaczy, dlaczego w XVI i XVII w. wydano okrutne prawa przeciw włóczęgom.

Kupno siły roboczej na rynku jest warunkiem powstania i rozwoju przemysłu; od stopnia wyzysku tej siły zależy

bezpośrednio wzrost kapitałów i wielkość zysków pieniężnych burżuazji przemysłowej. Tak więc najgłówniejszym interesem klasowym burżuazji jest możliwie największy wyzysk najemnej siły roboczej — minimum płacy, maksimum dnia roboczego.

W pierwszym okresie kapitalizmu warunki przejściowe, mieszczące się jeszcze w klatce praw feudalnych, nie sprzyjają zupełnie interesom klasowym burżuazji. Nie ma jeszcze tej „cudownej harmonii" procesów społecznych, która wszystko dopasowuje do potrzeb kapitału; cała masa chłopstwa siedzi na swych zagonach, szlachta trzyma się swych dworów, cechy gromadzą masy czeladników. Tworzenie się proletariatu jest jeszcze ograniczone. Na rynku pracy nie widać tłumów dobijających się zarobku, depczących jeden po drugim, gotowych za byle co oddać się w jarzmo kapitału. Nie rozwinęła się jeszcze ta potężna walka o byt, w której wielkie kapitały rujnują tysiące drobnych producentów, wyrzucając na rynek masy zbankrutowanych jako nowe zastępy proletariatu. Zastępów tych jeszcze nie ma. Kapitały zaczynają dopiero swe życie i muszą zadowalać się tą liczbą proletariatu, którą dostarcza im na rynek pieniężny apetyt szlachty i wzrost absolutyzmu królewskiego. Nadmiaru rąk wolnych nie ma, często nawet burżuazja odczuwa ich brak. Produkcja kapitalistyczna manufakturalna, nie znająca jeszcze maszyn, wymaga znacznej ilości robotników; rynek ledwie może nastarczyć tym zapotrzebowaniom. Przy tym powoli nagromadzający się proletariat ma prócz manufaktur drugie ujście — nową państwową armię. Cała masa wyrzuconych chłopów, zwolnionych ze służby żołnierzy feudalnych, dworaków pańskich, którzy stracili stanowiska, odkąd panowie przenoszą się do stolicy lub bankrutują — cała masa tych ludzi szuka kariery w służbie wojskowej, a powstająca w tym okresie armia państwowa chłonie te masy czyniąc straszną konkurencję przemysłowi. Mała stosunkowo do potrzeb kapitału podaż wolnej pracy ogranicza rozwój produkcji kapitalistycznej, powoduje drożenie siły roboczej.

Ten brak naturalnych warunków burżuazja stara się zastąpić sztucznymi. Już w wieku XV i XVI burżuazja na zachodzie Europy zajmuje w społeczeństwie wpływowe stanowiska. Rozwijający się absolutyzm i państwo potrzebują ciągle jej pieniędzy. Nowa produkcja kapitalistyczna zyskuje coraz większą przewagę na rynku.

Rządy są skłonne wspierać interesy burżuazji — muszą bowiem liczyć się z jej siłą i potrzebują jej względów, szczególnie w Anglii i Francji, gdzie wzrasta ona najszybciej. O ile tam, gdzie chodzi o antagonizmy burżuazji z feudałami, burżuazja nie jest jeszcze taką potęgą, by rząd stawał po jej stronie, o tyle tam, gdzie chodzi o jej stosunek do proletariatu — ma zupełne poparcie rządu, bo z proletariatem jeszcze nikt się nie liczy.

Pod wpływem więc burżuazji powstają różne prawa mające na celu umożliwić przemysłowcom jak największy wyzysk wolnych robotników. Sztucznie usiłuje burżuazja zwiększyć podaż siły roboczej. W tym celu wydawane są w Anglii i Francji *Prawa przeciw włóczęgom*. Naturalna podaż jest zbyt mała — burżuazja nie waha się więc ściągnąć przemocą do swych manufaktur wszelkiego rodzaju żebraków i włóczęgów różnego wieku i płci. Nie ulega wątpliwości, że masy przepędzonych chłopów wolały torbę żebraczą, niż straszną pańszczyznę kapitalistycznych rękodzielni, których sława była dość rozpowszechniona, by wielu odstraszyć. Zawsze zresztą zjawia się masa ludzi skłonnych do włóczęgi, życia nędznego z dnia na dzień, lecz z zupełną swobodą i rozkoszą próżniactwa. Szczególnie potok włóczęgostwa wezbrał, gdy znalazło się mnóstwo ludzi wykolejonych i niezdolnych do nowych warunków życia i pracy, gdy gospodarczy i społeczny przełom gwałtownie wyrzucał ludzi z ich dotychczasowego otoczenia, wyrywał ich ze środowiska, z którym się zrośli. Dla wielu przystosowanie się do nowych warunków było zupełnie niemożliwe — jedyna rzecz, jaka im pozostawała, to była włóczęga i żebranina. Z tych to elementów chciała burżuazja gwałtem i przemocą stworzyć swoją armię roboczą i zwiększyć tym sposobem podaż pracy

na rynku. Dążności tej odpowiadały wydane prawa. Okrucieństwo ich charakteryzuje dobrze burżuazję, która dla potrzeb kapitału nie cofa się przed niczym i wszystkie swoje idee do nich tylko przystosowuje.

W Anglii prawo z roku 1530 głosi: „Włóczędzy są skazywani na chłosty i więzienie. Przywiązani do wózka, mają być chłostani, aż dopóki krew nie tryśnie z ciała. Następnie muszą złożyć przysięgę, że powrócą czy to do miejsca swego urodzenia (na którym rosła przemoc pańska!), czy tam, gdzie mieszkali przez ostatnie trzy lata — i znowu wezmą się do pracy". Prawo z roku 1547 wydane przez Edwarda VI idzie jeszcze dalej i nakazuje, by każdego unikającego pracy przysądzano jako niewolnika temu, kto go zadenuncjował (denuncjatorem bywał oczywiście „burżua"). Pryncypał powinien karmić niewolnika chlebem i wodą, i dawać mu od czasu do czasu według swego uznania jakikolwiek słaby trunek i odpadki mięsa. Ma on prawo zmuszać knutem i łańcuchem do robót najbardziej odrażających (do których wolni nie chcieli się najmować). Jeżeli niewolnik zbiegnie, skazuje się go na wieczne niewolnictwo i piętnuje literą „S" na czole i policzku rozpalonym żelazem. Po trzeciej ucieczce tracą go jako zdrajcę. Pryncypał może go sprzedać, zapisać testamentem lub wynająć komu innemu jak martwy sprzęt lub bydlę. Niewolnicy spiskujący przeciw pryncypałowi mają być karani śmiercią.

Pierwszy lepszy ma prawo zabierać dzieci włóczęgów i trzymać je u siebie w terminie: chłopców do lat 20, dziewczęta do lat 24. Jeżeliby usiłowali uciec, stają się do odpowiedniego wieku niewolnikami pracodawcy, który ma prawo samowolnie okuć ich w kajdany, chłostać itp. Każdy pryncypał może włożyć obrożę żelazną na szyję, nogę lub rękę niewolnika dla większej pewności i łatwiejszego rozpoznania.

Prawo Elżbiety z roku 1572 ustanawia, że żebrzący bez pozwolenia i starsi nad 14 lat powinni być surowo chłostani i piętnowani rozpalonym żelazem na lewym uchu, jeżeli nikt nie chce ich wziąć do siebie na dwuletnią służbę. W razie powtórzenia ci, którzy mają ponad 18 lat, powinni być karani śmier-

BIBLIOTEKA NARODOWA

cią, jeżeli nikt nie chce ich wziąć do służby. Za trzecim razem są karani bez litości śmiercią, jako zdrajcy państwa.

Podobne prawa tworzy burżuazja w Niderlandach (dzisiejszej Holandii i Belgii) w połowie wieku XVI. We Francji dopiero za Ludwika XIV (w wieku XVII) wydane jest prawo, że każdy zdrowy człowiek w wieku od lat 16 do 60, zatrzymany bez środków utrzymania i stałego zajęcia, wysyłany zostaje na galery.

Jak za pomocą dzikich praw przeciwko włóczęgostwu usiłuje burżuazja sztucznie zwiększyć podaż pracy, tak samo stara się o prawa ograniczające płacę do minimum. Udaje jej się to w Anglii, gdzie prawo takie przetrwa do roku 1813.

Dalej burżuazja żąda od państwa prawnego ograniczenia liczby dni świątecznych do niedzieli i tylko niektórych świąt. Za pomocą takich sztucznych środków usiłuje ona podnieść do maksimum stopę wyzysku w braku tych naturalnych procesów, które pozwolą jej potem doprowadzić wyzysk do ideału bez pomocy przymusu prawnego. Wtedy będzie ona zażartym szermierzem „swobody". Lecz stanie się to dopiero w okresie wielkiej rewolucji francuskiej, gdy wolność człowieka pracy szła na rękę przemysłowcom potrzebującym robotników.

## Manufaktura

Nina Assorodobraj: *Początki klasy robotniczej*

Nina Assorodobraj, profesor socjologii na Uniwersytecie Warszawskim.

Główną trudnością, z którą borykać się musiał wszędzie przemysł w początkowym okresie, było nieprzystosowanie robotnika przedkapitalistycznego do pracy typu manufakturowego i fabrycznego.

Manufaktura zastała określony typ rzemieślnika czy robotnika, będącego wytworem warunków społecznych zgoła odmiennych od tych, które stwarzał rodzący się industrializm [1]).

[1]) Uprzemysłowienie

Między sposobem życia i pracy robotnika odziedziczonym po minionych wiekach a tym, którego wymagał od niego manufakturzysta czy fabrykant, wyraziciel i rzecznik nowego systemu produkcji, zachodziła sprzeczność zasadnicza i jaskrawa, sprzeczność nie do uniknięcia, sprzeczność, która musiała być usunięta, by manufaktura mogła istnieć, rozwijać się, działać i przekształcać w nowoczesną fabrykę.

Na czymże polegała owa sprzeczność i niemożność, a najczęściej niechęć do przystosowania się i wciągnięcia w system pracy manufakturowej ówczesnych ludzi pracy? Wystarczy uprzytomnić sobie w zasadniczych zarysach charakter pracy rzemieślnika, czeladnika i wyrobnika w zestawieniu z charakterem pracy manufakturowej, by zdać sobie sprawę z całej odmienności systemu pracy i sytuacji społecznej, którą stwarzało kapitalistyczne przedsiębiorstwo przemysłowe dla robotnika.

Rzemieślnik samodzielny był w zasadzie panem swego warsztatu, swej pracy i wytworu pracy. Produkt, który wytwarzał, był w całości tworem jego rąk i mimo rutyny i silnego tradycjonalizmu cechującego rzemiosło dawał ujście indywidualnej twórczości i możliwości niemal artystycznych osiągnięć. Kwalifikacje rzemieślnika polegały na zdobyciu wszechstronnej sprawności poprzez terminowanie, pracę czeladniczą oraz sztukę majsterską w danej, ograniczonej ściśle, gałęzi produkcji. Rzemieślnik był przede wszystkim panem swego czasu: zarówno pracy, jak odpoczynku, zarówno tempa, jak rytmu roboty. Pracował na zamówienie dla klienta, którego najczęściej znał i z którym pozostawał w stosunkach sąsiedzkich, na termin ustalony umownie. Kontakt[1]) z konsumentem stwarzał poczucie odpowiedzialności za produkt wytworzony przez rzemieślnika od początku do końca.

Warsztat rzemieślniczy pozostawał w ścisłej łączności z gospodarstwem ro-

[1]) Zetknięcie się, znajomość

Biblioteka Wojsk. Akad. Polit.

dzinnym, pod względem przestrzennym najczęściej nie oddzielony od izby mieszkalnej. Rzemieślnik jest jednocześnie ojcem rodziny, przedsiębiorcą, pracownikiem technicznym, właścicielem warsztatu i małego kapitału, nauczycielem rzemiosła. Życie rodzinne i życie warsztatu wzajemnie się pokrywają.

Prowadzenie warsztatu nie wymaga wielkiej przedsiębiorczości ani ryzyka. Ryzyko usuwają ustawy cechowe stwarzające jednakowe szanse i możliwości pracy i poziomu życia dla wszystkich członków cechu. W ramach ustaw cechowych rzemieślnik czy to osiadły, czy też wędrowny jest sobie panem, jest samodzielny, jest twórcą lepszym czy gorszym całości przedmiotów, które należą do jego specjalności.

Nie wszyscy rzemieślnicy znajdowali się w wyżej scharakteryzowanej sytuacji społeczno-gospodarczej. Należy rozróżnić rzemieślników-majstrów od rzemieślników-czeladników. Wzajemny stosunek tych dwóch grup układał się różnie w ciągu wieków. W Europie zachodniej w okresie nowożytnym ogromnie pogłębiły się różnice pomiędzy majstrami a czeladnikami, zarówno różnice gospodarcze, jak społeczne, w związku z tendencją cechów, aby utrudnić wyzwolenie na mistrza, i z szeregiem nadużyć, które przekształcały powoli cech w organizację zamkniętą dla ludzi nowych, nie będących członkami rodzin majstrów. Coraz częstszy był typ „wiecznego czeladnika".

Jednakże mimo niższości społecznej i zależności gospodarczej czeladnik pracował w warunkach podobnych, jeśli nie tych samych, co majster. Pracował z majstrem w jednym warsztacie, wykonywał produkt od początku do końca, znał konsumenta, dla którego pracował. Ponieważ najczęściej mieszkał i jadał u majstra, stawał się domownikiem. Czeladnik pracujący u majstra przez czas dłuższy zespalał się z warsztatem i solidaryzował się z nim. Należał do tego samego cechu, co majster. Miał związek czeladniczy i gospodę czeladniczą. Rzecz oczywista, że podlegał rozkazom majstra. Z tym wszystkim jednak czeladnik miał pewną wolność poruszania się, miał moż-

liwości wyładowania temperamentu i fantazji, właściwych młodzieży rzemieślniczej, a uświęconych parowiekową tradycją.

Wyrobnik był naprawdę panem swego czasu i pracy. Pracował ciężko, ale wtedy, gdy chciał; nie obce mu były okresy dobrowolnego bezrobocia. Pracował dorywczo. Z chwilą gdy kończył pracę, do której się zgodził, stawał się człowiekiem niezwiązanym.

* * *

Manufaktura stwarzała zupełnie odmienny pod względem charakteru i organizacji typ pracy. Odmienność nie polegała na zmianie techniki produkcji, która by nastręczała trudności. Robotnicy manufakturowi pracują ręcznie i sposobami rzemieślniczymi. Praca w manufakturze przybiera jednak zupełnie inną postać, inną organizację i odbywa się w atmosferze zgoła odmiennej od pracy w samoistnym warsztacie rzemieślniczym. Robotnik w manufakturze jest robotnikiem cząstkowym, to znaczy, że nie wykonywa jak rzemieślnik całego procesu produkcji od początku do końca według indywidualnych zdolności i indywidualnego tempa pracy, lecz stale jedną część tego procesu. Proces produkcji zostaje podzielony na szereg czynności cząstkowych, a robotnicy, przydzieleni do cząstkowej pracy rzemieślniczej, specjalizują się w niej.

Ten podział pracy, charakterystyczny dla manufaktury, dokładnie w swych przejawach i skutkach zanalizowany przez Marksa, zmienia zasadniczo pracę robotnika manufakturowego i określa kwalifikacje zarówno techniczne, jak i psychiczne[1]), których wymaga od niego kapitalista. Rzemieślnicza wszechstronność techniczna staje się niepotrzebna, opanowanie w szczegółach procesu produkcji — nieużyteczne dla manufaktury. Kwalifikacje techniczne robotnika manufakturowego polegają na nabyciu sprawności, szybkości, precyzji, równości pracy w tej czynności cząstkowej, do której zostaje przydzielony i przy której jest przeważnie zatrudniony stale. Podział

[1]) Duchowe

pracy i wynikające z niego uproszczenia w kwalifikowaniu robotnika umożliwiają kapitaliście użycie do pracy w manufakturze kobiet, dzieci i niewykwalifikowanych wyrobników, którzy z pracą przemysłową nie mieli poprzednio nic wspólnego. Stwarza on także hierarchię[1]) robotników zależnie od wagi i skomplikowania czynności wykonawczych. Prace cząstkowe, sprowadzone przy dalej posuniętym podziale pracy do czynności mechanicznych, pozwalają z jednej strony na szybkie nabycie sprawności technicznej, z drugiej stwarzają miejsce dla robotników niewykwalifikowanych, dla których nie byłoby miejsca w rzemieślniczym trybie produkcji. Doskonałość i mistrzostwo rzemieślnicze w wykonaniu produktu przechodzi w manufakturze na „robotnika zbiorowego" (jak mówi Marks), złożonego z tych wszystkich robotników cząstkowych, jednostronnych, wyspecjalizowanych, zmechanizowanych, stanowiących jedno ciało spółdzielcze.

Podział pracy narzuca proporcję pomiędzy różnymi grupami robotników, np. odpowiednia liczba gręplarzy i prządek na jeden warsztat tkacki. Wykonanie pracy jednej grupy robotników uzależnia od siebie pracę innej grupy.

Robotnik jako jednostka zostaje oddzielony od wytworu pracy i pozbawiony, rzec by można, myślowego wysiłku i wzruszeniowego stosunku, które towarzyszą pracy samodzielnego pracownika. W manufakturze jest on podporządkowany całkowicie władzy, woli, kierownictwu kapitalisty, w którego interesie leży prawidłowe funkcjonowanie mechanizmu zbiorowego. Musi zachowywać się tak, jak tego wymaga interes całości, i poddać się nieubłaganym konsekwencjom zespołowej organizacji pracy.

Jakież są te konsekwencje?[2]).

Jako część organicznej całości, w której wszystkie części są współzależne i zazębiają się o siebie, robotnik musi pracować „z regularnością cząstki maszyny" (jak mówi Marks).

[1]) Stopniowanie znaczenia
[2]) Następstwa

Musi więc pracować równo pod względem tempa i jakości pracy, przy czym zarówno tempo, jak i jakość są uzależnione całkowicie od woli kierowniczej i rytmu całości. Praca robotnika mechanizuje się, „odczłowiecza", poddana rytmowi całości. Idzie o to, by robotnik odrabiał swój przydział z szybkością wymaganą przez całokształt produkcji, z precyzją i z wykluczeniem indywidualnych odchyleń w pracy, by produkcja w manufakturze mogła odbywać się bez zahaczeń. Załoga robotnicza, a więc także poszczególni robotnicy muszą pracować bez przerw samowolnych, bez tracenia czasu. Praca w rękodzielni jest ciągła, monotonna, powtarzająca się z dnia na dzień, jednostajna, zmechanizowana, ujęta w karby żelaznej dyscypliny. Dyscypliną musiał przedsiębiorca utrzymywać w harmonii poszczególne człony mechanizmu zbiorowego oraz wdrażać robotnika do karnej, równej, pozbawionej indywidualizmu i fantazji pracy, w poczuciu organicznego związku z całością. Urobiona, zgrana, pracująca dobrze załoga robotnicza w manufakturach była ceniona i chroniona przed wszelkimi możliwościami rozejścia się. Manufakturzysta szedł na ustępstwa, przepłacał lub przymuszał, lecz nie zaniechał żadnych sposobów utrzymania załogi robotniczej w niezmienionym składzie.

Historia okresu manufakturowego we wszystkich krajach dostarcza bogatego materiału faktycznego charakteryzującego atmosferę i żelazną dyscyplinę w pracy. Regulaminy obejmowały zarówno życie zawodowe, jak i prywatne robotnika. Należałoby raczej powiedzieć, że likwidowały to drugie. Robotnicy najczęściej byli skoszarowani i żywieni przy manufakturach oraz przywiązani do nich surowymi zakazami opuszczania przedsiębiorcy. Godziny pracy były ściśle określone i wynosiły 14—16 na dobę. Pod żadnym pretekstem nie było wolno wchodzić do innego warsztatu w obrębie manufaktury, a nawet spacerować po własnym. Za nieprzyjście do pracy płaciło

się kary, za samowolne opuszczenie warsztatu groziły kary cielesne i więzienie. Robotnicy manufaktury w St. Gobain [4]) we Francji np. nie mieli prawa oddalać się od miejsca pracy więcej niż o milę pod bardzo surowymi karami. Szczególnie ostre regulaminy obowiązywały w manufakturach francuskich w XVII wieku. Były one odczytywane w kościele oraz w warsztatach fabrycznych.

We wszystkich manufakturach robotnicy pracowali pod okiem przedsiębiorcy i odpowiednich urzędników, gdyż dzięki nadzorowi polepszała się jakość produktu. Przedsiębiorstwa mieściły się w obszernych budynkach o wyglądzie koszar, klasztorów lub fortec, otoczonych często fosą, jak np. w Bordeaux lub Tourbeville [1]) we Francji. Bramy były zamykane o 8 lub 10 godzinie wieczór i otwierane wczesnym rankiem. Podczas pracy, którą rozpoczynano znakiem krzyża, robotnikowi nie wolno było odrywać się od zajęcia. Narzędzia i materiał do pracy miał pod ręką. Cisza była zasadą bezwzględnie obowiązującą; dozwolone było tylko śpiewanie pieśni religijnych, które grały zresztą rolę regulatora tempa i rytmu pracy. Nie wolno było przechodzić z warsztatu do warsztatu, rozmawiać, opowiadać, palić. Za przekroczenia płaciło się karą. Czas pracy w manufakturze był często określony z góry na 5—6 lat. Robotnicy, którzy porzucali swoje warsztaty, traktowani byli tak samo, jak dezerterzy wojskowi.

Któraż z istniejących w społeczeństwie przedindustrialnym grup społecznych stanowić mogła materiał ludzki dla powstającej i rozwijającej się rękodzielni typu kapitalistycznego? Przerobienie rzemieślników na robotników przedsiębiorstwa kapitalistycznego i zdyscyplinowaną cząstkę organizmu zbiorowego napotykało na trudności ogromne. Sposób pracy i życia rzemieślnika, który nie chciał się nagiąć do nowych warunków pracy, uniemożliwiał często normalne funkcjonowanie przedsiębiorstwa.

---

4) Czytaj: Sę Gobę

1) Czytaj: Bordo i Turbowil

Naturalny rezerwuar sił ludzkich dla manufaktury stanowili ludzie gospodarczo nie związani z żadnym stałym warsztatem pracy, a więc ludzie nic nie posiadający, żyjący z wyrobku, zajęć dorywczych, służby często zmieniającej się, z żebractwa. Oni to byli kandydatami na proletariuszy w znaczeniu nowoczesnym i najwcześniejszym tworzywem proletariatu przemysłowego, zanim przemysł zdołał przyciągnąć elementy inne, przede wszystkim chłopskie.

### Rękodzielnia szlachecko - pańska w Polsce

Ks. prof. A. Wójcicki: *Dzieje robotników przemysłowych w Polsce*

Ks. Aleksander Wójcicki — (ur. 1878), socjolog, profesor uniwersytetu katolickiego w Lublinie.

Wiek rodzącego się u nas przemysłu manufakturowego, czyli XVIII stulecie, zastał Polskę ogołoconą z rzemiosł, znalazł miasta w zupełnym upadku. Nawet w połowie osiemnastego stulecia liczono w Polsce zaledwie 10 do 12 tysięcy dobrych rzemieślników Niemców, wśród których można było znaleźć zaledwie 300 lub 400 Polaków.

Początku manufaktur, czyli rękodzielni, polskich szukać należy w wielkich majątkach.

Dwór pański bowiem sam w sobie stanowił jednostkę gospodarczą samowystarczalną, zaspokajającą większą część potrzeb siłami własnymi. Jednostka ta wychodziła poza to zamknięte koło jedynie po przedmioty zbytku lub też po sól i żelazo, bo tego u siebie mieć nie mogła; resztę wytwarzała sama. A trzeba wiedzieć, że jednostka ta obejmowała dużą liczbę spożywców: dwór pański liczył setki i tysiące ludzi. Ilustracje tego stanowią manufaktury Radziwiłłów w Nieświeżu.

Dobra nieświeskie tworzyły jakby udzielne wielkie księstwo mające liczne potrzeby gospodarcze, a więc i przemysłowe. Radziwiłłowie nieświescy posiadali olbrzymie dobra, pa-

łace, tłumy dworzan i tysiące poddanych, a nadto 2-tysięczną armię.

Na potrzeby tej armii huty książęce wytwarzały granaty szklane. Tak dużą armię trzeba było przyodziać i wyekwipować. Sukiennicy tedy wyrabiali dla wojska i służby sukno, płóciennicy płótno, inni zaś rękodzielnicy wytwarzali szpalery, tzn. gobeliny zdobiące pałac nieświeski. Słynne gobeliny Karola „Panie Kochanku" pochodziły z manufaktur w Koreliczach wzniesionych na początku XVIII wieku. Słowem, magnacki ten dwór dał początek manufakturze polskiej na Litwie. Manufaktury wielkopańskie, szlacheckie, powstawać u nas zaczęły coraz liczniej od początku XVIII wieku. Do najpierwszych w całej Polsce należały manufaktury Radziwiłłowskie. Początek dała im Anna z Sanguszków Radziwiłłowa zwana Czarną Damą. Traktowała ona zakładane przez się fabryki nie jako modne praktyki, lecz jako źródło dochodu. Już w roku 1708 zbudowała hutę szklaną w Nalibokach, w r. 1736 szlifiernię w Jankowicach, w Smulkowie wyrób tyglu z gliny, w Koreliczach fabrykę gobelinów, w Nieświeżu fabrykę dywanów, w Słucku manufakturę sukienną, w Świerzeniu farfurnię, tj. fabrykę porcelany, w Słucku fabrykę perską pasów jedwabnych na sposób perski wyrabianych.

Wszystkie te zakłady mają istotne cechy manufaktury swego czasu. Nawet pod względem zewnętrznym były to warsztaty oparte na podziale pracy, mające różne przeznaczenia specjalne w procesie wytwarzania. Wyobrażenie o tym daje nam *Opisanie budynków do manufaktury należących w Nieświeżu*. A więc „1) farbiarnia od stawu, duża, z drzewa ciosanego budowana, gontami podbita... wewnątrz komin wielki, okrągły, murowany, z piecem w ziemi, mający koło siebie troje obmurowania okrągłowanego na kotły... dalej postępując; 2) spichlerz duży, nowy, z drzewa w kostkę ciosanego budowany; 3) postrzygalnia, w której i prasa z drzewa w kostkę ciosanego budowana pod gontem... W tyle tej postrzygalni 4) budynek do tkania sukna... Po drugiej stronie przez ulicę 5) budynek także drugi z drzewa".

Jak widzimy, był to obszerny kompleks budynków specjalnych, do różnych procesów produkcji przeznaczonych i stanowiących jedną całość wzniesioną dla zysku właściciela, a przez liczną rzeszę wyspecjalizowanych rzemieślników obsługiwaną. Całość ta przedstawia czysty typ manufaktury ówczesnej, bliźniaczo podobny do manufaktur królewskich Ludwika XIV, wznoszonych przez wielkiego ministra Colberta [1]).

W manufakturach Radziwiłłowskich pracowali cudzoziemscy majstrowie tudzież ludność miejscowa. Dokumenty wyraźnie mówią, kiedy i w jakiej liczbie przyszedł do fabryki „transport ludzi". Księżna Radziwiłłowa wysyłała swoich agentów za granicę celem sprowadzenia majstrów. Starania te zostały uwieńczone powodzeniem. Do Nieświeża zjeżdżali „fabrykanci" cudzoziemscy, znajdowali gotowe już pomieszczenia i zabierali się do pracy. Spośród miejscowej ludności dobierali sobie do pomocy chłopców i dziewczęta. Sukiennicy mieli do pomocy więcej dziewek niż chłopców.

Wśród sukienników znajdujemy majstrów o nazwiskach przeważnie obcych, ale spotykają się i nazwiska polskie, np. Sielski, Wilk itp.

Majstrów tych księżna obdarzyła ziemią, uwolniła od czynszu i otoczyła opieką. Hutnicy, szlifierze, rysownicy mają wolne grunta po pół włóki: „tą wolą i dyspozycją moją raz na zawsze przekazuje się, ażeby wszystkich rzemieślników poddanych moich osiadających grunta były wolne od wszelkich podatków dwornych, tylko podymne, to jest podatek Rzeczypospolitej, płacić mają". Założone i urządzone przez Annę Radziwiłłową rękodzielnie kwitły pod jej mądrym kierownictwem. Manufaktury księcia Karola „Panie Kochanku" przeżywały już tylko resztki swej dawnej świetności.

Podobne rękodzielnie znajdujemy i w innych dworach magnackich, biskupich i kapitularnych. Kapituła krakowska np. posiadała w swych dobrach Kuźnice.

---

[1]) Czytaj: Kolberta

## Babeuf i sprawa robotnicza w czasie wielkiej rewolucji

### Ilia Erenburg: *Sprzysiężenie równych*

Ilia Erenburg — współczesny powieściopisarz radziecki o wszechświatowej sławie. Przedstawiciel ZSRR na kongresach pokojowych we Wrocławiu, w Paryżu i Ameryce. Autor wielu powieści.

W powieści historycznej *Sprzysiężenie równych* przedstawia koleje życia Franciszka Babeufa (pseudonim *Grakchus*, 1764—1797), pierwszego socjalisty, który już w czasie wielkiej rewolucji francuskiej walczył o prawa nie tylko do równości wobec prawa, ale i do równości materialnej. Rządy kończącej się rewolucji zwalczały go ostro, dążąc do ugruntowania zdobyczy burżuazji, a więc „świętego", jak je wówczas nazywano, prawa własności i nieograniczonej wolności w wyzyskiwaniu robotników. Babeuf rzucając hasło *równość lub śmierć* zorganizował spisek skierowany przeciw ówczesnemu rządowi, „dyrektoriatowi", pod nazwą *sprzysiężenia równych*. Wydawał pismo: *Trybun Ludu*. Nie udało mu się jednak przeprowadzić swoich ideałów. W roku 1797 został skazany na śmierć i zasztyletował się sam na szafocie.

Miesiąc nivôse [1]) był szczególnie zimny. Wielu wspominało nawet o zeszłej zimie jako o „starym, dobrym czasie". Paryż robotniczy się burzył. Słyszał płomienne przemówienia o prawach człowieka. Widział obchody świąt, fajerwerki, tańce, „stoły równości", wszystkie krwawe rekwizyty rewolucji. Strzelał, dokonywał przewrotów, hałasował w setkach klubów. Ale życie jego było jeszcze cięższe niż poprzednio. Przedsiębiorcy płacili asygnatami. Co można było kupić za te papierki? Mięso gotowano teraz w rodzinach robotniczych tylko na święta. Bardzo, bardzo rzadko palono w piecu i wówczas kilka rodzin grzało się przy słabym ogniu.

Praca w owe czasy była bardzo ciężka. Rozpoczynano pracować o piątej, a kończono o siódmej, godzina na obiad — trzynaście godzin. W małych warsztatach były jeszcze gorsze warunki. Kiedy introligatorzy w szóstym roku rewolucji

---

1) Czytaj: niwoz. Rewolucjoniści poprzezywali miesiące i zaczęli liczyć lata od początku rewolucji, tj. od r. 1789

wysunęli żądanie czternastogodzinnego dnia roboczego, wszyscy zdumieli się z powodu ich zuchwałości: „Leniuchy! Oduczyli się pracować!". Nawet dzieci nie oszczędzano. Konwent pomiędzy dwiema owacjami na cześć „sankiulotów [1]) wszystkich krajów" wydał fabrykantowi Butelle z miejskich przytułków 500 dziewczynek w wieku do lat dziesięciu. Dzieci te pracowały bezpłatnie „za wikt przedsiębiorcy". Fabrykant Delaitre [2]) żywił dzieci pracujące w jego przędzalni według systemu hrabiego Rumforda. Delaitre był republikaninem, Rumford emigrantem, ale kto nie słucha mądrych rad? Hrabia Rumford wynalazł nowe metody odżywiania robotników. Chleb, mięso, smalec są zbyt drogie. Wodnista zupka otrzymała dumną nazwę *zupa à la Rumford*. Utrzymanie stu pięćdziesięciu robotników kosztowało najpoważniejszego fabrykanta tyle, ile wynosiła w restauracji „Palais-Egalité" (Pałac Równości) cena jednego talerza zupy „à la dawny Condé" [3]).

Jednakże jeszcze bardziej niż zupy rumfordzkie przestraszał robotników inny sprytny wynalazek. Od świtu do zmierzchu gromadzili się paryżanie na Ile-des-Signes [4]); na miejscu tym otworzono pierwszy młyn parowy. Świadomi obywatele zapewniali, że wkrótce się postawi w odlewniach żelaza Creusot [5]) dziesięć maszyn i wymówi się pracę wszystkim robotnikom. A po giserach zostaną bez pracy tkacze. Co mają robić biedni ludzie, wobec tego że zostały wymyślone te diabelskie maszyny?

A może byłoby lepiej umrzeć od razu?... I tak pracuje się 16 godzin i nie można zapracować na chleb. Nastrój dnia, a nawet sytuacja polityczna zależały od deputatów żywnościowych. W miesiącach primaire i nivôse [6]) panował wyjątko-

---

[1]) Proletariuszy
[2]) Czytaj: Deletr
[3]) Czytaj: Kąde
[4]) Czytaj: Il de siń
[5]) Czytaj: Krezo
[6]) Czytaj: primer i niwoz

wy głód. Wczoraj w dzielnicy Temple w ogóle nic nie wydawano, dziś w dzielnicy Panteonu chleb był spleśniały. Wreszcie rozpoczęły się strajki robotnicze.

Robotnicy zatrudnieni w porcie Bernard zebrali się na ulicy Seine[1]) i zdecydowali, że za trzysta lirów na dzień nie można żyć. Rozpędzono ich. Przywódcy zostali aresztowani. Za robotnikami portowymi wystąpili giserzy z wytwórni armat znajdującej się na ulicy Lille[2]).

— Co? Armie republikańskie dokazują cudów bohaterstwa we Włoszech, a wy nie chcecie pomóc?

Znów nastąpiły areszty. Jednakże strajki nie ustawały: meblarze, tragarze, młynarze, kapelusznicy, drukarze, tkacze— wszyscy woleli więzienia lub śmierć od harowania o głodzie. Przedsiębiorcy pisali petycje do dyrektoriatu, skarżyli się na bezczelność: czy to jest dopuszczalne, aby wynajęci ludzie omawiali warunki pracy lub płacy roboczej!...

Dyrektoriat czynił wszystko, co było w jego mocy: strajkujących wsadzano do więzienia, a na ich miejsce posyłano żołnierzy. Ministrowie przygotowali dekret zakazujący strajków, które były postawione w jednym rzędzie z rozbojem. Jednakże robotnicy nie mieli nic do stracenia, więc wrzenie nie zmniejszyło się.

W dawnym kościele św. Elżbiety mieściła się duża wytwórnia worków. Pracowało tam trzysta kobiet. Obrotny obywatel Delais[3]) otrzymywał zamówienie na worki. Pracowano od piątej aż do późnej nocy. W warsztacie było zimno, wilgotno i ciemno. Ręce drętwiały, a oczy zachodziły łzami. Tu też krzyczały głodne dzieci. Jednej z robotnic umarło dziecko podczas dnia roboczego. Robotnica poczęła płakać, cały warsztat był oburzony. Ale worki miały być dostarczone na termin. „Na co tu patrzeć?... Czy nie widziałyście zmarłego dziecka?... Żywo, do roboty!...".

---

[1]) Czytaj: Sen
[2]) Czytaj: Lil
[3]) Czytaj: Dele

Pewnego razu przyszło do fabryki trzydziestu czy czterdziestu robotników. Poczęli krzyczeć:

— Głupie! Po co pracujecie? Lepiej, żeby nas wszystkich rozstrzelano, aniżeli tak żyć!...

Robotnice natychmiast rzuciły pracę. Jednakże nie udało im się wyjść z warsztatu: zawezwano oddział dragonów. Wszyscy zostali aresztowani. Przy jednym z buntowników znaleziono stary nóż i gazetę Babeufa. Minister policji obwieścił z triumfem obywatelom-dyrektorom, że powstanie zwolenników Babeufa zostało zgniecione. Oczywiście nie pomyślał, że to dragoni, więzienia, dekret o zniesieniu deputatów żywnościowych, brutalność przedsiębiorców, wreszcie on sam, minister policji: wszystko i wszyscy pracowali na rzecz Babeufa.

*Trybunę Ludu* drukowano potajemnie. Babeuf ukrywał się przed policją. Aresztowano jego żonę.

Do Babeufa garną się wszyscy. Oczywiście nie zawsze udaje mu się i jego przyjaciołom oddzielić prawdziwych „równych" od ludzi żądnych tylko sławy. Ale robotniczy Paryż wierzy swemu *Trybunowi*. Nie jest to tylko wiara. Jest to prawdziwa miłość. W dzielnicach robotniczych Antoine [1]) i Marceau [2]) nazwisko Grakchusa Babeufa znane jest każdemu dziecku. Mówi się o nim jak o kimś bliskim, jak o ślusarzu lub stolarzu. Wyśmiewa się z policjantów: „Co, znaleźliście Babeufa?..." Przedsiębiorcom i kupcom grozi się: „Babeuf wam pokaże!...". Wodnistą polewkę zaprawia się nadzieją: „Już niedługo Babeuf wystąpi!...".

Do wspaniałych salonów dochodzą słuchy o zagadkowej sławie tego mało komu znanego dziennikarza.

— Kto to?

— Zdaje się, były mierniczy.

— Jest żądny krwi, jak Marat!

— To złodziej, który dopuścił się fałszerstwa.

Członkowie „Rady Pięciuset", literaci, adwokaci, posłowie zagraniczni — wszyscy się zastanawiają: „Czego chce ten Ba-

[1]) Czytaj: Antuan

[2]) Czytaj: Marso

beuf?...“ Zastanawiając się, doznają strachu. Nie są pewni jutra. Oczywiście, Robespierre'owi ucięli głowę. Oczywiście, robotnikom odebrano broń. Ale przecież nie można ludzi zmusić do zapomnienia o tym, co było jeszcze tak niedawno temu! Kto może zaręczyć nawet za armię? Mówią, że żołnierze także sympatyzują z tym niepojętym Babeufem.

W ten sposób nazwisko Babeufa staje się niejako punktem zbornym, rośnie, oznacza już nie tylko utalentowanego dziennikarza czy też śmiałego filozofa. Nie, teraz Babeuf — to rewolucja.

Wśród tysięcy pogłosek, wśród nienawiści i miłości, wśród ciężkiej ciszy decydującego roku Babeuf ukrywa się w celach klasztornych, w piwnicach, na strychach, wszędzie, gdzie tylko można się ukrywać. Pisze, przekonywa, zbiera zwolenników, pracuje bez ustanku. Jest osłabiony, choruje. Żyje jak więzień. Zapomniał o słońcu, o żartach, o dziecięcych figlach. Nie może teraz cieszyć się nawet dla drażnienia tyranów. Stopniowo zamiera w nim wszystko, co jest skomplikowane, niepewne, delikatne, ludzkie. Staje się cały jedną myślą: równość! W rozmowie z nim ludzie czują, że silniejszym nad słowa jest suchy ogień w jego oczach, odchodzą od Babeufa jakby oparzeni: czy tak samo wyobrażali sobie żarliwi katolicy apostoła żydowskiego Pawła?

Grudniowy dzień! Gęsta mgła. Od samego rana w bogatych sklepach Palais-Egalité [1]) palą się lampy. Ale oliwa jest droga i Paryż pracuje po ciemku. Wszyscy zrzędzą i przeklinają. Tylko agentom policji ta mgła jest na rękę. Idą ukradkiem po ulicy Saint-Honoré [2]), aby nie zwrócić na siebie uwagi przechodniów. Oto w tym domu powinien znajdować się nieuchwytny Babeuf. Według raportów szpicli tu się mieści redakcja jego gazety.

Ale Babeufa się pilnuje. Do pokoju wbiega zdyszany chłopczyk:

— Idą!...

[1]) Czytaj: Pale Egalite
[2]) Czytaj: Sętonore

Babeuf natyka się w drzwiach na policjanta, odtrąca go, biegnie. Ścigają go. Policjanci krzyczą:

— Łapać złodzieja!

Na rogu ulicy Rewolucji zatrzymuje go jakiś spekulant. Babeuf wyrywa się. Ucieka dalej. Kilku próżniaków przychodzi policjantom z pomocą: teraz już ich jest cała sfora. I wszyscy krzyczą:

— Trzymać go! ukradł zegarek!...

Usiłuje go zatrzymać znów grupka elegancików. Kilka uderzeń i droga jest wolna. Ale siły opuszczają Babeufa. Obok klasztoru Assomption [1]) zatrzymuje go kilku ludzi.

— Złodziej! Stój!

Mgła jest tak gęsta, serce bije tak mocno, że Babeuf nie może od razu rozpoznać, kto go trzyma. Przygląda się trzymającym go ludziom. Czerwone, opalone twarze. Zapach skóry i potu. To tragarze z Hal Targowych. Wówczas mówi do nich pełen zaufania:

— Nie, nie jestem złodziejem! Jestem Grakchusen-Babeufem. Ściga mnie policja.

Tragarze z początku przysłuchują się z niedowierzaniem: czy naprawdę to jest Babeuf?... Ale jeden z nich mówi:

— Widziałem go w klubie. To Babeuf. Chodź tędy, obywatelu. Już my cię nie wydamy.

Jeden szybko wkłada na głowę Babeufa swój szeroki, filcowy kapelusz, inny wpycha go do jakiegoś przejścia. W kilka minut potem Babeuf, ciężko dysząc, opowiada o swej przygodzie przyjacielowi, który mu daje schronienie w dawnym klasztorze Assomption [1]), a tragarze śmieją się ze zdyszanych policjantów:

— Co, schwytaliście Babeufa?

Są weseli i dumni: dzisiaj oni, tragarze z Hal, uratowali rewolucję.

---

[1]) Czytaj: Assąpsją

## Dzieci ofiarą rodzącego się przemysłu angielskiego

Bertrand Russel: *Wiek XIX*, Tom I

Bertrand Russel — (ur. w r. 1872), filozof, socjolog i pedagog angielski. Dotychczas profesor w Cambridge [1]). Jego dzieło *Wiek XIX* jest historią przede wszystkim społeczną.

Istniały w Anglii w początku XIX wieku dwa systemy korzystania z pracy dzieci: dawniejszy, dotyczący „terminatorów", i nowszy, dotyczący dzieci „wolnych". System dawniejszy opierał się na tym, że w Londynie i wielu innych miastach, gdy ktoś korzystał z zasiłków dla ubogich, parafia miała wyłączne prawo rozporządzania jego dziećmi do 21 roku życia. Oddawała je więc do terminu jakiemuś fabrykantowi i do 21 roku życia stawały się one faktycznie jego własnością.

Jeśli fabryka pracowała bez przerwy dniem i nocą, dzieci podzielone były na dwie zmiany pracujące po 12 godzin. Każde łóżko zajmowane było kolejno przez dziecko ze zmiany dziennej i dziecko ze zmiany nocnej. W tym razie dzieci miały jeszcze szczęście. Jeżeli bowiem fabrykę zamykano na noc, istniała tylko jedna zmiana i praca dziecka mogła trwać 15 do 16 godzin na dobę.

Czasami fabrykant bankrutował. Wówczas dzieci wsadzano na wóz, odwożono na jakieś pustkowie i pozostawiano własnemu sprytowi.

Dzieci opuszczały fabrykę tylko w niedzielę, jeżeli zdążyły oczyścić maszyny. Sumienie społeczne owych czasów wrażliwe było jedynie tylko na jednym punkcie — obawiało się mianowicie, że dzieci nie będą mogły korzystać w należytym zakresie z nauki religii. Poza tym pewne poruszenie wywoływały też częste epidemie, na które wiele dzieci umierało.

Przymusowi „terminatorzy" zastępowani byli coraz częściej przez dzieci zwane o ironio, wolnymi, tj. przez dzieci, które pracowały na życzenie rodziców. Przyczyną tego było zastę-

---

[1]) Czytaj: Kembrydż

powanie energii wodnej przez parę. Spowodowało ono przenoszenie fabryk do miast, w których łatwo było o pracę dzieci. Wobec konkurencji nowych maszyn liczni tkacze byli w nędzy i wielu ojców zmuszało dzieci do pracy zarobkowej, gdy miały 6 lub 7 lat, a czasami nawet wcześniej.

Wchodziły w bramę fabryczną o 5 lub 6 rano, wychodziły najwcześniej o 7 lub 8 wieczorem. Przez cały ten czas zamknięte były w pomieszczeniach, w których temperatura wynosiła 25 do 30 stopni. Odpoczynek był — najwyżej pół godziny na śniadanie i godzinę na obiad. Ale stałe godziny posiłku były wyłącznie przywilejem dorosłych. Dzieci chwytały od czasu do czasu kawałkami swoje pożywienie, połykając je kiedy się dało wśród kurzu i pyłu bawełnianego. Po krótkim czasie traciły zupełnie apetyt do jedzenia spożywanego w fabryce. Pył drażnił im płuca i gdy nie mogły go usunąć kaszlem, dawano im obficie na wymioty. Pracę, jaką wykonywały, opisywano często jako pracę łatwą, niemal zabawę wymagającą uwagi, lecz nie wysiłku. Trzy czwarte dzieci pełniło funkcje tzw. spajaczy, polegającą na łączeniu nitek rozrywanych przez maszyny przędzalnicze. Pozostałe zmiatały odpadki bawełny albo zmieniały szpule w maszynach. Fielden, światły i ludzki fabrykant, zrobił ciekawe doświadczenie mające na celu zmierzyć wysiłek fizyczny dzieci. Znalazł on ku swemu zdumieniu, że droga przebywana przez dzieci przy obsłudze maszyn przędzalnianych wynosiła w ciągu 12 godzin pracy nie mniej niż 20 mil angielskich.

Zdarzały się wprawdzie krótkie chwile odpoczynku, ale nie było na czym siedzieć i przepisy zabraniały siedzenia.

14 lub 15 godzin w zamknięciu przez 6 dni w tygodniu były to godziny „normalne". W okresach ożywienia fabryki czas pracy bywał elastyczny i rozciągany do rozmiarów, które się wydają wprost niewiarogodne. Praca trwała niekiedy od 3 rano do 9 wieczór. W fabryce zwanej słusznie „Piekielna Zatoka" w ciągu 2 miesięcy praca trwała nie tylko codziennie od 5 do 9 wieczorem, ale ponadto pracowano przez dwie pełne noce w tygodniu.

Tylko bardziej humanitarni przedsiębiorcy poprzestawali w czasie ożywienia na szesnastogodzinnym dniu roboczym.

Było zupełną niemożliwością utrzymać tego rodzaju system pracy bez pomocy terroru. Nadzorcy nie zaprzeczali wcale zeznając przed komisją specjalną, że stosują metody brutalne. Wyjaśniali, że jeśliby nie osiągnęli przepisanej ilości pracy, zostaliby sami zwolnieni. W tych warunkach litość była zbytkiem, na który ludzie obarczeni rodzinami nie mogli sobie pozwolić. Kary za spóźnienie się do pracy musiały być okrutne, jeżeli obawa kary mogła być dla zmęczonego dziecka bodźcem silniejszym od pokusy, aby pozostać w łóżku dłużej niż wyznaczone 3 lub 4 godziny.

W niektórych fabrykach nie było prawie godziny w ciągu długiego dnia bez odgłosu bicia i okrzyków bójek. Ojcowie bili dzieci, aby uchronić je przed gorszym biciem nadzorców. Po południu dzieci były już tak wyczerpane, że ciężki żelazny kij, zwany zawijaną pałką, był w ciągłym użyciu, a mimo to nie było rzeczą rzadką, że jakieś małe dziecko, usnąwszy, zsuwało się na idącą obok maszynę i zostawało na całe życie kaleką albo, szczęśliwsze, znajdowało nareszcie odpoczynek dłuższy niż ten sen kradziony. W jednej z fabryk, w której właściciel pozwalał bić dzieci tylko po łapach linijką, poganiacze usiłowali powstrzymać dzieci od zasypiania, namawiając je do śpiewania hymnów. Mimo to, gdy zbliżał się wieczór, ból, zmęczenie i naprężenie nerwowe dzieci stawały się nie do wytrzymania.

Pytały każdego, kto się do nich zbliżał, ile jeszcze godzin pracy im pozostało.

Dzieci cierpiały nie tylko w fabrykach włókienniczych. W kopalniach węgla pracowały w warunkach nie mniej okropnych. Np. dzieci od 5 do 8 lat siedziały jako tzw. czujki w małym otworze wybitym w drzwiach, trzymając w ręku sznurek w ciągu 12 godzin.

Z reguły siedziały w ciemności, ale czasami jakiś litościwy górnik dawał im kawałek świeczki. Oto słowa 5-letniej dziewczynki, według sprawozdania komisji o pracy dzieci z roku

1842 „Muszę siedzieć jako czujka bez światła i boję się. Idę tam o czwartej, a czasem o wpół do czwartej rano, a wychodzę o wpół do szóstej wieczorem. Nie śpię wcale. Czasami śpiewam, kiedy mam światło, ale nie po ciemku — po ciemku boję się śpiewać".

Mówiłem specjalnie o dzieciach, ponieważ w przemyśle sprzed lat przeszło stu była to sprawa najokropniejsza. Ale cierpienia dzieci nie byłyby możliwe, gdyby rodzice ich nie znajdowali się w sytuacji rozpaczliwej. Dzień roboczy dorosłych trwał niewiarogodnie długo, płace były b. niskie, warunki mieszkaniowe okropne. Robotnicy przemysłowi, których znaczna część mieszkała do niedawna na wsi, skupieni byli w nowych, źle zbudowanych, zadymionych, pozbawionych urządzeń sanitarnych mieszkaniach miejskich. Niektórzy mieszkali w piwnicach. Cholera i tyfus grasowały wśród nich stale. Wykwalifikowani rzemieślnicy rujnowani byli przez nowe maszyny. Tkacze cieszący się dotąd dobrobytem zarabiali zaledwie 6 szylingów i 6 pensów tygodniowo. Zrzeszanie się robotników było zabronione aż do roku 1824 [1]), a chociaż związki zawodowe istniały, były one z konieczności małe i bezsilne, dopóki musiały działać tajnie. Rząd utrzymywał szpiegów, których zadaniem było prowokowanie biedaków do rewolucyjnych wystąpień. Szpiedzy ci organizowali sami z wielkim trudem małe ruchawki, a potem ofiary ich wieszano albo zsyłano do ciężkich robót w koloniach.

## Luddyści (burzyciele maszyn)

M. Beer: *Historia powszechna socjalizmu i walk społecznych*

Proletariat brytyjski pierwszy został wtrącony w nowe warunki życia i gospodarki, w system kapitalistyczny, którego zbadaniu poświęciły się największe głowy XIX stulecia. W pier-

[1]) W Anglii

wszych dziesięcioleciach rewolucji przemysłowej [1]) panował chaos, z którego wyłaniały się maszyny jak jakieś obce potworne istoty i zwracały na siebie uwagę zdumionych badaczy.

Człowiek współczesny, żyjący w dwudziestym stuleciu, otoczony wszelkimi maszynami jako zwykłym zjawiskiem, jako przedmiotami codziennego użytku, człowiek taki z trudnością pojmie nastroje, które wywołał rodzący się wiek maszyn.

Aż do połowy wieku XIX istnieli wykształceni Anglicy, którzy uważali maszyny za chorobliwy wymysł ducha ludzkiego, za oznakę chylenia się Anglii do upadku. Ze zdumieniem i zgrozą spoglądało pokolenie robotnicze spychane w otchłań nędzy na wieloramienne, bezustannie pracujące, jak gdyby niespożytą siłą obdarzone istoty i w ciszy przyczajenia szło z ust do ust hasło: Połączmy się i zniszczmy je, póki ich mało, póki tkwią w wieku niemowlęcym. Jeśli ich nie zniszczymy teraz, jeśli pozwolimy im mnożyć się i rosnąć, staną się panami wszechwładnymi, a my ich niewolnikami.

Pierwsze prawo przeciw niszczeniu maszyn i burzeniu zabudowań fabrycznych wydane zostało w Anglii w roku 1769. Traktowało ono czyny takie jako zbrodnię, za którą należy się kara śmierci. Pomimo niesłychanie srogich kar liczba burzycieli maszyn rosła w Anglii. W Nottingham niejaki Ned Ludd zburzył podobno warsztat pończoszniczy. Czyn jego znalazł naśladowców i burzyciele maszyn zyskali nazwę luddystów.

W latach 1811 i 1812 luddyzm stał się ruchem masowym, który stawiał sobie zarówno ekonomiczne, jak i polityczne cele. Klasy posiadające zostały zaalarmowane ekscesami luddystów tak, że rząd wniósł projekt ustawy w sprawie burzenia maszyn, przewidujący karę śmierci za czyny tego rodzaju. Przy drugim czytaniu tego projektu w Izbie Lordów w lutym 1812 roku lord Byron, znakomity poeta o wszechświatowej sławie, wy-

---

[1]) Rewolucją przemysłową nazywa się przewrót w produkcji spowodowany wynalezieniem maszyny parowej.

głosił płomienną mowę w obronie robotników przeciw projektowi ustawy.

Projekt stał się prawem w marcu 1812 roku, nie zdołał jednak podobnie jak prawo 1769 roku sprzed lat 43 zapobiec niszczeniu maszyn. Wyroki śmierci na luddystów wydane zostały przez sąd w Jorku. W styczniu 1813 roku trzej pierwsi robotnicy stanęli na szafocie. Do końca zachowali mężną postawę. Jedna z gazet ze zdziwieniem pisała, że nie wyglądali na skrytobójców i w innych warunkach staliby się pożytecznymi ludźmi. Terror rządowy zdezorganizował luddystów, ale po pewnym czasie ruch odżył znowu. W 1816 Byron napisał pieśń na cześć luddystów.

Czterolecie od 1816 do 1820 roku było okresem żywiołowych ruchów rewolucyjnych w Anglii, wywołanych przez niskie płace robocze, wysokie ceny żywności, bezrobocie i brzemię podatków. Panowanie szlachty obszarniczej i zakaz zrzeszania się spotęgowały niesłychane wzburzenie mas. W Nottingham pończosznicy zniszczyli 30 maszyn. We wschodnich okręgach Anglii robotnicy rolni podpalali sterty siana, rozbijali młockarnie, demonstrowali ze sztandarami. W Anglii środkowej uczyniono próbne powstania, które 23 ludzi przypłaciło życiem. Rok 1819 przyniósł olbrzymie demonstracje na rzecz powszechnego prawa wyborczego i polityki socjalnej. Podczas tych demonstracji wojsko strzelało do tłumu. W r. 1820 w Londynie przygotowywano powstanie, co zakończyło się skazaniem 5 osób na śmierć.

To burzliwe i krwawe 4-lecie było kolebką socjalizmu angielskiego. Wtedy pisał i działał Robert Owen, który pierwszy zrozumiał rewolucję przemysłową i szukał środków do zaprzęgnięcia wynalazków w służbę postępu technicznego.

# KAPITALIZM LIBERALNY I UTOPIE SPOŁECZNE

## Socjalizm utopijny

Adam Szaff: *Socjalizm utopijny i naukowy*

Adam Szaff — profesor Uniwersytetu Łódzkiego i Warszawskiego, ekonomista, marksista, działacz społeczny.

Już w wiekach średnich zaczynają się rodzić tzw. utopie socjalistyczne.

Co to jest utopia? Słowo *utopia* pochodzi z języka greckiego i oznacza miejsce, którego nie ma, to, co nie istnieje, co jest nierealne. Jednym słowem, fantazja, wymysł, którego nie da się zrealizować ani obecnie, ani w przyszłości. Samo znaczenie słowa mówi więc, co to jest socjalizm utopijny. Są to prądy o charakterze socjalistycznym, jednakże nierealne, oparte nie o rzeczywiste siły społeczne, lecz o wymysł, o fantazję.

Sama nazwa, jak również typ tych prądów pochodzi ze znanego dzieła angielskiego autora Tomasza Moore, który żył na przełomie XV i XVI wieku. Napisał on dzieło pt. *O wyspie Utopii.* Co mówi Tomasz Moore w swoim dziele? Odzwierciedla on niezadowolenie uciemiężonych. Na jego idealnej wyspie ziemia jest własnością wspólną, nie ma własności prywatnej. Rzemiosło istniejące w miastach wykonywane jest przez wspólnoty o charakterze rodowym. Obywatele są równi wobec prawa. Rządy wykonuje władza wybierana.

W okresie kapitalizmu burżuazja, która poprzednio walczyła przeciwko feudalizmowi, po rewolucji francuskiej zdobyła władzę. Zerwanie pęt feudalizmu umożliwiło szeroki rozwój przemysłu powodując postęp cywilizacji w całym świecie. Wyzysk natomiast po dojściu burżuazji do władzy jeszcze bardziej się pogłębił. Zwycięstwo burżuazji przyniosło więc masom rozczarowanie, którego wyrazem są rosnące walki społeczne i nowe systemy socjalistyczne. Systemy te krytykują istniejący ustrój, dążą znowu do ustroju wymarzonego, do ustroju równości i sprawiedliwości, do systemu socjalistycznego. Systemy te odzwierciedlają wprawdzie dążenia proletariatu do zrzucenia władzy burżuazji, lecz są jeszcze bardzo prymitywne. Odzwierciedleniem tych pierwszych dążeń socjalistycznych proletariatu w początkach jego rozwoju jest socjalizm utopijny.

Nie jest bynajmniej przypadkiem, że na początku XIX w. występują prawie jednocześnie trzej wielcy socjaliści utopijni, którzy położyli fundamenty nowoczesnego ruchu robotniczego swoim genialnym przewidywaniem przyszłego rozwoju społecznego: Saint - Simon, Fourier i Owen [1]). Nie jest przypadkiem, że systemy te, które powstały w różnych krajach, pojawiły się niemal jednocześnie i obarczone są tymi samymi błędami.

Socjalizm utopijny odegrał ogromną rolę w historii ruchu robotniczego dzięki temu, że przeprowadzał konsekwentnie krytykę ustroju kapitalistycznego i odsłaniał jego wady. Odegrał tę rolę również i dzięki temu, że jego twórcy w genialny sposób wskazywali cały szereg pozytywnych zagadnień ruchu robotniczego. Socjalizm utopijny odzwierciedlał jednak dążenia proletariatu wtedy, gdy był on jeszcze klasą nieświadomą swoich zadań i swojej przyszłej roli.

Mimo całej krytyki istniejącego ustroju socjalizm utopijny był socjalizmem bez walki. Jego twórcy nie widzą ani konieczności walki klasowej, ani klasy, która miała tę walkę pro-

[1]) Czytaj: Sę Simą, Furie, Ouen.

wadzić, aby w przyszłości obalić kapitalizm. I dlatego socjaliści utopijni nie potrafili wystąpić samodzielnie ani oderwać się od burżuazji. Dlatego twórcy socjalizmu utopijnego uważali, że wystarczy przekonać możnych, dlatego poprzestali na odwoływaniu się do rozumu, dlatego zwracali się nie do proletariatu, lecz do królów i możnych, dlatego życie zmiotło te systemy z powierzchni ziemi. Systemy te jednak spełniły swoje zadanie, ich krytyka wniosła szereg dodatnich momentów — oczyściła drogę do socjalizmu naukowego.

Na miejsce nierealnych systemów opartych na utopii na arenę historii wkracza w połowie XIX wieku marksizm, socjalizm naukowy, który daje w ręce proletariatu potężny oręż świadomości klasowej, wskazuje mu drogę walki opierając się o naukową analizę społeczeństwa kapitalistycznego.

### Robert Owen [1])

Fryderyk Engels: *Rozwój socjalizmu od utopii do nauki*

Fryderyk Engels — (1820—1895), jeden z najwybitniejszych teoretyków socjalizmu naukowego, przyjaciel i współpracownik Marksa. (Patrz artykuł Marks i Engels)

Podczas gdy przez Francję przeszła burza rewolucji, która oczyściła kraj, w Anglii odbył się niemniej głośny, ale nie mniej potężny przewrót. Para i nowo zmechanizowane narzędzia przeobraziły rękodzielnictwo w nowoczesny wielki przemysł i zrewolucjonizowały w ten sposób całą postawę społeczeństwa burżuazyjnego. Ospały bieg rozwoju okresu rękodzielniczego przeobraził się w prawdziwy okres burzy i naporu w dziedzinie produkcji. Coraz szybciej dokonywał się podział społeczeństwa na wielkich kapitalistów i proletariuszy. Nowy sposób produkcji przechodził dopiero początek okresu wznoszenia się: był to jeszcze sposób produkcji spokojnej, prawidłowej, jedynie możliwy w danych warunkach. Ale już wtedy wytwarzał on przeraźliwe klęski społeczne: stłoczenie bezdomnej

[1]) Czytaj: Ouen

ludności w najnędzniejszych norach wielkich miast, rozluźnienie rodziny, przeciążenie pracą zwłaszcza kobiet i dzieci, masowy rozkład obyczajów ludności pracującej.

Wtedy to zjawił się reformator, 29-letni fabrykant, człowiek o dziecięcej niemal prostocie charakteru, dochodzącej do wzniosłości, a zarazem przywódca wyjątkowej miary. Robert Owen uznawał, że charakter człowieka jest wytworem z jednej strony wrodzonej jego organizacji, z drugiej — warunków otaczających człowieka w ciągu życia, zwłaszcza w okresie rozwoju. Większość ludzi jego stanu widziała w rewolucji przemysłowej tylko zamieszanie i chaos — sposobność łowienia ryb w mętnej wodzie i szybkiego bogacenia się. On zaś widział w niej sposobność wcielenia w życie umiłowanej tezy i wprowadzenie przez to ładu do chaosu.

Już w Manchesterze[1]) uczynił z powodzeniem tę próbę jako kierownik fabryki zatrudniającej 500 robotników. W latach 1800—1829 kierował jako dyrektor wielką przędzalnią w New Lanark w Szkocji. Będąc wspólnikiem w tym przedsiębiorstwie działał w tym samym duchu, tylko z większą swobodą ruchów i z powodzeniem, które mu przyniosło rozgłos europejski. Mając do czynienia z ludźmi, których ilość wzrosła stopniowo do 2 500 osób, a którzy rekrutowali się z najróżnorodniejszych, przeważnie bardzo zdemoralizowanych żywiołów, stworzył wzorową kolonię, w której nieznane były: pijaństwo, policja, sąd karny, procesy. Niepotrzebna była opieka nad ubogimi. Doszedł do tego po prostu w ten sposób, że przeniósł ludzi w bardziej ludzkie warunki i dał staranne wychowanie młodemu pokoleniu. On to pierwszy powziął myśl zakładania przedszkoli. Od drugiego roku życia dzieci wstępowały do nich i bawiły się tak dobrze, że trudno je było stamtąd wyciągnąć do domu. Podczas gdy konkurenci Owena zmuszali robotników do pracy po 13—14 godzin dziennie, w New Lanark pracowano tylko 10 i pół godziny. Gdy zaś kryzys w przemyśle bawełnianym wywołał czteromiesięczne unieruchomienie zakładu, nie-

[1]) Czytaj: w Manczesterze.

zatrudnieni robotnicy otrzymywali nadal pełną płacę. I przy tym wszystkim fabryka podwoiła swą wartość i dawała właścicielom aż do końca wielkie zyski.

Wszystko to jednak nie zadowalało Owena. Byt, który stworzył swoim robotnikom, nie wydawał mu się jeszcze bytem godnym człowieka. „Ludzie ci byli moimi niewolnikami" — mówił. Względnie pomyślne warunki, w których umieścił ich Owen, nie pozwoliły im jeszcze na wszechstronny rozwój charakteru i umysłu, nie mówiąc już o swobodnym ujawnianiu życia aktywnego. „A jednak tych 2 500 ludzi wytwarzało tyleż bogactwa dla społeczeństwa, ile wytworzyć by mogło 600 tysięcy ludzi przed pół wiekiem. Zadawałem więc sobie pytanie — mówi Owen — co dzieje się z różnicą pomiędzy tym, co spożywa 2 500 osób, a tym, co musiałoby pójść dla 600 tysięcy!" Odpowiedź była jasna. Różnica ta poszła na to, aby właścicielom przedsiębiorstwa zapewnić 5% od kapitału zakładowego, a nadto 6 milionów zysku. To samo w daleko większym jeszcze stopniu niż w New Lanark dotyczyło wszystkich innych fabryk Anglii. „Bez tego nowego bogactwa wytwarzanego przez maszyny nie byłoby możliwe prowadzenie wojny celem obalenia Napoleona [1]) i utrzymania w mocy arystokratycznych zasad społecznych, a przecież ta nowa potęga była wytworem klasy pracującej". Do niej też powinny były należeć owoce tego bogactwa. Nowe, potężne siły wytwórcze, które służyły dotąd tylko do bogacenia jednostek i ujarzmiania mas, stanowiły w oczach Owena podstawę przebudowy społecznej, jako wspólna własność na rzecz wspólnego dobrobytu powszechnego.

Na tej czysto rzeczowej podstawie powstał komunizm owenowski jako owoc, że tak powiemy, rachuby kupieckiej. Ten charakter praktyczny zachował on aż do końca. W roku 1823 Owen opracował projekt utworzenia kolonii komunistycznej

---

1) Napoleon, który ze swą armią roznosił po Europie hasła rewolucji francuskiej, pobity został w r. 1812 przez Rosję, a w latach 1813 i 1814 przez koalicję państw broniących dawnego porządku rzeczy, wśród których prym trzymała Anglia.

celem usunięcia nędzy irlandzkiej i przedstawił całkowity kosztorys wydatków i przypuszczalnych dochodów.

Przejście do komunizmu było punktem zwrotnym w życiu Owena. Dopóki występował jako zwykły filantrop, zyskiwał bogactwo, poklask, zaszczyty i sławę. Był najpopularniejszym człowiekiem w Europie. Jego słowom przysłuchiwali się z uznaniem nie tylko fabrykanci, lecz mężowie stanu i monarchowie. Gdy wszakże wystąpił ze swoimi teoriami komunistycznymi, wszystko się zmieniło. Trzy wielkie przeszkody widział na drodze do przeobrażenia społeczeństwa: własność prywatną, religię i współczesną formę małżeństwa. Owen wiedział, co go czeka, skoro zaatakuje te przeszkody. Nie wstrzymało go to jednak od bezwzględnego ataku na nie. I stało się właśnie to, co przewidział. Wygnany z oficjalnego społeczeństwa, przemilczany przez prasę, zubożały wskutek nieudałych doświadczeń komunistycznych w Ameryce, na które poświęcił cały swój majątek, zwrócił się wprost do klasy robotniczej i działał jeszcze w jej szeregach przez lat 30.

Wszystkie ruchy społeczne, wszystkie rzeczywiste postępy osiągnięte w Anglii w interesie klasy robotniczej związane są z imieniem Owena. Tak więc np. w 1819 roku, po pięcioletnich wysiłkach, Owen osiągnął uchwalenie pierwszej ustawy o ograniczeniu pracy fabrycznej kobiet i dzieci. Przewodniczył na pierwszym kongresie, na którym trade uniony [1]) całej Anglii zjednoczyły się w jedno wielkie zrzeszenie zawodowe. Wprowadził w charakterze środków przejściowych do komunistycznej organizacji społeczeństwa stowarzyszenia spółdzielcze, spożywcze i wytwórcze. Zorganizował bazary pracy, to jest zakłady, gdzie odbywała się wymiana produktów pracy przy pomocy papierowego pieniądza, którego jednostką była godzina pracy.

Owen więc stawiał swój socjalizm na gruncie realnym.

---

[1]) Związki zawodowe (czytaj: treid juniony)

## Pionierzy roczdalscy

### Ludwik Krzywicki: *Stowarzyszenia spożywcze*

Ludwik Krzywicki — (1856—1942), socjolog i ekonomista. W czasach caratu profesor w kółkach tajnych zwanych Uniwersytetem Latającym i przekształconym w Polsce niepodległej w Wolną Wszechnicę. Profesor historii ustrojów społecznych Uniwersytetu Warszawskiego. Uczony o sławie światowej, jeden z najwybitniejszych teoretyków marksizmu w Polsce, a jednocześnie świetny popularyzator socjalizmu.

„Ku schyłkowi 1843 r., jednego z tych dni posępnych, wilgotnych a nieprzyjemnych, jakie zdarzają się w listopadzie, kiedy słońce jakby z rozpaczą i ukradkiem, na krótki przeciąg czasu wysyła swoje promienie, kilku tkaczy bez zarobków i niemal bez środków utrzymania, z trwogą spoglądających na swoje położenie zgromadziło się w Roczdalu [1]) i radzili nad środkami polepszenia swego bytu. Zamierzali rozpocząć na własny rachunek walkę o życie i usunąć przekupniów. Pomiędzy nimi krąży lista, na której wpisują swoje wkłady. Tuzin tych kapitalistów lilipucich zobowiązywał się uiszczać tygodniowo dwa pensy, a Rotszyldowie [2]) roczdalscy bynajmniej nie byli pewni, czy zdołają wypłacić tę sumę. Po 52 odwołaniach się do wspaniałych akcjonariuszów w kasie znajdowała się suma, która nie wystarczyłaby na zakupno worka owsa."

Takimi słowy opisuje historyk pionierów sprawiedliwości w Roczdalu założenie tamtejszego stowarzyszenia spożywczego, które dało początek tak olbrzymiemu dzisiaj prądowi zrzeszania się spożywców we wszystkich krajach Europy.

Zrzeszenie spożywców w Anglii istniało już dawniej, ale rozpoczyna się na dobre od czasów działalności Owena. Powstało ono jako drobna odnoga entuzjazmu społecznego wywołanego przez tego utopistę. Owenowi jednak chodziło o coś zgoła innego niż o kooperację spożywczą. Pragnął on przeobrażenia całego ustroju społecznego i nawet niechętnym okiem spoglądał na małe idee w rodzaju zrzeszenia spożywczego, acz te

[1]) Roczdal — miasto w północno-zachodniej Anglii
[2]) bogacze

zrodziły się na skutek krzewienia się w kraju jego poglądów. Popierał je jako szczebel do dalszych celów — do zorganizowania spożywców w spółki wytwórcze, w gminy przemysłowo-rolne. Pionierzy roczdalscy nie byli jedynymi ani nie wyprzedzili innych, a mimo to przypadł im zaszczyt przodownictwa. Wyprowadzili ideę zrzeszenia spożywczego z ukrycia, pchnęli ją na nowe tory, otoczyli urokiem powodzenia. Założycielami było 28 tkaczy. Prawie wszyscy posiadali wyrobione poglądy i dali im wyraz w świetnej nazwie „pionierów sprawiedliwości". 6 z nich należało do owenistów.

24 października 1844 r. zarejestrowano stowarzyszenie, a 21 grudnia otworzono sklepik. Było tam nieco mąki, masła, cukru i kaszy owsianej — ogółem towaru za 15 funtów szterlingów. Ulicznicy drwili z tych zapasów, a jeden z kupców szydził, że zmieściłby wszystko w teczce. Pionierzy jak spiskowcy stali w sklepie nie śmiejąc otworzyć okiennic i wystąpić przed gromadą gapiów z ubóstwem swego sklepu. Ale cofać się było za późno. Jeden z odważniejszych podszedł do okna i odsunął okiennice. Z ulicy odpowiedziano śmiechem. W Roczdalu już pierwej dwa razy zakładano sklep spożywczy, ale za każdym razem spółka upadała. Dopiero trzeciej danym było okryć to miasteczko chwałą wszechświatową.

Pionierzy streścili swoje zamiary w następującym programie:

„Cele i zamiary stowarzyszenia dążą do stworzenia instytucji, która by dała członkom korzyści pieniężne i polepszyła ich położenie społeczne i domowe. Tego dopiąć zamierza ono przez zebranie wystarczającego kapitału w formie udziałów jednofuntowych, aby urzeczywistnić z czasem następujące pomysły i urządzenia:

Założenie sklepu dla sprzedaży wiktuałów, odzieży itd.

Budowę i kupno domów, w których by mieszkali członkowie.

Rozpoczęcie produkcji przedmiotów dla dostarczenia zarobku tym członkom, którzy znajdą się bez pracy lub będą cierpieli z powodu powtarzającej się zniżki płac".

Rozpatrzmy z bliska zasady pionierów roczdalskich, gdyż na nich wzorował swoją ustawę ogół stowarzyszeń spożywczych.

Pionierzy roczdalscy przysądzając kapitałowi powstałemu z udziałów tylko określone odsetki i dzieląc resztę zysków pomiędzy nabywców w stosunku do dokonanych zakupów wnieśli nowy a doniosły pierwiastek do podziału dochodu w zrzeszeniu spożywców. W Roczdalu każdy zapłaciwszy szyling wpisowego był przyjmowany na członka, otrzymywał prawo głosu na zebraniach, resztę zaś udziału uiszczał zwolna z dywidendy za dokonane zakupy. Dywidenda ta jest wolna od charakteru kapitalistycznego, nie jest bowiem zyskiem, lecz zwrotem pieniędzy, które każdy z członków zaoszczędził kupując zbiorowo towary i usuwając pośredników. Spółdzielnia nie jest związkiem kapitałów, tylko stowarzyszeniem osób usiłujących taniej zaspokajać swoje potrzeby spożywcze.

Zaprowadzono w Roczdalu stałe ceny odpowiadające cenom rynkowym. Towar nie był tańszy niż na rynku, ale w dobrym gatunku i według dobrej wagi. Sprzedawano jedynie za gotówkę, co zapobiegało stratom na skutek niewypłacalności klientów.

Pionierzy dopuścili do stowarzyszenia spożywczego kobiety i wydawali mężatkom dywidendę bez asystencji męża, zanim prawo parlamentarne oswobodziło je od samowoli tego ostatniego. Najwyższa władza należała do stowarzyszenia spożywców, a każdy bez względu na liczbę udziałów rozporządzał jednym głosem. I w tym stowarzyszenie zerwało ze zwyczajami spółek akcyjnych.

Stowarzyszenie cieszyło się coraz większym zaufaniem wśród mieszkańców Roczdalu, choć kupcy widząc jego rosnące powodzenie usiłowali je zwalczać niskimi cenami. Pozyskano kobiety, które początkowo były usposobione niechętnie. Przywiązanie kobiet do stowarzyszenia było po paru latach tak znaczne, że gotowe były do największych ofiar na jego rzecz. Już około r. 1857 imię pionierów roczdalskich słynie poza gra-

nicami Anglii. W tym roku jeden z historyków zrzeszenia roczdalskiego pisze: „Gromada skromnych robotników, którzy ongi nie kosztowali zdrowego pokarmu, chodzili w wytartym ubraniu, dokonywa na rynku zakupów, jakie są godne milionera. Sami wytwarzają materiały na ubrania, szyją buty, odzież, mielą zboże."

W roku 1901 kapitał udziałowy stowarzyszenia w Roczdalu wynosił 286 868 f. szt., a członków było 12 i pół tysiąca. Kapitały członków zostały umieszczone w domach spółdzielczo-wytwórczych. Stowarzyszenie posiadało własne warsztaty obuwia i odzieży, rzeźnię, piekarnię, fabrykę wyrobów tabacznych, 74 sklepy w mieście i 245 domów mieszkalnych. Specjalna komisja rozporządza funduszem edukacyjnym przeznaczonym na czytelnię, biblioteki, odczyty, na pracownię naukową itp. Ogłaszano corocznie olbrzymie kalendarze ścienne przypominające członkom o ich obowiązkach. Kalendarze te wywierają na postronnego czytelnika osobliwe wrażenie: czuć tam z każdego wiersza, że ludzie zżyli się ze zrzeszeniem, że w nim uczestniczą czynnie i że zbiorowo je ulepszają.

## Wiosna ludów 1848 roku

Natalia Gąsiorowska: *Wiosna ludów 1848 r.*

Natalia Gąsiorowska — (ur. 1881 r.), profesor historii gospodarczej i społecznej do 1939 r. w Wolnej Wszechnicy, obecnie na Uniwersytecie Łódzkim; autorka monografii historycznych poświęconych historii politycznej, społecznej i gospodarczej XIX w.; przewodnicząca Komitetu, który w całej Polsce organizował uroczystości stulecia Wiosny Ludów i opracował historię tej rewolucji.

Rok 1848 to wielki rok burzliwego przebudzenia się mas ludowych z ciężkiego snu niewoli do samodzielnego twórczego życia, to radosna „wiosna ludów". Cała Europa zachodnia [1])

[1]) Francja, Włochy, Austria, Węgry, Prusy, Polska pod zaborem pruskim i austriackim

przedstawiała wówczas teren krwawych zapasów w imię wyzwolenia spod wszelkiego ucisku czy to narodowościowego, czy politycznego, czy społecznego. Narody, ciemiężone, wynaradawiane przez silniejszych zaborców, zapragnęły zrzucić z siebie obce jarzmo; ludy, deptane ciężką, bezwzględną stopą monarchów, ostrym podmuchem rewolucyjnym zmiotły swych władców z ich wyniosłych tronów; wreszcie, ocknięte z długiego letargu, masy robotnicze, pozbawione dotychczas wszelkich praw i środków do ludzkiego bytowania, stanęły również do walki z wyzyskiem; wystąpiły więc nie tylko przeciw rządom współczesnym i w imię nie tylko wolności politycznej, lecz zarazem przeciwko krzywdom natury społecznej, przeciw uprzywilejowanym warstwom społecznym. Bój rozpoczęty i prowadzony przez różne grupy społeczne na różnych terenach, w imię różnorodnych haseł, zawsze jednak toczył się o wolność i równość.

Stare to hasła. Wypadki z piątego dziesiątka lat XIX wieku to nie początek walki o wolność, lecz późniejsze jej przejawy, przejawy jednak niezmiernej wagi z powodu siły wyładowanej energii rewolucyjnej przez ogół ciemiężonych oraz z powodu wielkich rezultatów, jakie osiągnęły. Bo choć bezpośrednio wszędzie prawie odpowiedzią na rewolucję była ciężka reakcja, ucisk niekiedy jeszcze dotkliwszy, to jednak rewolucja ta stworzyła podstawę dla ustroju konstytucyjnego w większości krajów Europy zachodniej i środkowej, w wielu wypadkach dla wolności narodowościowej; rewolucja ta umożliwiła i dała wytyczne postępowania po drodze wyzwolenia jednostki, dała początek otwartej światowej walce społecznej i wysunęła ją na plan pierwszy przed polityczną i narodową.

## Wrażenia człowieka z ludu w dniu ogłoszenia Rządu Tymczasowego

Erckmann - Chatrian: *Historia człowieka z ludu*

Erckmann - Chatrian, dwaj powieściopisarze francuscy, którzy pisali wspólnie powieści historyczne. Emil — (1822—1889) i Aleksander — (1826—1890). Tłem ich powieści były przeważnie dzieje Francji. Przedstawiali oni uczucia i życie ludu w czasie wypadków wielkiej rewolucji i okresu napoleońskiego *(Historia chłopa)*, oraz w rewolucji 1848 r. *(Historia człowieka z ludu)*.

Dnia 26 lutego 1848 r. wmieszałem się w tłum idący w kierunku Sekwany. Tłum rósł z minuty na minutę, a na placu Notre-Dame trudno już było przechodzić. Dostałem się jednak pod ratusz o trzeciej godzinie i stanąłem na kupie kamieni, aby zobaczyć, co znaczy to wielkie zgromadzenie. Nigdy nie widziałem tylu głów, bagnetów, sztandarów, tylu kobiet, dzieci, starców. To było coś nadzwyczajnego!

Jakieś osoby ukazywały się od czasu do czasu za wysokimi oknami ratusza i zaraz podnosił się gwałt, okrzyki idące aż do bulwarów i do Luwru, aż za Most Nowy. Bóg wie, ile tysięcy ludzi czekało na coś nadzwyczajnego. Śpiew *Marsylianki* słychać było to z tej, to z tamtej strony — poza tym cisza. Tylko czasem w wilgotnym powietrzu słychać było ciche głosy kobiet, które chciały się wydostać. Ale nie ruszano się, aby nie stracić miejsca.

Po jakiejś półgodzinie wielki szum rozszedł się po placu, ucichł śpiew *Marsylianki*. Poprzez tłum niezliczony zobaczyłem kilku ludzi z trójkolorowymi kokardami, z gołymi głowami zstępujących ze schodów ratusza. Usłyszałem szept: „Lamartine, Dupont, dę L'Eure, Louis Blanc“ [2]). — Zobaczyłem cały Rząd Tymczasowy. Dupont bielutki, podtrzymywany pod ręce, wzruszał serca ludu. Inni wydawali się wobec niego młodzi.

---

[1]) Czytaj: Notr-Dam.

[2]) Czytaj: Lamartin, Dupą, de Ler, Lui Blank.

Lamartine wszedł na prowizoryczną estradę. Był wysoki, prosty, siwiejący, wstęga trójkolorowa pierś mu przepasywała. W ręku trzymał papier, który miał czytać, ale nie czytał, lecz mówił swobodnie, głośno i wyraźnie, tak że słyszałem każde jego słowo:

„Obywatele! Rząd Tymczasowy Republiki ogłasza wam dobre nowiny. Monarchia jest obalona. Ogłasza się republikę. Lud będzie miał prawa polityczne. Warsztaty Narodowe otwarte są dla bezrobotnych. Armia się reorganizuje. Gwardia Narodowa łączy się z ludem, aby ład został wprowadzony tymi samymi rękami, które zdobyły wolność. Wreszcie, obywatele, Rząd Tymczasowy przynosi wam dekret przedyskutowany i podpisany na tej pamiętnej sesji: zniesienie kary śmierci dla więźniów politycznych. Jest to najpiękniejszy dekret, obywatele, jaki kiedykolwiek został wydany przez lud zaraz po zwycięstwie. Charakter narodu francuskiego wyrywa się w nim jak okrzyk duszy jego Rządu. Przynosimy wam, składamy narodowi najwyższy hołd jako wyraz jego własnej wspaniałomyślności."

Głos Lamartina był silny, piękny, poważny. Słychać go było na całym placu. Gdy skończył, ozwały się okrzyki: Niech żyje rewolucja! Niech żyje Lamartine! Niech żyje Rząd Tymczasowy! Głosy leciały ku niebu przez ulice, bulwary, jak uderzenie gromu.

Któż by wówczas pomyślał, że rewolucja może upaść. Widocznie nie dorośliśmy jeszcze do tego, aby ją móc utrzymać. Po dniach lutowych przyszły straszne dni czerwcowe, walki bratobójcze, które okryły Francję żałobą.

### Społeczna rewolucja czerwcowa we Francji w r. 1848

Natalia Gąsiorowska: *Wiosna ludów*

Rząd Tymczasowy, który wyszedł z rewolucji lutowej we Francji, nie był jednolity. Dwa stronnictwa republikańskie: umiarkowanych i socjalistów, połączyły się i wystąpiły solidarnie, by zwalczyć monarchię. Gdy jednak cel został osią-

gnięty, republikanie zamierzali zatrzymać rewolucję i urządzić republikę demokratyczną jak najprędzej, podczas gdy socjaliści parli jeszcze naprzód chcąc przeprowadzić rewolucję społeczną.

Jako hasło naczelne Rząd Tymczasowy postawił zwierzchnictwo ludu, dał prawną gwarancję pracy, stworzył warsztaty narodowe. Wszystko to jednak nie było czynem, lecz pozostało demokratycznie brzmiącą zasadą, której bynajmniej nie odpowiadała rzeczywistość. Rząd zorganizował, uprawnił antagonizmy społeczne, a niczego nie uczynił, by je rozwiązać. Dlatego też proletariat w poczuciu praw swych niezaspokojonych był rozgoryczony, burżuazja w poczuciu siły faktycznej usiłowała odebrać proletariatowi świeżo zyskane przezeń prawa.

Myśl warsztatów narodowych wysunięta przez socjalistę Ludwika Blanca [1]) została wypaczona. Miały one dostarczyć robotnikom pracy zawodowej, gdyż rewolucja wiele fabryk zamknęła; tymczasem Rząd zostawił tylko nazwę i zepsuł rzecz samą. Robotnikom w warsztatach narodowych wyznaczono roboty ziemne w Paryżu. Zajęcie takie nie mogło wystarczyć na czas dłuższy, a tymczasem ilość robotników bez pracy wzrastała ustawicznie; w maju znalazło się ich w warsztatach narodowych sto tysięcy. Organizacja warsztatów i kierunek ich były oddane ministrowi handlu i robót publicznych, nieprzyjacielowi Blanca.

W końcu maja na porządek dzienny Zgromadzenia Ustawodawczego weszła sprawa warsztatów narodowych. Istnienie ich faktycznie nie było usprawiedliwione niczym innym, jak nędzą bezrobotnego proletariatu, a więc stanowiły one jałmużnę rzuconą proletariatowi przez rząd burżuazyjny, który inaczej olbrzymiej kwestii pracy nie chciał rozwiązać. Jałmużna zaś wyrażająca się w setkach tysięcy franków dziennie, rzucanych bezużytecznie, bo prace ziemne były krajowi zupełnie niepotrzebne, faktycznie stała się zbyt wielkim ciężarem.

Dnia 21 czerwca Zgromadzenie ogłosiło rozwiązanie warsztatów, polecając robotnikom udać się na prowincję dla osu-

[1]) Czytaj: Blanka

szania moczarów lub też wzywając ich do wstępowania do armii. Gdy delegaci robotników próbowali uzyskać cofnięcie powyższego dekretu grożąc, że robotnicy nie zechcą mu się poddać, minister robót publicznych dał odpowiedź: „Potrafimy zmusić ich do tego siłą".

Dnia 23 czerwca odbyło się pierwsze olbrzymie zgromadzenie ludowe przed Panteonem w dzielnicy studenckiej i robotniczej, gdzie postanowiono nie poddać się i stoczyć walkę. Nazajutrz na placu Bastylii złożono przysięgę: wolność lub śmierć.

Wojna domowa rozpoczęła się.

Burżuazja republikańska stanęła wobec dwu nieprzyjaciół: wobec ludu na ulicy oraz wobec reakcji monarchistów w Zgromadzeniu, i walkę na dwa fronty toczyła jednocześnie. Dla tej walki powierzyła władzę dyktatorską w ręce Cavaignaca [1]), który był zdecydowanym republikaninem, ale też nieugiętym generałem, zdolnym do stłumienia rewolucji.

Cavaignac ogłosił stan oblężenia w Paryżu. Rozpoczęła się straszna, niebywała dotychczas walka, walka o panowanie jednej klasy społecznej nad pozostałymi. Lud bez wodzów, którzy przeważnie byli aresztowani już wcześniej, bez planu, żywiołowo, ze świadomością jedynie swej krzywdy ekonomicznej, która kazała mu mrzeć tysiącami z głodu, stanął na barykadach. Przeciw sobie miał liczną, karną armię.

A jednak lud swą siłą raczej moralną niż fizyczną sprawił, że 4 dni w obronnej postawie wytrzymał ataki nieprzyjaciela. 26 czerwca wzięto ostatnią barykadę.

Po zwycięstwie nastąpiło kojenie uczuć zemsty na ludzie, który błogi spokój zamącił. Dziesiątki tysięcy po ukończeniu walki ulicznej rozstrzelano lub zesłano do katorgi na śmierć pewną. Żałoba okryła stolicę.

Zgromadzenie pokonawszy „anarchię" wróciło do pracy ustawodawczej z hasłem: „porządek w wolności". Porządek został ocalony, należało ratować wolność. Bardzo ważną kwestią było, kto osiągnie prezydenturę. Demokraci postanowili

---

[1]) Czytaj: Kaweniaka

głosowanie powszechne w formie plebiscytu sądząc, że ich kandydat, popularny i znany Cavaignac, zwycięży w wyborach. I oto ku wielkiemu ich zdumieniu w grudniu 1848 roku z urny wyborczej wyszedł przeszło 5 milionami głosów na 7 milionów głosujących Ludwik Napoleon, bratanek wielkiego Napoleona. Ten prezydent, zjednawszy sobie ludność wiejską hasłem: „cesarstwo to pokój", po 4 latach dokonał zamachu stanu i wyszedł z drugiego plebiscytu prawie jednogłośnie jako cesarz Napoleon III 2 lutego 1852 r.

## Socjalizm

### Adam Mickiewicz: artykuł w *Trybunie Ludów* z 15 i 17 kwietnia 1849 r.

Adam Mickiewicz — (1798—1855), nie tylko poeta, ale i świetny publicysta, który redagował w r. 1849 w Paryżu po francusku *Trybunę Ludów* — pismo głoszące konieczność jednoczenia się wszystkich ludów w walce z królami, z kapitalistami, z tym wszystkim, co było złem i tyranią. Ideowo zbliżony był najwięcej do socjalizmu utopijnego Saint-Simona [1].

Socjalizm jest to wyraz całkiem nowy. Kto wytworzył ten wyraz? Nie wiadomo. Wyrazy najstraszliwsze są te, których nikt nie utworzył, ale które każdy powtarza. Socjalizm pierwszy raz wystąpił urzędowo za dni Lutego w programach ludowych. Nazwiska twórców tych programów nie są znane. Nieznana ręka nakreśliła w nich nazwę *socjalizm* ku wielkiemu przerażeniu wszystkich zawodowych Baltazarów [2]) Francji.

Stare społeczeństwo i wszyscy ci, którzy je przedstawiają, nie pojmując znaczenia tego wyrazu, wyczytali w nim swój wyrok śmierci i dają władzy tylko tę jedną radę, żeby wytarła ten wyraz, którego nie można odcyfrować.

Ale zatrzeć to jeszcze nie unicestwić. Nie można zatrzeć słów, które tysiąckrotnie są codziennie powtarzane w pismach

---

[1]) Czytaj: Sę Simona.

[2]) Baltazar — ostatni król Babilonu, któremu według Biblii Bóg przepowiedział zgubę.

publicznych i które się stały hasłami stronnictw politycznych. Nie można unicestwić stronnictwa politycznego zabraniając mu głosić swego hasła, swe zasady.

Uchylać się od walki to jeszcze nie znaczy uniknąć niebezpieczeństwa; uchylanie się od walki ze strony starego społeczeństwa dowodzi nam dostatecznie, że ono ma świadomość niebezpieczeństw, które mu grożą. Stare społeczeństwo widzi, jak jest zaczepiane ze wszystkich stron. Czego mu brak— to zaiste nie prokuratorów i żandarmów. Ono rozporządza większymi siłami brutalnymi, niż kiedykolwiek rozporządzało cesarstwo rosyjskie. Czego mu brak — to podstawy moralnej, przekonania, idei.

. . . . . .

Nieprzychylna postawa zajmowana wciąż jeszcze wobec wszelkiego systemu socjalistycznego polega na tym, że go uważają za samo tylko przeczenie.

Nie — system socjalistyczny nie jest jedynie przeczeniem. Możecie twierdzić, że uczucie, które jest jego zarodkiem, nie nabrało jeszcze siły do pokonania oporu gleby rodzinnej, atmosfery naszej planety i nieżyczliwości ogrodnika urzędowego. Możecie twierdzić, że wewnętrzna myśl socjalizmu nie nabrała jeszcze dostatecznej jasności, aby przedrzeć się przez źrenicę ludzi dzierżących władzę, przedstawicieli społeczeństwa wrogiego dla socjalizmu, ale nie macie prawa oskarżania socjalizmu o to, że jest tylko przeczeniem.

Socjalizm nowożytny jest tylko wyrazem poczucia tak starego, jak poczucie życia, wyrazem odczuwania tego, co w naszym życiu jest niezupełne, obcięte, nienormalne, a wskutek tego nieszczęśliwe. Poczucie socjalistyczne jest porywem ducha ku lepszemu bytowi — nie indywidualnemu, lecz wspólnemu, solidarnemu. To poczucie przebudziło się z siłą całkiem nową, na to się zgadzamy; jest to jakby nowy zapał.

Socjalizm, jako całkiem nowy, ma nowe pragnienia i nowe zapały, których pojąć nie mogą ludzie starego społeczeństwa, podobnie jak pragnienia młodzieńca nie mogą być zrozumiane przez dziecko lub zdziecinniałego starca.

# POCZĄTKI NOWOCZESNEGO RUCHU ROBOTNICZEGO

## Manifest Komunistyczny Karola Marksa i Fryderyka Engelsa

Karol Marks — (1818—1883), uczony filozof i ekonomista, twórca socjalizmu naukowego i czynny rewolucjonista. W r. 1843 wyjechał z Niemiec do Paryża i nawiązał stosunki z francuskim ruchem rewolucyjnym. W r. 1847 wspólnie ze swym przyjacielem Fryderykiem Engelsem przystąpił do tajnego międzynarodowego Związku Komunistów i opracował dla niego słynny *Manifest Komunistyczny*. W czasie rewolucji 1848 r. wydawał w Niemczech *Nową Gazetę Reńską*. Wydalony z Niemiec, a potem z Francji, osiadł w 1849 r. w Londynie, gdzie zorganizował I Międzynarodówkę w r. 1864.

*Manifest Komunistyczny* Karola Marksa i Fryderyka Engelsa, wydany w 6 językach w przededniu rewolucji r. 1848 — wiosny ludów, owiany wiarą wszystkich ówczesnych rewolucjonistów w braterstwo ludów, jest nie tylko wyzwaniem rzuconym śmiało wszystkim despotom rządzącym wtedy Europą, nie tylko płomienną odezwą wzywającą proletariat wszystkich krajów do rewolucji społecznej. Jest to jednocześnie pierwsze sformułowanie naukowej myśli socjalistycznej i podstaw już nowoczesnego, tzw. naukowego, a nie marzycielskiego, jak dotąd, utopijnego socjalizmu. Jest to pierwsze sformułowanie zasad idei, dokoła której później skupiły się organizacje. Wypowiada się tu w pełni wielki twórca tej idei — Marks — uczony, Marks — agitator, Marks — rewolucjonista. On bowiem, ten wielki uczony, który wywarł olbrzymi wpływ na rozwój nauk ekono-

micznych i społecznych naszych czasów, całą swą przebogatą wiedzę oddaje sprawie wyzwolenia proletariatu, przekuwa ją od razu w oręż w walce. On pierwszy (i to go odróżnia od współczesnych mu działaczy rewolucyjnych) wiedzę czyni podstawą walki proletariatu o wyzwolenie, przemawia nie tylko do uczucia, ale i do rozumu, nie tylko walczy, ale i uczy. Jest pierwszym nauczycielem klas pracujących. Uczy je ekonomii — nauki o gospodarstwie społecznym i socjologii — nauki o społeczeństwie. Podczas gdy inni rewolucjoniści pobudzają tylko do buntu i to im wystarcza, Marks budzi świadomość klasową, tj. uczy rozumieć, jaka jest rola społeczna klas pracujących, wskazuje drogi rozwoju społeczeństwa, daje metodę walki. Tym sposobem *Manifest Komunistyczny* jest odezwą, a jednocześnie jedną z pierwszych broszur popularnonaukowych, wykładającą w sposób przystępny podstawy ustroju społecznego.

*J. K.*

## Manifest Komunistyczny

### (w wyjątkach)

Straszne widmo zawisło nad Europą — widmo komunizmu. Wszystkie potęgi starego społeczeństwa: papież i car, Metternich i Guizot [1]), francuskie radykały i niemieckie szpiegi wzięły się za ręce w świętej za nim pogoni. Gdzież jest partia opozycyjna, której by dzierżący władzę jej przeciwnicy nie czynili zarzutów komunistyczności? Czy znajdziesz chociażby jedno stronnictwo opozycyjne, co by nie próbowało obalić zarówno radykalniejszych od siebie, jak i reakcjonistów zarzutem komunizmu?

Fakt ten rodzi dwie konsekwencje. Po pierwsze: komunizm uznany zostaje jako siła przez wszystkie prawie potęgi Europy. Po drugie: czas już wielki komunistom zasady swoje, dążenia i cele światu całemu ogłosić, czas wielki przeciw bajkom o widmie komunizmu z Manifestem wystąpić. W tym

[1]) Ministrowie Austrii i Francji. Czytaj: Gizo.

właśnie celu komuniści rozmaitych narodowości, zjechawszy się w Londynie, ułożyli następujący Manifest dla ogłoszenia go po angielsku, francusku, niemiecku, włosku, flamandzku i duńsku.

## Burżuazja i proletariat

Historia dotychczasowych społeczeństw jest historią walk klasowych.

Wolny i niewolnik, patrycjusz i plebejusz, pan i poddany, cechowy majster i czeladnik, ciemiężca i uciśniony — pozostawali w wiecznym antagonizmie prowadząc skrycie lub jawnie ustawiczną przeciw sobie walkę tak długo, aż się ona kończyła rewolucyjnym przetworzeniem całego społeczeństwa lub wspólną zgubą walczących klas...

Czasy nasze, czasy panowania burżuazji uprościły przeciwieństwa klas. Cała społeczność coraz wyraźniej łamie się na dwa wielkie obozy, na dwie wielkie, występujące bezpośrednio do walki klasy: burżuazję i proletariat.

Wielki przemysł stwarza rynek powszechny, przygotowany już przez odkrycie Ameryki. Rynek powszechny wywołuje olbrzymi rozwój handlu, żeglugi i w ogóle środków komunikacji, a ten oddziaływa znów na wzrost przemysłu. W miarę jak rozwija się przemysł, handel, żegluga, koleje żelazne, wzrasta też potęga burżuazji, kapitały jej mnożą się — a wszystkie klasy starego, średniowiecznego społeczeństwa ustępują pod jej naciskiem z areny dziejowej.

Z rozwojem wielkiego przemysłu i powstaniem rynku powszechnego burżuazja współczesna, jako najpoważniejsza podstawa wielkich monarchii, zdobywa sobie w nowoczesnym państwie konstytucyjnym wyłączne panowanie polityczne. Nowożytne rządy są jedynie komitetami ustanowionymi dla kierowania społeczno-klasowymi interesami burżuazji.

Podobnie jak niezmienność w starym systemie produkcji była koniecznym warunkiem istnienia dawniejszych klas przemysłowych, tak nieodłącznym warunkiem istnienia burżuazji

jest ustawiczne rewolucjonizowanie środków produkcji, a więc i samej jej organizacji, a więc i całego społeczeństwa. Burżuazyjny okres cechują przede wszystkim ciągłe przewroty w produkcji, nieustanne wstrząśnienia wszystkich stosunków społecznych i wieczna niepewność, wieczne falowanie. Wszelkie nienaruszalne, skamieniałe stosunki z porodzonymi przez nie, a od dawien dawna szanowanymi poglądami i pojęciami, upadają, wszelkie zaś nowe starzeją się rychlej, niż stężeć mogą. Wszelka kastowość i nieruchomość przepada, wszelka świętość druzgoce się, a człowiek zmuszony jest wreszcie oceniać trzeźwym okiem stanowisko swoje i swój do innych stosunek.

Wciąż bardziej wzrastająca potrzeba szukania rynków zbytu dla towarów pędzi burżuazję po całej kuli ziemskiej. Wszędzie musi się ona zagnieździć, urządzić i wszędzie zarzucić swoje sieci.

Przez szybko postępujące doskonalenie środków produkcji i przedziwnie ułatwione środki komunikacji burżuazja popycha na cywilizacyjne drogi wszystkie zgoła — nawet barbarzyńskie — kraje. Przystępne ceny są dla niej działami ciężkiego kalibru, którymi przebija mury chińskie i nakazuje kapitulować najupartszej nienawiści do cudzoziemszczyzny. Zmusza ona wszystkie narody, które nie chcą zginąć, do zastosowania u siebie burżuazyjnego systemu produkcji — zmusza je do cywilizowania się, czyli do rozwoju w duchu burżuazyjnym. Słowem — tworzy światy nowe na obraz i podobieństwo swoje.

Burżuazja podbija wieś na rzecz miasta, stwarza olbrzymie centra, zwiększa liczbę ludności miejskiej w porównaniu do wiejskiej i znaczny procent ludności wyrywa z warunków życia wiejskiego. Podobnie, jak wieś od miasta, uzależnia ona barbarzyńskie i na wpół barbarzyńskie ludy od cywilizowanych, rolne od przemysłowych.

Burżuazja przez czas swego stuletniego panowania klasowego stworzyła potężniejsze i kolosalniejsze siły wytwórcze, niż wszystkie poprzedzające ją pokolenia razem wzięte. Ujarzmienie sił przyrody, maszyny, zastosowanie chemii do przemysłu i rolnictwa, żegluga parowa i koleje żelazne, telegrafy,

umożliwienie eksploatacj rolnej całych krajów, regulacja rzek, masy ludności, niby spod ziemi wyrastające — któreż z poprzednich stuleci marzyć mogło, że taka potęga sił wytwórczych kryje się w łonie pracy społecznej?

Burżuazyjne warunki produkcji i wymiany, burżuazyjna forma posiadania — współczesne społeczeństwo kapitalistyczne, które czarodziejsko niby stworzyło owe potężne środki produkcji i komunikacji, podobne jest dzisiaj do czarnoksiężnika, co nie umie okiełznać siły podziemnej, jaką zaklęciem na usługi sobie zawezwał. Od kilku dziesiątków lat historia przemysłu i handlu jest jedynie historią zatargu współczesnych sił wytwórczych ze współczesną organizacją produkcji, ze współczesną formą posiadania, które są warunkami istnienia burżuazji i jej panowania. Wystarcza wspomnieć o kryzysach handlowych, które ponawiając się periodycznie zagrażają istnieniu całego ustroju burżuazyjnego. Kryzysy handlowe regularnie niszczą nie tylko znaczną część wytworzonych produktów, ale i masy stworzonych już sił wytwórczych. W kryzysach objawia się epidemia, którą ubiegłe wieki uważałyby za niedorzeczność — epidemia nadprodukcji. Społeczeństwo zostaje nagle cofnięte do stanu chwilowego barbarzyństwa i jak po głodzie lub niszczącej wojnie pozbawione zostaje wszelkich środków do życia — przemysł i handel zamiera. A dlaczego? Gdyż społeczeństwo dzisiejsze posiada za wiele środków do życia, za wiele przemysłu i handlu, za wiele cywilizacji! Burżuazyjne formy własności stały się zbyt ciasne, aby objąć wytworzone przez nie bogactwa. Jakże się broni kapitalizm przed grożącymi kryzysami? Z jednej strony przez przymusowe niszczenie całej masy sił wytwórczych, z drugiej zaś przez zdobywanie nowych rynków i gruntowniejszą eksploatację dawnych. Jakaż to więc obrona? Taka, która jeszcze wszechstronniejsze i gwałtowniejsze wywoła kryzysy, a środki zapobiegania im zmniejszy.

Broń, którą burżuazja zniszczyła feudalizm, zwraca się przeciwko niej samej.

Burżuazja atoli nie tylko ukuła broń, od której zginie, ale zrodziła także ludzi, którzy tę broń do ręki wezmą. Burżuazja zrodziła nowoczesnych robotników — p r o l e t a r i a t.

W tym samym stopniu, w jakim rozwija się burżuazja czyli kapitał, powstaje także proletariat, klasa robotników współczesnych, co póty żyć mogą, póki mają pracę, a dopóty tylko pracę znajdują, dopóki ona pomnaża kapitał. Robotnicy, którzy się sprzedawać muszą, stają się towarem, jak i każdy inny przedmiot handlu, a przez to są igraszką konkurencyjnej przypadkowości i ustawicznego falowania rynku.

Rozwój proletariatu przechodzi rozmaite fazy. Jego walka przeciw burżuazji rozpoczyna się od chwili jej powstania.

Z początku robotnicy walczą pojedynczo, potem robotnicy jednej fabryki, następnie robotnicy jednego fachu w danej miejscowości występują przeciwko kapitaliście wyzyskującemu ich bezpośrednio. W walce tej powstają nietylko przeciwko burżuazyjnym warunkom produkcji, ale rzucają się także na narzędzia pracy, niszczą obce, wywołujące konkurencję towary, rozbijają maszyny, podpalają fabryki, starają się powrócić na dawne stanowisko średniowiecznego robotnika.

Ale wraz ze wzrostem przemysłu proletariat wzrasta nietylko liczebnie, zbija się w wielkie masy, siła jego rośnie i coraz bardziej czuje on tę siłę. Zatarg pojedynczego robotnika z pojedynczym wyzyskiwaczem coraz bardziej przybiera charakter zatargu dwu klas. Robotnicy zaczynają się jednoczyć przeciw burżuazji, walczą wspólnymi siłami o wysokość płacy zarobkowej. Powstają nawet stałe związki, które przychodzą z pomocą w chwilach wybuchów i walk. Tu i ówdzie walka przechodzi w bunty powstańcze.

Niekiedy zwyciężają robotnicy, ale nie na długo. Istotnym rezultatem ich walk jest nie bezpośrednie zwycięstwo, lecz coraz szerzej sięgające jednoczenie się sił proletariatu. Pracy zjednoczenia sprzyja wywołany przez postępy wielkiego przemysłu rozwój środków komunikacji i nawiązanie stosunków pomiędzy robotnikami rozmaitych miejscowości. W ten sposób lokalne walki robotników centralizują się w jedną wielką walkę klasowo - narodową. Wszelka wszakże walka klas jest walką polityczną. A zjednoczenie, na które średniowiecze ze swymi drogami kołowymi potrzebowałoby wieków, proletariat

nowoczesny urzeczywistnia dzięki kolejom żelaznym w ciągu kilku lat.

Spomiędzy wszystkich współczesnych wrogów klasowych burżuazji tylko proletariat jest wobec niej klasą istotnie rewolucyjną. Wszystkie inne klasy upadają i zanikają z rozwojem wielkiego przemysłu, proletariat zaś jest jego produktem. Stan średni, drobni przemysłowcy, mały handlarz, rzemieślnik, chłop walczą z burżuazją, aby swój byt, jako byt stanów średnich, obronić przed zgubą. Są one przeto nie rewolucyjne, lecz zachowawcze, co więcej — są reakcyjne, gdyż bieg postępowy historii radeby wstecz cofnąć.

Wszystkie ruchy dziejowe dotychczas były ruchami mniejszości, ruchami w interesie mniejszości. Ruch zaś proletariatu jest ruchem olbrzymiej większości w interesie tejże większości. Proletariat, ta najniższa warstwa obecnego społeczeństwa, nie może się podnieść, nie może się wydźwignąć, nie wysadzając w powietrze całego rusztowania warstw, stanowiących społeczeństwo oficjalne. Walka proletariatu przeciw burżuazji jest walką narodową. Proletariat każdego kraju musi z natury rzeczy skończyć przede wszystkim ze swoją własną burżuazją.

Śmierć burżuazji i zwycięstwo proletariatu są jednakowo nieuniknione.

## Proletariat i komuniści

Komuniści dążą do zniesienia burżuazyjnej własności prywatnej! Nie myślimy jednak znosić osobistego przywłaszczania produktów pracy koniecznych do życia. Nie myślimy znosić takiego osobistego przywłaszczenia, które nie daje żadnych „czystych dochodów“ i dać nie może panowania nad cudzą pracą. Chcemy jedynie znieść nędzę takiego przywłaszczania, które pozwala robotnikowi żyć dlatego tylko, by pomnażać kapitał, i dopóty tylko, póki dla interesów klasy panującej jest to potrzebne.

Oburzacie się na to, że chcemy znieść własność prywatną. Ale w waszym obecnym społeczeństwie dla $^9/_{10}$ jego członków własność jest już zniesiona. Istnieje ona dla burżuazji

dlatego też i dzięki temu tylko, że dla owych $^{9}/_{10}$ nie masz jej właśnie.

Chwila, w której praca nie da się nadal przeistaczać w kapitał, pieniądze, rentę, tj. chwila, w której własność prywatna nie będzie mogła stawać się własnością burżuazyjną, chwila ta — wołacie — będzie zarazem chwilą zaguby wszelkiej indywidualności. Świadczycie tedy sami, że indywidualnością dla was jest tylko wyłącznie kapitalista, posiadacz burżuazyjny. Indywidualność taka najistotniej zniszczona być powinna ze szczętem.

Stronniczość, z jaką wasz system produkcji i posiadania ogłaszacie za wieczne prawo natury i rozumu, a nie za wytwór warunków historycznych upadających z dalszym rozwojem produkcji, charakterystyczna jest nie tylko dla was. Owszem, widzieliśmy ją we wszystkich klasach, których panowanie już upadło. Nie chcecie zastosować do własności burżuazyjnej tego, co zrozumiałe jest dla was wyśmienicie w stosunku do form własności starożytnej i feudalnej.

Dążąc do pochwycenia władzy politycznej i zorganizowania się w klasę narodową, do ukonstytuowania się jako naród, proletariat musi być narodowym, jakkolwiek nigdy w znaczeniu burżuazyjnym. Narodowe odgraniczenia i antagonizmy ludów znikają coraz bardziej. Panowanie proletariatu posunie to jeszcze dalej! Zjednoczona akcja wszystkich cywilizowanych krajów jest pierwszym warunkiem wyzwolenia klas pracujących.

O ile znikać będzie wyzyskiwanie jednostki przez jednostkę, o tyle też zanikać musi wyzyskiwanie narodu przez naród. Z upadkiem antagonizmu klas wewnątrz narodu upada też wrogi stosunek jednych narodowości do drugich.

Rewolucja komunistyczna jest najradykalniejszym zerwaniem z przekazanymi nam systemami posiadania, a więc jej rozwój najradykalniej walczy z pozostałościami starych idei. Pierwszym krokiem rewolucji robotniczej jest podniesienie proletariatu na stanowisko klasy panującej, czyli wywalczenie demokracji. Proletariat zużytkuje swoją władzę w tym kierun-

ku, że stopniowo wyzwalać będzie z rąk burżuazji kapitał, że narzędzia pracy (fabryki) scentralizuje w ręku państwa zorganizowanego jako klasa panująca proletariatu, że wreszcie masę sił produkcyjnych wedle możności szybko powiększy.

Władza polityczna jest dziś zorganizowaną siłą jednej klasy dla ucisku innej. Proletariat jako klasa panująca z chwilą przeistoczenia warunków produkcji zniszczy warunki istnienia antagonizmu klas i same klasy, a więc nawet i swoje panowanie klasowe.

W ten sposób ze starego burżuazyjnego społeczeństwa z jego klasami wyłoni się społeczeństwo, w którym swobodny rozwój każdego będzie warunkiem koniecznym wolnego rozwoju wszystkich.

### Stanowisko komunistów wobec rozmaitych partii opozycyjnych

...Komuniści popierają wszędzie wszelki ruch rewolucyjny przeciw istniejącym stosunkom społecznym i politycznym.

Komuniści za niegodne uważają ukrywać swoje poglądy i zamiary. Wyznają oni otwarcie, że ich cele dopięte będą jedynie przez gwałtowny przewrót całego dotychczasowego ustroju społecznego. Niech drżą klasy panujące przed rewolucją komunistyczną. Proletariat nie ma w niej do stracenia nic oprócz kajdan, a zdobyć może cały świat.

Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

### MARKS i ENGELS — dwaj przyjaciele

W. I. Lenin — z artykułu napisanego w 1895 r. po śmierci Fryderyka Engelsa.

Lenin — wódz rewolucji proletariackiej w Związku Radzieckim, genialny kontynuator idei Karola Marksa, którą umiał wcielić w życie (szczegóły biograficzne zob. str. 114).

Od chwili gdy los zetknął Karola Marksa z Fryderykiem Engelsem, praca życiowa obu przyjaciół stała się ich wspólnym dziełem. Marks i Engels byli pierwszymi, którzy dowiedli, że

nie pełne dobrych intencji usiłowania poszczególnych szlachetnych jednostek, lecz walka klasowa zorganizowanego proletariatu wyzwoli ludzkość od trapiących ją obecnie plag. Marks i Engels byli pierwsi, którzy wyjaśnili w swoich pracach naukowych, że socjalizm to nie wymysł marzycieli, lecz ostateczny cel i konieczny rezultat rozwoju sił wytwórczych współczesnego społeczeństwa. Wszelka pisana historia była do tej pory historią walki klasowej, zmianą panowania i zwycięstw jednych klas społecznych nad innymi. I będzie to trwać dopóty, dopóki nie znikną podstawy walki klasowej i klasowego panowania — własność prywatna i bezładna produkcja społeczna. Interesy proletariatu wymagają unicestwienia tych podstaw i dlatego przeciw nim powinna być skierowana świadoma walka klasowa zorganizowanych robotników; wszelka zaś walka klasowa jest walką polityczną.

Te poglądy Marksa i Engelsa przyswoił sobie obecnie cały walczący o swe wyzwolenie proletariat, ale wówczas, kiedy obaj przyjaciele w latach 40-tych [1]) przystąpili do współpracy w socjalistycznej literaturze i w ówczesnych ruchach społecznych, takie poglądy były całkowitą nowością. Było wówczas wielu ludzi utalentowanych i wielu nieudolnych; wielu uczciwych i wielu bezecnych, którzy dali się porwać do walki o wolność polityczną, do walki z samowładztwem carów, policji i księży, lecz nie widzieli przeciwieństwa interesów burżuazji i proletariatu. Ludzie ci nie dopuszczali nawet myśli, aby robotnicy mogli występować jako samodzielna siła społeczna. Z drugiej strony, było wielu marzycieli, czasem genialnych, którzy mniemali, że trzeba jedynie przekonać rządzących oraz klasy panujące o niesprawiedliwości współczesnego porządku społecznego, a wówczas z łatwością będzie można zaprowadzić pokój na ziemi i powszechny dobrobyt. Marzyli oni o socjalizmie bez walki. Wreszcie prawie wszyscy ówcześni socjaliści i w ogóle przyjaciele klasy robotniczej widzieli w proletariacie jedynie ropiejący wrzód; spoglądali z przerażeniem na to, jak wraz ze wzrostem przemysłu rośnie również ten wrzód. Dla-

[1]) 19-ego wieku.

tego wszyscy oni myśleli o tym, jakby powstrzymać rozwój przemysłu i proletariatu, wstrzymać „koło historii". W przeciwieństwie do powszechnego lęku przed rozwojem proletariatu Marks i Engels wszystkie swoje nadzieje pokładali w nieprzerwanym jego wzroście. Im więcej proletariuszy, tym większa jest ich siła jako klasy rewolucyjnej, tym bliższy i bardziej możliwy jest socjalizm. Zasługi Marksa i Engelsa wobec klasy robotniczej można wyrazić w niewielu słowach następująco: wpoili oni w klasę robotniczą wiarę w swe siły i świadomość klasową i na miejsce marzeń postawili naukę.

W owym czasie niemiecka filozofia znajdowała się pod przemożnym wpływem Hegla. Chociaż sam Hegel był wielbicielem pruskiego państwa absolutystycznego, któremu służył jako profesor berlińskiego uniwersytetu — nauka Hegla była rewolucyjna. Wiara Hegla w rozum ludzki i jego prawa oraz podstawowe założenie filozofii heglowskiej, że w świecie zachodzi nieustanny proces przemian i rozwoju, naprowadzały tych uczniów berlińskiego filozofa, którzy nie chcieli pogodzić się z rzeczywistością, na myśl, że walka z rzeczywistością, walka z istniejącą nieprawdą i panującym złem ma swoje korzenie we wszechświatowym prawie wiecznego rozwoju. Jeżeli wszystko się rozwija, jeżeli jedne instytucje zastępowane są przez inne, to dlaczegoż wiecznie ma trwać samowładztwo króla pruskiego czy cara rosyjskiego, bogacenie się drobnej mniejszości kosztem ogromnej większości, panowanie burżuazji nad ludem? Filozofia Hegla mówiła o rozwoju ducha i idei, była ona *idealistyczna*. Z rozwoju ducha wywodziła ona rozwój przyrody, człowieka i społecznych stosunków między ludźmi. Marks i Engels, zachowując myśl Hegla o wiecznym procesie rozwoju [1]), odrzucili z góry założony przez niego idealistyczny pogląd; zwróciwszy się w stronę życia spostrzegli oni, że nie rozwój ducha wyjaśnia rozwój przyrody, ale na odwrót — du-

---

1) Marks i Engels niejednokrotnie wskazywali na to, że jeśli idzie o ich własny rozwój umysłowy, to mają wiele do zawdzięczenia wielkim niemieckim filozofom, a szczególnie Heglowi. „Bez niemieckiej filozofii — mówi Engels — nie byłoby naukowego socjalizmu".

cha ludzkiego wyjaśnić należy rozwojem przyrody. W przeciwieństwie do Hegla i innych heglistów Marks i Engels byli *materialistami*. Patrząc w sposób materialistyczny na świat i ludzkość, dostrzegli oni, że podobnie jak u podstaw wszelkich zjawisk przyrody leżą przyczyny materialne, tak i rozwój społeczeństwa ludzkiego jest uwarunkowany rozwojem materialnych sił wytwórczych. *Od rozwoju sił wytwórczych zależą stosunki, które powstają między ludźmi* przy wytwarzaniu przedmiotów niezbędnych do zaspokojenia ludzkich potrzeb. W tych zaś stosunkach tkwi wyjaśnienie wszystkich zjawisk życia społecznego, ludzkich dążeń, idei i praw. Rozwój sił wytwórczych stwarza stosunki społeczne opierające się na własności prywatnej, ale obecnie widzimy, jak ten sam rozwój sił wytwórczych pozbawia większość własności i skupia ją w rękach znikomej mniejszości. Unicestwia on własność, podstawę współczesnego porządku społecznego, sam dąży do tego samego celu, który postawili sobie socjaliści. Socjaliści powinni jedynie zrozumieć, jaka siła społeczna jest zainteresowana w urzeczywistnieniu socjalizmu, powinni nadać tej sile świadomość jej interesów i historycznej misji. Tą siłą jest proletariat.

W rewolucji r. 1848, która najpierw wybuchła we Francji, a potem rozszerzyła się i na inne państwa Europy zachodniej, Marks i Engels stanęli na czele demokratycznej *Nowej Gazety Reńskiej* wydawanej w Kolonii. Obaj przyjaciele byli duszą wszystkich rewolucyjno-demokratycznych dążeń w pruskiej Nadrenii. Do ostatnich granic możliwości bronili oni interesów ludu i wolności przed siłami reakcji. Te ostatnie, jak wiadomo, zwyciężyły, *Nowa Gazeta Reńska* została zakazana; Marks został wydalony z Niemiec, a Engels wziął udział w zbrojnym powstaniu ludowym, w trzech bitwach walczył o wolność i po klęsce powstańców uciekł przez Szwajcarię do Londynu.

Zamieszkał tam również Marks. Wkrótce Engels został urzędnikiem w Manchesterze. Do r. 1870 przebywał Engels w Manchesterze, a Marks w Londynie, co nie przeszkadzało im w utrzymywaniu z sobą najżywszego duchowego kontaktu: prawie codziennie pisywali do siebie. W tej korespondencji

przyjaciele dzielili się swymi poglądami i wiedzą oraz kontynuowali wspólne opracowywanie naukowego socjalizmu. W 1870 r. Engels przeprowadził się do Londynu i aż do śmierci Marksa, tj. do r. 1883, trwało nieprzerwanie ich wspólne duchowe życie pełne wytężonej pracy. Owocem jej były — ze strony Marksa — *Kapitał* największe polityczno - ekonomiczne dzieło naszego wieku, ze strony Engelsa — cały szereg większych i mniejszych prac. Marks nie zdążył przed zgonem ostatecznie wykończyć swojej ogromnej pracy o kapitale. Brulion tej pracy był już jednak gotowy i oto Engels po śmierci przyjaciela wziął na siebie ciężki trud opracowania i wydania II i III tomu *Kapitału*. Oba te tomy pochłonęły bardzo wiele pracy. Austriacki socjaldemokrata Adler słusznie zauważył, że wydaniem II i III tomu *Kapitału* Engels wystawił swemu genialnemu przyjacielowi wspaniały pomnik, na którym mimo woli niezatartymi głoskami wyrył i swoje własne imię. Rzeczywiście, te dwa tomy *Kapitału* to praca dwóch ludzi: Marksa i Engelsa. Starożytne legendy pełne są przykładów wzruszającej przyjaźni. Proletariat europejski może chlubić się, że jego naukę stworzyło dwóch uczonych i bojowników, których przyjaźń nie ma sobie równej w najbardziej wzruszających legendach starożytności o przyjaźni pomiędzy ludźmi. Engels zawsze — i na ogół zupełnie słusznie — stawiał siebie samego na drugim planie po Marksie. „Przy Marksie — pisał on do pewnego starego przyjaciela — grałem drugie skrzypce". Żywił bezgraniczną miłość do Marksa za jego życia i głęboko czcił jego pamięć po śmierci. Ten surowy bojownik i ścisły myśliciel miał duszę pełną głębokiej miłości.

Po ruchu lat 1848 — 1849 Marks i Engels na wygnaniu zajmowali się nie tylko samą nauką. Marks stworzył w r. 1864 „Międzynarodowe Stowarzyszenie Robotników" [1]) i w ciągu całego dziesięciolecia kierował tym stowarzyszeniem. Żywy udział w jego sprawach brał również i Engels. Działalność „Międzynarodowego Stowarzyszenia", jednoczącego, zgodnie z my-

[1]) I Międzynarodówka

ślą Marksa, proletariuszy wszystkich krajów, miała ogromne znaczenie w rozwoju ruchu robotniczego. Ale nawet po zamknięciu „Międzynarodowego Stowarzyszenia" w latach 70-ych nie skończyła się rola Marksa i Engelsa jako tych, którzy jednoczyli ruch robotniczy. Przeciwnie, można powiedzieć, że znaczenie ich jako duchowych przywódców ruchu robotniczego nieustannie wzrastało, ponieważ nieprzerwanie rósł i sam ruch. Po śmierci Marksa, Engels sam jeden był w dalszym ciągu doradcą i kierownikiem socjalistów europejskich. Do niego zwracali się po rady i wskazówki zarówno niemieccy socjaliści, których siła szybko i nieprzerwanie rosła, jak i przedstawiciele zacofanych krajów — np. Hiszpanie, Rumuni, Rosjanie, którzy musieli obmyślać i rozważać swoje pierwsze kroki. Wszyscy oni czerpali z bogatej skarbnicy wiedzy i doświadczenia starego Engelsa.

Marks i Engels, którzy znali język rosyjski i czytali rosyjskie książki, żywo interesowali się Rosją, z sympatią śledzili rosyjski ruch rewolucyjny i podtrzymywali związki z rosyjskimi rewolucjonistami. Obaj oni przyszli do socjalizmu jako demokraci i demokratyczne uczucie nienawiści wobec politycznej samowoli było u nich niezwykle silne. To bezpośrednie polityczne uczucie wraz z głębokim teoretycznym zrozumieniem związku pomiędzy polityczną samowolą i ekonomicznym uciskiem, a także bogate, życiowe doświadczenie sprawiły, że Marks i Engels byli niezwykle czujni właśnie pod względem politycznym. Dlatego bohaterska walka nielicznej garstki rosyjskich rewolucjonistów z potężnym rządem carskim znajdowała w duszach tych dwóch wypróbowanych rewolucjonistów najwyższy oddźwięk współczucia. Odwrotnie, próby odwracania się, gwoli rzekomych ekonomicznych korzyści, od najbardziej bezpośredniego i najważniejszego zadania rosyjskich socjalistów — zdobycia politycznej wolności — siłą rzeczy uważali oni za podejrzane, a nawet wprost za zdradę wielkiego dzieła rewolucji społecznej. „Wyzwolenie proletariatu musi być jego własnym dziełem" — oto, czego stale uczyli Marks i Engels. Aby zaś walczyć o swoje ekonomiczne wyzwolenie, proletariat musi zdo-

być pewne polityczne prawa. Ponadto Marks i Engels jasno rozumieli, że polityczna rewolucja w Rosji będzie również miała ogromne znaczenie dla zachodnio-europejskiego ruchu robotniczego. Rosja pod rządami samowładztwa była zawsze podporą całej reakcji europejskiej. Wskutek wojny r. 1870, która na długo skłóciła Niemcy i Francję, absolutystyczna Rosja znalazła się w niezwykle korzystnym międzynarodowym położeniu, które, rzecz jasna, jedynie zwiększyło jej znaczenie jako siły reakcyjnej. Tylko wolna Rosja, nie mająca potrzeby uciskania Polaków, Finów, Niemców, Ormian i innych małych narodów ani ciągłego wzajemnego podszczuwania Francji i Niemiec, tylko taka Rosja pozwoli współczesnej Europie swobodnie odetchnąć od ciężarów wojennych, osłabi wszystkie reakcyjne elementy w Europie i zwiększy siłę europejskiej klasy robotniczej. Oto, dlaczego Engels gorąco pragnął wprowadzenia w Rosji wolności politycznej w imię powodzenia ruchu robotniczego na Zachodzie.

## Komuna Paryska

Jeśli w roku 1848 po raz pierwszy stanęła we Francji wyraźnie sprawa walki klasowej między burżuazją a proletariatem, to w roku 1871 proletariat pierwszy raz pokusił się o wzięcie władzy w swe ręce. A stało się to w warunkach niezwykle tragicznych. W czasie wojny francusko-pruskiej, gdy wojska francuskie zostały wzięte do niewoli wraz z cesarzem po bitwie pod Sedanem, wybuchła w Paryżu rewolucja i powstał Rząd Obrony Narodowej. Ponieważ Prusacy zbliżali się szybko do stolicy, a wojska nie było, powołano Gwardię Narodową do obrony, uzbrajając lud Paryża. Przez 4 miesiące Prusacy oblegali Paryż. W tym czasie bohaterski lud Paryża wybuchał, ilekroć usłyszał o możliwości poddania się Niemcom. Wreszcie rząd francuski zawarł z Prusakami zawieszenie broni. Wobec ugodowego stanowiska Zgromadzenia Narodowego i Rządu bataliony Gwardii Narodowej Paryża utworzyły Komitet Centralny republikański, rewolucyjny i socjalistyczny.

Dnia 1 marca Prusacy weszli do Paryża i zajęli kilka fortów aż do czasu spłacenia przez Francję części odszkodowania wojennego. Miasto przyjęło ich grobowym milczeniem. Komitet Centralny wystawił tylko posterunki na barykadach wiodących w głąb miasta. Ale Thiers stojący na czele rządu nienawidził republikanów i uzbrojonego Paryża więcej niż Prusaków i wczesnym rankiem 18 marca wysłał wojsko, aby zabrać zdradziecko Gwardii Narodowej działa ulane w czasie oblężenia. Zbudzony lud Paryża bronił armat i rozbroił żołnierzy, a rząd uciekł do Wersalu. Następstwem tego musiała być rewolucja i wojna domowa.

Centralny Komitet Gwardii Narodowej ogłosił wybory do Komuny Paryskiej, to znaczy do samorządu miejskiego, i oddał jej władzę. Komuna na pierwszej swej sesji ogłosiła szereg uchwał należących zasadniczo do kompetencji rządu centralnego. Było to więc wzięcie władzy w ręce przez proletariat, przez socjalistów, i pierwsza w Europie próba rządów radykalno-socjalistycznych.

Do najważniejszych uchwał Komuny należało proklamowanie republiki, którą planowano oprzeć na komunach wszystkich miast francuskich. Poza tym ogłoszono konfiskatę dóbr kościelnych, oddzielenie Kościoła od państwa, tj. uznanie religii za sprawę prywatną obywateli i zniesienie opłat na rzecz kleru. Ustanowiono sądy przysięgłych, wprowadzono zamiast wojska milicję ochotniczą bez koszarowego systemu służby, oddano warsztaty opuszczone przez właścicieli spółdzielniom robotniczym. Władzę w Komunie i prawodawczą, i wykonawczą razem sprawowali wybierani w powszechnym głosowaniu urzędnicy, odpowiedzialni przed ludem i mogący być usunięci w każdej chwili przez wyborców.

W jednej z odezw Komuny czytamy: „Rewolucja komunalna zwiastuje koniec staremu światu rządowemu i klerykalnemu, militaryzmowi i biurokracji, wyzyskowi i spekulacji,

monopolom i przywilejom, którym proletariat zawdzięcza swą niewolę, ojczyzna swe nieszczęścia i klęski."

Walka orężna pomiędzy burżuazyjnym rządem wersalskim a Komuną była nieunikniona. Rządy Komuny trwały przeszło 2 miesiące budząc strach i nienawiść klas posiadających. Kanclerz niemiecki Bismarck, który był nie mniejszym wrogiem socjalizmu niż Thiers, uwolnił wzięte do niewoli wojska francuskie i tym sposobem pomógł rządowi zgnieść zbuntowany Paryż. Komunardzi bili się po bohatersku, mieli dobrych dowódców w poszczególnych punktach, ale brak im było dyscypliny i jednolitej komendy. 31 maja 1871 roku Wersalczycy po straszliwej kanonadzie weszli przez bramę Saint-Cloud[1]). Walczono przy każdej barykadzie, walczono do ostatnich sił, nie mając zresztą nic do stracenia. Tych, co nie zginęli w walce, rozstrzeliwano masowo lub zsyłano do ciężkich robót. Prócz Francuzów bili się cudzoziemcy, najliczniej Polacy, uważając sprawę Komuny za sprawę wolności ludów. Niezwykłym męstwem i zdolnościami wsławili się nasi generałowie Jarosław Dąbrowski i Walery Wróblewski.

Bohaterstwo i krew komunardów nie poszły na marne. Republika francuska ocalała, a w niej zwyciężyła zasada oddzielenia Kościoła od państwa. Francja republikańska stawała się na długie lata ostoją wolnej myśli i ośrodkiem, w którym powstawały i przygotowywały się ruchy rewolucyjne różnych krajów. Ruch robotniczy, zgnieciony na razie, odżył z nową siłą, a Komuna Paryska, choć skończyła się klęską, czczona jest przez proletariat całego świata jako pierwsza próba pochwycenia władzy i jako punkt zwrotny w dziejach proletariatu, wreszcie jako bohaterska walka o wolność i prawa robotników.

*J. K.*

---

[1]) Czytaj: Sę Klu.

## Komuna

### Władysław Broniewski: *Komuna*

Władysław Broniewski — poeta współczesny, jeden z pierwszych i najwybitniejszych przedstawicieli kierunku zwanego poezją proletariacką, która łączy w sobie rewolucyjność formy literackiej z treścią opiewającą walkę proletariatu o wolność. W oświadczeniu ideologicznym w jednym z pierwszych zbiorów poezji proletariackiej, *Trzy salwy*, już w r. 1925 Broniewski wraz z towarzyszami pisze: „Jesteśmy robotnikami słowa. Musimy wypowiedzieć to, czego inni ludzie warsztatu wypowiedzieć nie mogą... Walczymy o nowy ład społeczny. Walka ta jest najwyższą treścią naszej twórczości".

Oprócz wierszy współcześnie aktualnych Broniewski jest autorem poezji historycznych opiewających różne postaci i chwile walki proletariatu o wolność. Do nich należy poemat *Komuna*, w dużej części skonfiskowany przez sanacyjną cenzurę, który podajemy w skróceniu.

*Słuchając, usta zatnij,*
*czoła nie zniżaj.*
*Oto opowieść o dniach ostatnich*
*Komuny miasta Paryża.*

1

Bębny, bębny nocą warczały.
Nim świt zaświecił blady,
padły w mieście pierwsze wystrzały,
stanęły barykady.
Bramy zdobyto, wzięto forty,
śmierć bliska.
Z każdej ulicy jak z aorty
upływa krew paryska.
Ale Komuna się nie podda,
Komuna śmiercią gardzi!
Paryżu, gniewny okrzyk podaj:
„Do broni, komunardzi!
Do broni, ludu roboczy!
Dzieci! Kobiety! Starcy!

Krew ulicami broczy.
Krwi jeszcze dziś wystarczy!
Nim chmary żołdactwa runą,
nim przejdą po naszym ciele,
na barykady, Komuno,
do broni obywatele!"

. . . . . .

3

Na cmentarzu Père Lachaise [1]) kwitną kasztany,
majem pachnie stratowana trawa,
w trawie leżą trupy rozstrzelanych
„w imię pracy, porządku i prawa".

Generale Galliffet [2]), wydaj rozkazy,
Niech żołnierzom od luf płoną ręce!
Po czterdziestu! Po dwustu od razu!
Pięć tysięcy! I dziesięć tysięcy!

Generale Galliffet, za egzekucje
wdzięczność Francji cię czeka i order!
Generale Galliffet, krew masz na bucie!
Generale Galliffet, cuchniesz mordem!!

Na cmentarzu Père Lachaise wieczór już zapadł,
mur bieleje w pomroce wieczoru.
Nie, to nie jest woń traw — to krwi zapach!
To nie cmentarz — to twierdza upiorów!

. . . . . .

4

. . . . . .

Zostało już niewiele
barykad i nadziei . . .

---

[1]) Czytaj: Per la szez
[2]) Czytaj: Galife

„Na śmierć, obywatele,
pójdziemy po kolei."
Dąbrowski legł od kuli,
padł Raoul Rigault [1]) pod ścianą,
na skrzyżowaniach ulic
po stu rozstrzeliwano.

. . . . . .

Po zemstę nad Paryżem
już ciągnie zgraja katów
z bagnetem, złotem, z krzyżem
przez pierś proletariatu.

Lecz Paryż umie zginąć,
Komuna się nie podda.
Wolności, tobie płynąć —
Czerwona twoja woda...

. . . . . .

5

„Obywatelu Delescluze [2]), schrońcie się na dół!
Barykada paść musi, tam pewna śmierć!"
Stanął, wsparty na lasce, ponad barykadą
starzec o siwych włosach, z wstęgą czerwoną przez pierś.

Plac Château d'Eau [3]) zdobyty. Na prawym brzegu
gromadzą się niedobitki, lewy padł.
„Obywatele, naprzód!" Lecz nikt nie idzie w szeregu.
Starzec jest sam. Nad czołem włos siwy rozwiewa wiatr.

Zwolna, wsparty na lasce, poszedł ku barykadzie,
na której stu komunardów pokonał wróg,
sam, jak kapitan okrętu na opuszczonym pokładzie,
delegowany Komuny padł na skrwawiony bruk.

---

[1]) Czytaj: Raul Rigo
[2]) Czytaj: Delekliuz
[3]) Czytaj: Szato do

Za rogiem zgiełk i wystrzały. Ciągnie wersalska banda.
Droga już wolna. Na placu tylko ten trup
bezwładny jak z drzewca zdarty i porzucony sztandar.
a pod nim sztandar bruku, a wkoło Paryż—grób.

. . . . . .

7

Obrona słabnie,
nadchodzi śmierć:
żołdacki bagnet
w roboczą pierś.

Kamienie mokre
od ludzkiej krwi.
Dwudziesty okręg
najdłużej grzmi.

Ostatni wystrzał
nieprędko jeszcze!
Pociski świszczą
złowieszczym deszczem.

Nabij! Pal!
Bagnetem kłuj!
W trzasku salw
do końca stój!

. . . . . .

8

Walcz, barykado!
Giń, barykado!
Unoś się, gniewna
pieśni paryska!
Czerwonoskrzydłą
ptaków gromadą
ponad trupami
leć na pociskach!

Walcz, barykado!
Giń nieugięta!
Będzie zwycięstwo,
będzie zapłata.
Ludu roboczy,
patrz i pamiętaj!
Proletariusze
Francji i świata!
Giń, barykado!
Sztandar wznieś wyżej!
Wolna do końca,
padnij i skonaj,
groźna, ostatnia
w martwym Paryżu
niezwyciężona,
niezwyciężona!

. . . . . .

9

Rozstrzelano trzydzieści tysięcy.
Sto tysięcy zakuto w łańcuchy.
Krwi ani sił już nie ma więcej,
Paryż zmartwiały i głuchy.

Odezwa na rogu ulicy:
„Paryżanie, dzisiaj powraca
do wyzwolonej stolicy
prawo, porządek i praca"...

Bruk do barykad wyrwany
zęby kamienne szczerzy,
trzaskają salwy, brzęczą kajdany,
maszerują oddziały żołnierzy.

Burżuazjo, wracaj z Wersalu,
podziękuj swojemu bogu!...
Jeszcze ostatnie pożary się palą,
na ulicach nie ma nikogo...

## Początki socjalizmu w Polsce

### Aleksander Dębski: *Krwawe zajście w mleczarni Henneberga w roku 1884*

Aleksander Dębski — (1860—1936), urodzony pod Płockiem w rodzinie ziemiańskiej, b. student uniwersytetu petersburskiego, był członkiem partii „Proletariat", w czasie procesu zdołał uciec za granicę i tam rozwinął szeroką działalność socjalistyczną. Po pierwszej wojnie światowej wrócił do niepodległej Polski.

Po upadku powstania roku 1863 dokonują się głębokie zmiany w życiu gospodarczym i dążeniach politycznych Polski. W byłym Królestwie Polskim następuje szybki rozwój przemysłu. Otwierają się rynki rosyjskie dla zbytu produktów przemysłu, a i rynek wewnętrzny po uwłaszczeniu włościan rozszerza się znacznie. Wysokie cła na wyroby zagraniczne ściągają do nas kapitał zagraniczny, przeważnie niemiecki, i nasze ośrodki przemysłowe: Warszawa, Łódź, Zgierz, Pabianice, Częstochowa, Zagłębie i Białystok szybko się rozwijają.

Gospodarstwo rolne po zniesieniu pańszczyzny zmuszone jest przejść do bardziej intensywnej gospodarki. Zamiast sochy pług żelazny, zamiast cepów młockarnia itp. Wprowadzenie ulepszeń technicznych zwalnia część rąk roboczych, które odpływają do miasta szukać pracy w fabryce.

Równocześnie z tym rozwojem gospodarczym idzie rozwój idei i nastrojów ugodowych w społeczeństwie polskim wszystkich trzech zaborów. Szlachta, która przedtem odgrywała główną rolę, poniosła podczas powstania wielkie ofiary w ludziach i majątku, więc stara się jedynie o utrzymanie zagrożonego bytu. W Galicji historyczna szkoła krakowska, tzw. stańczycy, głoszą program potrójnego lojalizmu we wszystkich trzech zaborach i dowodzą bezcelowości powstań, które tylko sprowadzają na kraj klęski i jeszcze większy ucisk najeźdźców.

W Królestwie tak zwani pozytywiści idealizują rozwój przemysłu. Bohaterem powieści staje się inżynier, kupiec i przemysłowiec. Program polityczny Świętochowski streszcza w *Prawdzie* w artykule: *Cogito, ergo sum* (Myślę, więc jestem). Hasło to miało nam zastąpić dążenie do wolności politycznej.

Lud był pozbawiony oświaty. W szkołach początkowych uczono takich mądrości, jak imion i imion ojców całej rodziny cesarskiej; ale uczeń, który tę szkołę przeszedł, często nie wiedział, ile jest dni i tygodni w roku, nie umiał kolejno wyliczyć miesięcy. Tylko ci, co pochodzili z zamożniejszych rodzin, umieli czytać i pisać po polsku i posiadali szczupły zasób wiadomości ogólnych, które zdobyli, nim bieda zapędziła ich do warsztatu czy fabryki. Toteż robotnik był wyzyskiwany okropnie: nędzna płaca, długie godziny pracy (nieraz do 16 godzin na dobę), brutalne obejście się zwierzchników — oto była dola robotnika polskiego. Żadnej organizacji, znikąd żadnej pomocy.

A na szerokim świecie budził się ruch wyzwoleńczy proletariatu. Ustanowiono na kongresie paryskim 1889 święto 1 maja z hasłem trzech ósemek: osiem godzin pracy, osiem godzin snu i osiem godzin rozrywki i oświaty.

W Rosji powstał ruch terrorystyczny Narodnej Woli. Po nieudanych próbach „chożdienja w narod" (chodzenia do ludu) postanowiono zorganizować szereg zamachów na cara i wysokich urzędników, by zmusić despotę do dania konstytucji i swobód politycznych. W Rosji wierzono wtedy w szeregach narodowolców, że rewolucja polityczna dokona się w bardzo bliskim czasie. Gdy towarzysze rosyjscy pytali się nas, kiedy będziemy w Polsce gotowi do dokonania przewrotu, a jeden z naszych odpowiedział, że wobec ciężkich warunków 10 lat nam będzie potrzeba, aby zorganizować nasz polski proletariat, to Rosjanin odpowiedział: „Ależ u nas już wtedy dawno będzie wszystko skończone".

W takich warunkach Waryński organizował w r. 1882 partię „Proletariat". Robotnik nasz przyjął dobrą wieść o wy-

zwoleniu z zapałem. Było to pierwsze obudzenie się z ciężkiego snu niewolnika. Powstała wielka organizacja. Organizowano kasy oporu (związki zawodowe) według fachów: mydlarze, stolarze, warsztaty kolei wiedeńskiej itp. Z drugiej strony uciekano się do terroru, który jednak ograniczano do samoobrony, tj. usuwania szpiegów i zdrajców. Organizacja prędko się rozrosła w Warszawie i zaczęła obejmować cały kraj. Areszty następujące w szybkim tempie osłabiły ją bardzo. Nierozdzielenie pracy organizacyjnej i propagandy od zamachów miało ten skutek, że każdy zamach pociągał za sobą zbyt wiele ofiar.

Organizacja „Proletariat" była pierwszym wystąpieniem robotnika na arenę dziejową i pierwszą próbą rozkucia kajdan niewoli społecznej.

Męczeńska śmierć czterech proletariatczyków na stokach Cytadeli, niewysłowione męki katorżan i więźniów wśród posępnego wtóru kajdan i świstu nahajek — zapłonęły w nocy dziejowej na ziemiach polskich krwawym płomieniem ofiary. Ofiary nie nadaremnej, bo przez nią zrodziła się w robotniku polskim myśl, bo z niej wzięła początek ta obok myśli wola, która prowadzi proletariat polski na równi z proletariatem całego świata śród ciężkich zmagań i bojów w świetlane jutro wyzwolenia i socjalizmu.

### Elegia o śmierci Ludwika Waryńskiego

Władysław Broniewski: *Troska i pieśń*

Ludwik Waryński — (1856—1889), studiował na uniwersytecie w Petersburgu i brał udział w rosyjskim ruchu rewolucyjnym, ale już w r. 1876 przyjechał do Warszawy, gdzie organizował robotników. Usunąwszy się z Królestwa z powodu masowych aresztowań do b. Galicji, założył w r. 1878 tajną organizację w Krakowie. Rząd austriacki wytoczył w r. 1880 proces sądowy socjalistom a wśród nich Waryńskiemu, którego świetna obrona była propagandą socjalizmu. Wydalony z granic Austrii, pojechał do Genewy, ale już w r. 1881 wrócił konspiracyjnie do Warszawy. Tu w r. 1882

założył pierwszą partię socjalistyczną „Proletariat", która się szeroko rozwinęła. Żandarmi jednak wpadli na trop organizacji. Aresztowano 200 osób. Złożono sąd wojenny w r. 1884. Waryński mówił w sądzie z nadzwyczajną odwagą cywilną nie myśląc o tym, że może być na śmierć skazany. Zapytany, czy poczuwa się do winy, odpowiedział: „O winie mojej i naszystkich nie może być mowy. Myśmy walczyli o swe przekonania, my usprawiedliwieni jesteśmy przed własnym sumieniem i przed ludem, którego sprawie służyliśmy".

Sąd był surowy: czterech oskarżonych powieszono. Byli to: Kunicki, Bardowski, Pietrusiński i Ossowski. 18 oskarżonych skazano na 16 lat katorgi. Wśród nich był Waryński. Męczono go w twierdzy w Szlisselburgu do r. 1889, w którym umarł.

Jeżeli nie lękasz się pieśni
stłumionej, złowrogiej i głuchej,
gdy serce masz męża i jeśli
pieśń kochasz swobodną — posłuchaj.

Szeroka, szeroka jest ziemia,
gdy myślą ogarnąć ją lotną,
szeroko po ziemi więzienia,
głęboka w więzieniu samotność.

Już dziąsła przeżarte szkorbutem,
już nogi spuchnięte i martwe,
już koniec, już płuca wyplute —
lecz palą się oczy otwarte.

Poranek marcowy. Jak cicho!
Jak dziwna się jasność otwiera!
I tylko tak ciężko oddychać,
i tylko tak trudno umierać.

Posępny jak mur Szlisselburga,
głęboki jak dno owej ciszy,
zza krat, z więziennego podwórka
dobiega go śpiew towarzyszy.

I słucha Waryński, lecz nie wie,
że cienie się w celi zbierają,
powtarza, jak niegdyś w Genewie:
— Kochani... ja muszę do kraju.

Do Łodzi, Zagłębia, Warszawy
powrócę zawzięty, uparty...
ja muszę... do kraju, do sprawy,
do mas, do roboty, do partii...

ja muszę... — I śpiew się urywa,
i myśli usuwa się pasmo.
Ta twarz już woskowa, nieżywa,
lecz oczy otwarte nie gasną.

Gdzieś w górze krzykliwy i czarny
rój ptactwa rozsypał się w szereg,
jak czcionki w podziemnej drukarni,
gdy nocą składali we czterech...

Fabryka Lilpopa... róg Złotej...
Żurawia... adresy się mylą...
robota... tak, wiele roboty...
i jeszcze... dziesiąty pawilon...

Ach, płuca wyplute nie bolą,
śmierć w szparę judasza [1]) zaziera,
z ogromną tęsknotą i wolą
tak trudno lat siedem umierać.

Wypalą się oczy do końca,
a kiedy zabraknie płomienia,
niech myśl, ta pochodnia płonąca,
podpali kamienie więzienia!

Raz jeszcze się dźwignął na boku:
— Ja muszę... tam na mnie czekają... —
i upadł w ostatnim krwotoku,
i skonał... I wrócił do kraju.

[1]) Okienko, przez które żandarm zagląda do celi.

## Czerwona Łódź się budzi

### Adam Próchnik: *Idee i ludzie*

Adam Próchnik — (1892—1942), historyk i działacz społeczny. Poseł na sejm z ramienia PPS. W czasie okupacji zaczął wydawać pierwsze socjalistyczne - jednolitofrontowego odłamu PPS pismo nielegalne i był jednym z organizatorów i przedstawicielem *Robotniczej Polskiej Partii Socjalistycznej* (RPPS), czyli lewicy PPS. Umarł nagle na serce w r. 1942

Miasto robotnicze wcześnie budzi się ze snu. Słońce dopiero zaczęło swą wędrówkę po niebie. Zimny wiatr wiosenny biegnie swobodnie po ulicach. Dogania przechodniów, ogarnia ich falą chłodu, wciska się w każdą szczelinę. Przez otwór rękawa czy nogawicy, przez dziurę na łokciu czy w bucie wdziera się pod ubranie, pod koszulę, przebiega szybko jak zimna skóra węża, przesuwa się po całym ciele, budzi dreszcze, przenika do kości, owija się koło nagiej szyi i wylatuje na świat w pogoni za nową ofiarą.

Ulicami Łodzi przesuwają się mimo wczesnej godziny liczne gromady ludzkie. Robotnicy zdążają pojedynczo i grupami do miejsc pracy. Tu i ówdzie wyłania się z kieszeni butelka białej kawy lub chleb zawinięty w papier.

Grupa młodych robotników idzie razem i zajmuje niemal cały chodnik. Jeden z nich trzyma w ręku jakieś blaszane naczynie. Zatrzymuje się przed brudnym parkanem fabrycznym. Ktoś wyjmuje z kieszeni biały arkusik zadrukowanego papieru Pędzel zanurza się w blaszance i lepka masa ochlapuje parkan. Za chwilę na środku parkanu świeci biała plama. Grupa młodych robotników oddala się żwawo ku widniejącemu niedaleko drugiemu parkanowi. A przed odezwą gromadzą się ludzie, starsi, młodsi, mężczyźni, kobiety. Szybko przebiegają oczyma szeregi czarnych liter. Ktoś dobrze umiejący czytać głośno wymawia ważniejsze zdania: „Świat robotniczy obchodzi swoje wielkie uroczyste święto 1 Maja... I w tym roku, zarówno jak lat poprzednich, będziemy się domagać praw słu-

sznie nam przynależnych! Chcemy ludźmi być i po ludzku żyć!... Chcemy pracować tylko osiem godzin na dzień, byśmy nie marnieli od nadmiernej pracy... Żądamy też, by zarobki nasze były większe... Domagamy się swobody politycznej!... Chcemy sami sobą rządzić!... Żądamy polskich szkół... nie dajmy się niczym zastraszyć".

— A kto to wydał? — pyta ktoś przez ramię czytającego.

— Nie wiem. Pisze na końcu: Socjaliści polscy.

— Znaczy się: partia.

Ale na zastanawianie się i dokładne czytanie nie ma czasu. Każdemu się śpieszy do pracy. O ósmej rano trzeba stać przy warsztacie. W czasie godzinnej przerwy obiadowej kilka takich odezw krąży już po fabryce. Od rąk do rąk. Gdy wracają wieczorem do domów po ósmej, jest ciemno i na parkanach można już tylko zauważyć ślady zdrapanych odezw. Ale nazajutrz rano pojawiają się w różnych miejscach znów świeże. Jakieś tajemnicze ręce wrzucają je do fabryk. W ostatnich dniach kwietnia 1892 r. krążą coraz częściej. Ludzie czytają je pojedynczo lub gromadnie. Czasem tylko doskoczy zagniewany majster i wyrwie ją z rąk zaczytanego robotnika.

— Ach, du verfluchter Kerl! Was hast du denn da?

I wtedy odezwa wędruje do najbliższego cyrkułu, a w fabryce zaczynają pojawiać się żandarmi. Ale działo się to rzadko. Do brutalnego traktowania robotników nie brakło co prawda ochoty, ale niejeden z majstrów przypominał sobie w porę świeżo tkwiący w pamięci wypadek zabicia przed kilku miesiącami majstra fabrycznego Forstera przez pokrzywdzonego robotnika. I udawał, że nic nie widzi.

A ludzie czytają, rozmyślają, dyskutują. Przed pracą, w czasie pracy, po pracy. Niektórzy przypominają:

— Pierwszego maja? Zeszłego roku była jakaś awantura u Poznańskiego. Żądali robotnicy podwyżki, zgromadzili się przed fabryką.

— No i co?

— A nic. Rozpędzili ich Kozacy nahajkami.

Ale tym nie trzeba się zrażać. Młodzi, jak to młodzi, w gorącej wodzie kąpani.

— Rozpędzili ich, bo ich było mało. Bośmy ich nie poparli. Oh! Gdybyśmy tak wszyscy stanęli, nie daliby nam rady!

Ale starsi rozważają, zastanawiają się, namyślają się, ważą różne racje.

— Ani słowa, odezwa pisze sprawiedliwie. Pracować 13, 14 godzin nieludzka rzecz.

— I jeszcze zegary przesuwają. Aby dłużej pracować, aby nas okraść z odpoczynku.

— Żeby choć człowiek zarobił za to jak należy! Rodziny z tego nie wyżywisz. Chyba że wyślesz do pracy chłopaka lub dziewuchę.

— Tak, jak się przedtem z majstrem prześpi.

— Tego roku to już ani wytrzymać nie można. Chleb podrożał, kartofle podrożały. Mówią, że był nieurodzaj.

— Nieurodzaj, a panowie zboże za granicę wywieźli, żeby lepiej zarobić.

— A nasze zarobki są takie, jakie były.

— Z człowiekiem się obchodzą gorzej niż z psem. Majster cię zesobaczy, po pysku ci nakładzie i szukaj potem sprawiedliwości.

— Pójdziesz do inspekcji fabrycznej ze skargą, to z pracy cię wyrzucą, na czarną listę zapiszą i nikt cię do pracy nie przyjmie.

— Więc chyba staniem z pracą?

— Może by i dobrze było. Domagać się będziemy podwyżki. Praca ma trwać osiem godzin, jak pisze w odezwie.

— Osiem! Żeby choć do dziesięciu zmniejszyli!

— Ale czy wszyscy staną? Jeżeli strajk będzie tylko tu i ówdzie, przyślą znów Kozaków, żandarmów, strażników, pobiją i do pracy zapędzą.

— Racja. Naród nie jest świadomy, nie jest zgodny.

— Eh! Chyba dość się już nacierpieli. Bieda ich nauczyła.

— Może tak, a może i nie. Któż tam wie, co u kogo w duszy siedzi.

I rozchodzą się bez decyzji. Ale nazajutrz znów rozmawiają o tym, zastanawiają się. Niezbadana jest zbiorowa psychika ludu. Czy Łódź potrafi wreszcie z bezdennej otchłani nędzy, krzywdy, cierpień wykrzesać czyn?

Pierwszy maja 1892 r. przypadł na niedzielę. Minął spokojnie. Nazajutrz rano w kilku mniejszych fabrykach wybuchł strajk. Ale we wtorek robotnicy przeważnie wrócili do pracy. Słaby ogień zaczyna wygasać. Po południu jednak wybucha niespodziewanie jaśniejszym płomieniem w innej stronie miasta, ogarnia kilka nowych fabryk. W środę sytuacja staje się poważna, coraz to nowe fabryki przyłączają się do akcji. Wieczorem strajkuje już 15 tysięcy robotników. Fabrykantów, policję ogarnia przerażenie. W czwartek pożar strajku rozprzestrzenia się błyskawicznie. Strajkuje już 30 i kilka tysięcy robotników. Policja znika z ulic miasta. Fabrykanci zbierają się w Grand Hotelu. Radzą. Idą depesze do gubernatora Millera w Piotrkowie, do generał-gubernatora Hurki w Warszawie. Błagają o pomoc. Ale część fabrykantów jest gotowa do ustępstw. Nawet Szajbler proponuje, aby skrócić dzień pracy o godzinę, podwyższyć płacę o 8 proc. Zjawia się gubernator Miller i zakazuje ustępstw. Niech robotnikom się nie zdaje, że mogą coś siłą wywalczyć. Lecz w piątek strajk jest już powszechny. Stoją wszystkie fabryki. Wstrzymały pracę wszystkie warsztaty rzemieślnicze. Robotnicy zeszli z budowy. Robotnicy kolejowi opuścili magazyny i warsztaty. Sklepy są zamknięte. Zamarła cała praca. Łódź znieruchomiała. W akcji biorą udział dziesiątki tysięcy ludzi. Przelewają się masy ulicami, gromadzą na placach, na improwizowanych trybunach wyrastają nieznani mówcy. Zjawiają się uzbrojone patrole i rozpędzają ludzi. Po chwili gromadzą się w innym miejscu. Strajkujący zachowują wszędzie wspaniały

porządek. Ale na przedmieściach bandy złoczyńców rabują sklepy i domy żydowskie. Policja patrzy na to z zachęcającą biernością.

Strajk wciąż trwa i władze wyraźnie tracą głowę. Gubernator Miller chodzi zaniepokojony po gabinecie. Co czynić? Jeździł po fabrykach, rozmawiał z robotnikami stojącymi na ulicach i koło zabudowań fabrycznych. Perswadował. Wszystko bez skutku. Mówili mu: Gotowi jesteśmy dziś jeszcze wrócić do pracy, gdy nam skrócą czas pracy i powiększą wynagrodzenie za naszą ciężką pracę, od której my i nasze dzieci schniemy. Kazał rozpędzać tłum białą bronią. Zawahał się przed myślą skierowania w piersi głodnych robotników broni palnej.

Ale oto u progu pokoju staje pułkownik Boltin. Podaje Millerowi depeszę Hurki do komendanta garnizonu. Miller przebiega szybko oczyma tekst: „Tłumu nie rozpędzać, ale przeciwnie, starać się przyprzeć go do jakiejkolwiek przeszkody, nabojów nie szczędzić i do jutrzejszego rana przywrócić porządek."

W pierwszej chwili przeszedł go dreszcz. Strzelać do bezbronnego tłumu, jakby do zwierzyny? Spojrzał na Boltina.

— Co pan zamierza czynić, panie pułkowniku?

Wyraz twarzy pułkownika był zdecydowany.

— Spełnić rozkaz jego ekscelencji, panie gubernatorze.

— Słusznie. Należy przystąpić do dzieła, Mikołaju Lwowiczu.

I tegoż jeszcze dnia ruszyły zwarte oddziały wojska na ulice. Całe miasto rozbrzmiało odgłosami salw i pojedynczych strzałów. Mętne strugi wody płynące brudnymi rynsztokami zaróżowiły się krwią. Lepka, purpurowa ciecz spływa między kamieniami i wsiąka w twardy bruk łódzki. Robotnicy bronią się rozpaczliwie. Tu i ówdzie wznoszą barykady. Rzucają kamieniami w wojsko. Odbijają uwięzionych towarzyszy. Ale są bezbronni i nie mają kierownictwa. Na bruk padają trupy i setki rannych. Setki schwytanych prowadzi się do więzienia lub koszar i siecze się ich rózgami.

Po kilku dniach milknie wszystko. I strzały, i jęki. Fabryki ruszają. Z dniem każdym coraz więcej robotników zaprzęga się do codziennych taczek. Wrócił spokój i porządek. Ale po całej Polsce poszła wieść, że w owe dni majowe objawiła się dusza proletariatu łódzkiego.

## Fabryka w oczach dziecka

Paweł Hulka-Laskowski: *Mój Żyrardów*

Paweł Hulka-Laskowski — († 1946), literat i publicysta polski, śmiało głoszący zasady wolności i niezależności myśli. Syn robotnika żyrardowskiego, napisał śliczne wspomnienia *Mój Żyrardów*.

Fabryka była cudowna. Zarabiałem w niej nie tylko na chleb powszedni, ale syciłem głód ciekawości, podsycany na każdym kroku. Maszyna w przyjaźni z człowiekiem była mądrym, żelaznym siłaczem, życzliwym i posłusznym, ale gdy ją pozostawiono samej sobie, stawała się potworem niszczycielskim i straszliwym. Ruch jest sprawą tajemniczą, a ruch celowy i twórczy, rozumny budzi zawsze podziw. Patrzyłem na różne maszyny jak na istoty żywe i dostrzegałem tyle różnic indywidualnych wśród maszyn, ile ich się widzi wśród ludzi. Malutkie krosna tkające ścierki i zgrzebne płótna pracowały szybko, hałaśliwie, nerwowo, z jakimś dzikim pośpiechem, podczas gdy krosna duże, wyrabiające piękną stołowiznę szły cicho, sprawnie, względnie wolno. Maszyny cewiarskie motające nici na niezliczone cewki i szpule pracowały dyskretnie, szeptliwie, a na sali cewiarek panowała atmosfera zadumy, przerywana tylko na chwilę, gdy otwierały się drzwi od sali tkackiej i przez nie wdzierał się ogłuszający ryk i trzask tysiąca krosien.

W przędzalni lnu panował ruch po prostu wściekły: trzaskało żelazo zderzające się z żelazem, stalowe grzebienie przejeżdżały po warkoczach jasnego lnu, ręce robotników chwytały len wyczesany, kołtuny skudłane jeszcze i szare. W grzeplarni panował zawsze szary półmrok, bo powietrze nasycone

było drobniutkim pyłem czyszczonego lnu. Robotnicy uwijali się tu żwawo i w milczeniu, a usta mieli prawie zawsze poowiązywane pasmami jasnego niedoprządu. Długie bębny najeżone kolcami obracały się blisko siebie, rozczesując i rozdzielając len bez wielkiego pośpiechu, ale jakoś nieubłaganie i nieustępliwie, że od tych maszyn powiewało strachem.

Ten strach, który włóczył się wśród maszyn gręplarskich, zrodził się w mojej wyobraźni pewnej soboty, gdy pod koniec wypłaty rozeszła się wieść, że jednego z gręplarni maszyna zgniotła. Co za jeden? Zimek, syn tej Zimkowej, co włoszczyzną handluje. Przepisy fabryczne surowo zakazywały czyszczenia maszyn w ruchu, ale młodzi robotnicy, którym pilno było opuścić fabrykę po wypłacie, czyścili maszyny jeszcze w ruchu będące. Zimek pochylił się tak nieszczęśliwie nad maszyną, że jego głowę schwytały długie dwa bębny najeżone kolcami i zgniotły ją jak orzech. Mózg opryskał maszynę i ściany. Zatrzymano maszynę, wydobyto trupa i odesłano do kostnicy. Poszedłem patrzeć razem z innymi. Serce ścisnęło mi się boleśnie, na maszynę spojrzałem jak na wroga i po powrocie do domu nie mogłem jeść obiadu. Spałem źle, niedzielę miałem posępną, a w poniedziałek poszedłem pod jakimś pretekstem do przędzalni i przez okno spojrzałem na maszynę, która zamordowała człowieka. Biegała żwawo, wesoło, obojętnie, jakby nigdy nic. Było to niepojęte...

Miejsce, w którym stałem, przypominało wąwóz: z jednej strony sterczały cztery piętra „dużej fabryki", z drugiej dwa piętra tkalni. Poszedłem dalej, gdzie wąwóz urywał się nagle, a ziemia trzęsła się i dudniła głucho pod ciężarem ogromnej maszyny parowej. Robotnicy opowiadali sobie, że jest to największa maszyna w Polsce czy nawet na całym świecie, w czym było dużo ambitnej przesady. Ale maszyna przędzalni była istotnie ogromna, bo miała trzy piętra wysokości. Stawałem przed nią i przez wielkie okna śledziłem ruchy jej potwornych ramion, które zdawały się pochylać, aby z niej dobywać siłę. Ziemia dudniła i drżała od biegu tej maszyny, a od tego drże-

nia ziemi do serca zakradał się strach. Ja zaś stałem i zmagałem się z tym strachem, choć zdawało się, że lada chwila runą wysokie mury, rozleci się maszyna i przywali mnie swoim śmiertelnym ciężarem. A za oknem widać było stalowe galeryjki z wypolerowanymi poręczami prowadzące wysoko, aż ku szczytowi maszyny. Po tych galeryjkach chodził krokiem wolnym stary maszynista z oliwiarką w ręku prawym i ze ścierką w lewym. Gdzie było brudno, wycierał, gdzie zachodziła potrzeba, naoliwiał. Wyglądało to tak, jakby ten stary, siwy człowiek posiadał tajemnicę ujarzmienia potwora: pogłaskał go, popatrzył, przytknął oliwiarkę do jednej ze stawek tylko jemu wiadomych i chodzi sobie dalej nie wiedząc na pewno, że podziwiam jego mądrość i odwagę.

Fabryka pełna była tajemnic i rzeczy ciekawych. Maszyny miały bardzo różne ręce i nogi, a nad nimi zdawała się unosić niewidzialna twarz i jakiś mądry łeb kierował trybami i kółkami. Miałem na co patrzeć.

Na sali tkackiej było jak w lesie oplątanym lianami, a łoskot panował tak wielki, że gdy się potem wychodziło na dziedziniec fabryczny, pusty i porosły soczystą trawą, cisza waliła się swoim nagłym milczeniem, jakby się coś oberwało, ale nie padało na dół, lecz w górę. Rodziły się wtedy dziwne myśli, uczucia czy coś innego, co nie było ani myślą, ani uczuciem, ale zdumiewało i zmuszało do wysilania umysłu, aby pojąć, zrozumieć, odgadnąć.

## Fabryka cygar

### Stefan Żeromski: *Ludzie bezdomni*

Stefan Żeromski — (1864—1925). Pierwsza powieść, która zdobyła Żeromskiemu wielką popularność — to *Ludzie bezdomni* (1900). I bohater, inteligent pochodzący ze środowiska robotniczego a postanawiający wszystkie swe siły oddać dla sprawy robotniczej, i odrzucenie szczęścia osobistego, jako niemożliwego do pogodzenia ze sprawą społeczną w czasach niewoli carskiej w Polsce — wydawało się przecię-

tnemu ogółowi wówczas dziwne i zwróciło uwagę na autora, który miał się stać największym powieściopisarzem swych czasów. W urywku, który podajemy, bohater zwiedza fabrykę, gdzie pracuje jego bratowa. Mamy tu typowy obraz pracy, która oparta jest na ścisłym podziale ze słabą jeszcze pomocą maszyn. Jest to w fabrykach kapitalistycznych, typ pracy, który przeważał w przemyśle naszym przed pierwszą wojną.

Na pierwszym piętrze gmachu fabrycznego ukazała się duża sala formalnie wypełniona przez tłum kobiet złożony z jakich stu osób pochylonych nad długimi a wąskimi stołami. Kobiety te, rozebrane w sposób najbardziej niepretensjonalny, zwijały cygara prędkimi ruchami, które na pierwszy rzut oka czyniły wrażenie jakichś kurczów bolesnych. Jedne z nich schylały głowy i trzęsły ramionami jak kucharki wałkujące ciasto. Te zajęte były zwijaniem grubo siekanego tytoniu w liście, które poprzednio zostały szybko, misternie przykrojone. Inne kładły zwinięte cygara w prasy drewniane. Duszące powietrze, pełne smrodu ciał pracujących w upale w miejscu niskim i ciasnym, przeładowane pyłem starego tytoniu, zdawało się rozdzierać tkanki, żarło gardziel i oczy.

Za pierwszą salą widać było drugą, daleko obszerniejszą, gdzie w ten sam sposób pracowało co najmniej trzysta kobiet. Przewodnik nie pozwolił Judymowi zatrzymywać się w tym miejscu i poprowadził go dalej przez wąskie schody i sionki, obok maszyn suszących liście, obok młyna mielącego tabakę i sieczkarni krającej różne rodzaje tytoniu — do izb, gdzie pakowano tytoń gotowy. Wrzała tam szalona praca. Przechodząc Judym zauważył dziewczynę, która paczki cygar oklejała banderolą. Szybkość ruchów jej ręki wprawiła go w zdumienie. Zdawało mu się, że robotnica wyciąga ze stołu nieprzerwaną białą tasiemkę i mota ją sobie na palce. Z rąk leciały do kosza pod stołem gotowe paczki tak szybko, jakby je wyrzucała maszyna. Ażeby zrozumieć sens jej czynności, trzeba było wpatrywać się usilnie i badać, gdzie jest początek oklejenia każdej torebki.

W izbie przyćmionej gmachu fabrycznego pakowano gotowy tytoń. Okna jej były zastawione siatkami z drutu, których gęste oka, przysypane rudym prochem miejscowym, puszczały mało światła, ale natomiast powstrzymywały od emigracji miazmaty wewnętrzne. Leżały tam w kątach sąsieki grubo mielonego tytoniu. W środku sali było kilka warsztatów, na których towar pakowano. Z każdego stołu wybiegała zakrzywiona rurka, a z niej strzelał poziomo długi język płonącego gazu. Dokoła każdego stołu zajęte były cztery osoby. Przy pierwszym Judym zobaczył swoją bratową. Miejsce jej było w rogu, tuż obok płomyka gazowego. Z drugiej strony stał, a raczej kołysał się człowiek o twarzy i cerze trupa. Dalej w drugim końcu siedział stary Żyd w czapce zsuniętej na oczy tak nisko, że widać było tylko jego długą brodę i zaklęsłe usta. W sąsiedztwie Judymowej po lewej stronie stała dziewczyna, która nieustannie brała z kupy garść grubego tytoniu, rzucała ją na szalę, a odważywszy ćwierć funta podawała człowiekowi kołyszącemu się na nogach. Judym zatrzymał się przy drzwiach i stał tam długo, usiłując znowu zrozumieć manipulacje tej czwórki. Był to widok ludzi miotających się jak gdyby w drgawkach, w konwulsyjnych rzutach, a jednak pełen nieprzerwanej symetrii, metody i rytmu.

Po stolnicy, przy której te osoby były zatrudnione, między Judymową a jej sąsiadem przebiegały ciągle dwa blaszane naczynia, z jednej strony rozszerzone w kształcie czworokątnych kielichów, z drugiej równoległościenne. Formy te były wewnątrz puste. Judymowa chwytała jedną z nich w lewą rękę, zwracała szerokim otworem ku dołowi i opierała na kolanie. Prawą ręką ujmowała ze stosu kartkę z wydrukowaną etykietą fabryki, otaczała tą ćwiartką koniec blaszanej formy, zawijała rogi papieru i kleiła je lakiem, który błyskawicznym ruchem topiła w płomyku gazowym. Ledwie zawinięty róg przytknęła palcem, całą formę brał z jej rąk sąsiad mężczyzna, podczas gdy ona odbierała stojącą przed nią dla wykonania tej samej pracy. Mężczyzna zwracał blachę otworem do góry. Koniec jej wyższy, oblepiony etykietą, zanurzał w stosowne

wyżłobienie stolnicy. Przyjmował z rąk dziewczyny ważącej tytoń szalkę, wsypywał ćwierć funta w otwór naczynia i tłokiem odpowiadającym kształtowi blaszanki ubijał jej zawartość. Dokonawszy tego przez dwa rytmiczne schylenia ciała, wyjmował formę z pełnej już tytoniu papierowej torebki i sięgał po nową, którą w tym czasie Judymowa oblepiła. Trzeci pracownik paczkę zostawioną wydobywał z otworu i zaklejał z drugiej strony maczając lak w ogniu na wzór towarzyszki z przeciwnego końca warsztatu.

Pracownicy jednego stołu ładowali w ciągu doby roboczej tysiąc funtów tytoniu w ćwierćfuntowe paczki. To znaczy, że dostarczali ich cztery tysiące. Na zapakowanie jednej tracili nie więcej czasu, jak dziesięć sekund. Były to zgodne ruchy, nagłe a niestrudzone rzuty rąk, jak błysk światła, lecące zawsze do pewnego punktu, skąd odskakiwały niby sprężyste ciała. Judym widział tam jak na dłoni to, co chłopi zowią „sposobem": *usus* wypróbowany w krwawym trudzie, szereg środków cudacznych, które stanowią najkrótszą, najłatwiejszą, a niezbędną do przebycia linię między dwoma końcowymi punktami pracy. W głębi izby stał stół zupełnie podobny do pierwszego z brzegu, a obok płomyka robiła kobieta w czerwonej chustce na głowie. Szmata zupełnie okrywała jej włosy. Widać było spod niej duże, wypukłe czoło. Żyły skroni i szyi były nabrzmiałe. Zamknięte oczy po każdym małpim ruchu głowy otwierały się, gdy trzeba było przylepić lakiem różek papieru. Wtedy te oczy spoglądając na płomyk gazowy błyskały jednostajnie. Twarz kobiety była wyciągnięta i ziemista jak wszystkie w tej fabryce. Na spalonych, brzydkich wargach co pewien czas łkał milczący uśmiech, w którym zapewne skupiło się i w którym z musu zwyrodniało westchnienie zaklęsłej, wiecznie łaknącej powietrza suchotniczej piersi. Błysk pracowitych oczu i ten uśmiech wraz z całą czynnością przypominały szalony ruch koła maszyny, na którego obwodzie coś w pewnym miejscu migota jak płomyczek świecący.

## Praca dzieci w Żyrardowie we wspomnieniach robotników

### Paweł Hulka - Laskowski: *Mój Żyrardów*

Praca dzieci, ograniczona w Anglii i we Francji, kwitła jeszcze pod rządami caratu w połowie XIX wieku. Ciekawie o tym opowiada Hulka-Laskowski w swojej powieści.

Z różnych stron schodzili się ludzie na robotę do fabryki żyrardowskiej, która ongi pracowała dniem i nocą na dwie zmiany, rozbudowywała się szybko i nie mogła wydołać zamówieniom nadchodzącym ze wszystkich stron. Gdyby fabrykanci byli mogli, to byliby kazali pracować nawet w niedziele i święta. Było to niemożliwe, bo dawni robotnicy niedziele i święta tak dalece uważali za swój przywilej, że nawet wysokimi płacami nie dawali się skusić, aby przy pilnych robotach pracować czasem w święto.

Niedzielę zaczynano świętować już w sobotę po czwartej, czyli po wypłacie. Chłop pańszczyźniany pił wódkę z obowiązku, bo jego dziedzic był panem propinacji i musiał mieć spożywców dla wyrobów swoich gorzelni. Trwało to tak długo, że wódka stała się przyzwyczajeniem i nałogiem także dla chłopów uwłaszczonych i dla robotników przybywających do fabryki ze wsi. Za robotnikiem wiejskim idącym szukać pracy i chleba w fabryce karczmarz szedł tak samo, jak markietanki dawnymi czasy chadzały za wojskiem. W dni powszednie karczma wegetowała, ale w sobotę i niedzielę miał karczmarz istne żniwo. Prosto z fabryki po wypłacie szło się z towarzyszami „na jednego". Jeśli się wypiło drugiego i trzeciego, to nie było w tym żadnej zdrożności. Obraza boska zaczynała się dopiero wtedy, gdy kto upił się tak, że padał na ulicy albo przepijał większą część wypłaty, a żonie i dzieciom przynosił żałosne resztki zarobku. Wódka rozwiązywała języki i wspomnieniom o dawnych czasach nie było końca. Starsi opowiadali, jak to było w powstanie, kiedy to się „Poloki z Moskalami za łby brali".

Okazywało się podczas takiej rozmowy nieraz, że dawniej nie było tak dobrze, jak dziś, a raczej, że młodzi nawet pojęcia

nie mają, jak trzeba było harować za owych czasów wojny tureckiej, kiedy to fabryka szła dniem i nocą. Dzieciaki teraźniejsze idą do ochrony o 9 rano, zimą dostają w ochronie obiady, żeby nie potrzebowały dreptać po śniegu i deszczu. Potem idzie chłopak do szkoły i uczy się do 15 roku, po rusku, po polsku, a historii, a rachunków...

Ale wtedy, miły Boże! Pięć lat dziecko kończyło, a już je ojcowie do fabryki zabierali. Zima, nie zima. O 5-ej rano już przy robocie. Spać się chciało dzieciakowi, ale gdzie tam! Nieprzytomnego wlekli do fabryki i dalej — noś szpulki, podawaj, co tam trzeba. Zimą śniegi po pas, dzieciaki płaczą, a tu nic, tylko dymaj, bratku, ze starymi! Nosili nas na rękach, bośmy oczu otworzyć nie mogli i przez śniegi po ciemku nie bylibyśmy się przekopali. Uciec do domu nie sposób, bo i drogi z tych sal się nie znało, a jeśli się dzieciak zabłąkał na inną salę, to dostał lanie od ojca. Jeszcze wielkie szczęście, gdy się znalazło jaki kącik z trochą przędzy i można było pospać choć chwilę. Wiele to się namarnowało tych biednych dzieci! Chore, nie chore — wszystko jedno. Noś szpulki i po krzyku.

### Szkoła dla bogatych

Stefan Żeromski: *Syzyfowe prace*

W *Syzyfowych pracach*, które dziś już są powieścią historyczną, a wyszły po raz pierwszy w r. 1898, Żeromski dał straszny obraz szkoły początkowej i średniej w Polsce pod rządami carskimi w społeczeństwie przesiąkłym szlachetczyzną i pogardą dla chłopa.

Nieznośny upał jednego z ostatnich dni sierpnia żarzył się nad pagórkowatą okolicą. Spiekota ogarnęła pola, ssała mokre łąki i dosięgła do najbardziej cienistych kryjówek lasu. Było już po żniwach i widzialny przestwór kraju spał w tym cieple snem kamiennym. Naokół ciągnęły się żółtawoszare ścierniska połyskujące szczeciną źdźbeł równo uciętych, tu i ówdzie złociło się półko lnu, czerniały stożki koniczyny albo

niwka ziemniaków o więdnących badylach. Teraz wśród pól ogołoconych widniało dokładniej niż zwykle białe pasmo szosy. Ginąc za najbliższym pagórkiem, jakby się raptem urywało w zakresie szczerego pola, ukazywało się dalej niby równa i ostra linia dzieląca płaszczyznę na dwa obszary, kryło się w zaroślach i znowu jak wąż bielało w ogromnej dalekości pod niebieskawą smużką leśną u samego krańca widnokręgu.

Brzegiem tej szosy wędrował równym krokiem Jędruś Radek. Miał na sobie uczniowski mundur, na głowie czapkę z palmami, na plecach tornister, w ręce patyk. Źle było iść w takie gorąco. Buty miał na wysokich obcasach z podkówkami, kupione swego czasu na rynku w postaci żółtej. Cholew nawet w ostatniej chwili nie było sposobu uczernić, toteż zachowały swój juchtowy kolor. Za to przyszwy i obcasy Jędrek uczernił starannie szuwaksem własnego wyrobu, spreparowanym z odrobiny mleka i miałko utłuczonego węgla. Kiepski to był szuwaks; but nie miał glancu i okrutna żółcizna świeciła spod czernidła, osobliwie w szparach między podeszwą. Pragnąc nadać im jakąś formę musiał Jędrek wewnątrz kłaść duże wiechcie słomiane i zawijać nogę w spore onuce. Przyszwy dzięki temu na oko wydawały się węższymi, ale za to nogi bolały nad wyraz, osobliwie w drodze. Drelichowe spodnie kryły obrzydłe cholewy. Mundur Radka był kiepski, przerobiony z kapoty ufarbowanej na granatowo. Zamiast srebrnego galonika na kołnierzu przyszyta była najzwyczajniejsza bawełniana tasiemka po dwa grosze łokieć. Płaskie guziki tego uniformu były powycierane i nie miały srebrnego blasku. Tylko palmy i litery P. P. (Progimnazjum Pyrzogłowskie) błyszczały w słońcu. Tornister odparzał srodze plecy wędrowca, mieściły się w nim bowiem wszystkie gramatyki, podręczniki algebry i geometrii, dzieła Cezara i Ksenofonta, *Słowiesnost'* i lezesztyki [1]) niemieckie. Oprawa każdej z tych książek była sta-

[1]) Dzieła historyków rzymskich, stylistyka rosyjska i wypisy niemieckie

rannie zawinięta w papier, a wszystkie kajety były w porządku. Już drugi dzień Jędrek „dymał" spod samych Pyrzogłów w stronę Klerykowa. Noc go zaskoczyła w okolicy pustej, wsi naokół nigdzie widać nie było, przespał się tedy w stercie pod lasem, zmarzł dosyć dobrze nad ranem i szedł drugiego dnia ostro zaraz od świtu. Przed południem trafiła się przy drodze stara karczma, zaszedł tedy do niej dla wypoczynku. Na pytanie, co by zjeść można, odpowiedziano mu, że nie ma nic innego prócz bułek i piwa. Bułki były stare i twarde jak rzemień, a piwo nosiło pseudonim „drozdowskiego", prawdopodobnie dla tej racji, że miało smak kwaśnego soporu z ogórków, a temperaturę kałuży na gościńcu w dzień upalny.

Jędrek wyjął z tornistra osełkę masła zawiniętą w czystą szmatę, krajał bułki nożykiem, smarował je masłem, zapijał „drozdowskim" i spoczywał w chłodzie izby. Naprzeciwko niego siedziała gospodyni. Zza balasów szynkwasu widać było tylko jej tłustą czy obrzękłą twarz podwiązaną chustkami. Złe oczy tej baby świeciły się jak węgle i badawczo w podróżnego wpijały.

— Skądże to kawaler? — rzekła nareszcie — wolno spytać?...

— Z daleka, moja pani — rzekł Radek, niekontent wcale z indagacji.

Szynkarka przysunęła sobie lepiej rynkę z duszoną kiełbasą, odetchnęła i gniewnie rzekła:

— Z daleka? Uczyń i sam idzie piechtą? Cóż to znowu za moda!

Jędrek zaczerwienił się i zmieszał niepomału.

— Idę — rzekł — do Klerykowa. Skończyłem cztery klasy w Pyrzogłowach, a teraz chcę się dostać jako do piątej...

— Widzicie... A i cóż to rodzice nie mogli odesłać kuniamy, nie żeby zaś piechotą rypać tyli świat? Przecie od nas do Pyrzogłów — a bo ja wiem — będzie pewnie osiem mil z ogunem. Cóż to za rodzice i taki musi być bez honoru, żeby zaś...

* * *

W klasie żaden z kolegów nie zbliżył się do Radka, lecz owszem, wszyscy go szykanowali. Zauważono natychmiast jego podkówki u juchtowych butów, drelichowe majtki, zgrzebną koszulę, tasiemkę i chłopskie prowincjonalizmy w mowie. Był nawet dowcipniś w klasie, niejaki Tymkiewicz, który go stale przedrzeźniał. W czasie dużej pauzy umyślnie zachowywano ciszę i z ostatnich ławek dawał się słyszeć głos naśladujący gwarę chłopską:

— Wojciechu, lubują woma zimioki z maślanką?

Z drugiego końca odpowiadano żałośnie:

— Oj, mój kumosicku, lubują, lubują...

— A miso woma lubuje?

— Kez by to miso nie lubowało człowiekowi! Ino, co nie umiem onego misa jeść po ślachcicku...

— Po ślachcicku?

— Ajści. Jak mię tatuś oddali do szkoły na stancją, tom ci dopiero zoboceł, jak se to ślachta jedzą. Bierze takie świecące widełki, zgnie ono miso, dopieros je do gęby niesie, nikiej chłop snopek w zapole...

Emocja, jakiej doświadczał Radek słuchając tych dialogów była z pewnością palącym wstydem, ale obok niego czaiła się zemsta ukryta w masce obojętności i wzgardy tak głęboko, jak iskra w krzemieniu. Nauczyciele bezwiednie zaostrzali stosunek nowicjusza do kolegów wyrywając go często na środek dla zbadania zasobów jego umysłu. Przybyszowi z Pyrzogłów zdawało się, że go przedrwiwają wszyscy. W progimnazjum najważniejsze wykłady snuły niedołęgi wszelkiego rodzaju, dziwaki, mastodonty okręgu naukowego, toteż Radek w łacinie, greczyźnie, matematyce itd. recytował istne *curiosa*[1]) jako perły wiedzy podane przez mędrców pyrzogłowskich. Wszystkie te okoliczności sprawiły, że Jędrek, chociaż uczeń bardzo dobry i pilny, był jeżeli nie pośmiewiskiem, to tarczą szyderstw swego otoczenia.

[1]) Osobliwości, nadzwyczajności

Pewnej lekcji, blisko we dwa miesiące po rozpoczęciu kursu szkolnego, wezwał go do tablicy pan Nogacki i zlecił wyprowadzić formułę geometryczną zadaną na ów dzień do nauki. Radek stanął przy katedrze, chwycił kredę i począł rysować figurę uciętego graniastosłupa. Silne wzruszenie przyćmiło na pewną chwilę czasu jego pamięć i bystrość umysłu. W rysunku popełnił błąd przeprowadziwszy jedną z linii bryły zanadto na prawo. Nogacki orientował go kilkakroć mówiąc swym zimnym głosem:

— Radek, linię F G trzeba poprowadzić na lewo...

Uczeń starł daną linię, ale nową przeprowadził jeszcze gorzej.

— Linię F G — na lewo... — znowu wydeklamował nauczyciel.

Koledzy śmiali się już z cicha, a Jędrek tracił coraz bardziej pewność siebie. Znowu starł nieszczęsną linię i wyrysował całkiem niedorzeczną gdzieś poza figurą.

— Ależ Radek, linię F G trzeba poprowadzić na lewo.

Wzburzony i drżący uczeń starł ją i bezwładnie opuścił ręce. Czarne płatki latały mu przed oczyma, gruczoły wydzielające ślinę nie funkcjonowały prawidłowo, a usta schły, kurczyły się i drgały. Wtedy z przedostatniej ławy wysunął głowę Tymkiewicz i donośnie po polsku szepnął:

— Wojtek, ady k' sobie!

Radek właśnie w owej chwili zebrał się w kupę, machnął linię prawidłowo i zaczął wybornie dowodzić. Śmiech ogólny zabrzmiał w klasie. Nawet zimny Nogacki karcąc Tymkiewicza za odezwanie się podczas lekcji „w innym języku" miał na wargach uśmieszek wesoły. Radek prędko skończył teoremat [1]), rozwinął zadanie geometryczne i obdarzony stopniem bardzo dobrym wrócił na miejsce.

Po skończonej lekcji wstał zaraz z ławy, nim jeszcze profesor wyszedł z klasy, szybko, z zagryzioną wargą przybiegł do Tymkiewicza i od lewicy ściśniętą pięścią uderzył go w zęby

[1]) Dowodzenie twierdzenia naukowego

raz, drugi... Napadnięty porwał się do bójki, ale Radek chwycił go za szyję mocną swoją garścią, trzasnął nim kilkakroć, przywlókł do muru i zaczął bić po chamsku raz koło razu, w zęby, w gardło, w nos, w szczękę. Nim zdołano rozerwać walczących, już z nosa i z ust Tymkiewicza krew puściła się strumieniem. Całej awanturze nauczyciel przyglądał się z katedry. Gdy skrwawionego i bladego jak trup Tymkiewicza złożono na ławce, Nogacki wyszedł zamykając drzwi i rozkazując wszystkim zostać na swych miejscach. Po upływie kilkunastu minut wszedł do sali Kriestoobrjadnikow, inspektor, gospodarz klasy, jego pomocnik i kilku nauczycieli. Radek stał w ławce z głową zwieszoną. Łzy kapały z rzadka z jego rzęs i rozpryskiwały się zlatując na wierzch ławy. Dyżurny w krótkich słowach przedstawił całe zajście. Nogacki to potwierdził. Tymkiewicz miał twarz zmasakrowaną, jedno oko podbite i wciąż jeszcze krwi pełne usta. Dyrektor wysłuchał całej sprawy z uwagą i rzekł do nauczycieli obecnych:

— Zdaje mi się, panowie, że nie będę w niezgodzie z radą pedagogiczną, jeżeli Radka wydalę z gimnazjum. Jest to rozbójnik, nie uczeń. Jest to cham, istny cham...

Po chwili zwrócił się do winowajcy:

— Radek, ja pana wydalam z gimnazjum raz na zawsze.

To rzekłszy zalecił gospodarzowi klasy, żeby Tymkiewicza nazajutrz po wyzdrowieniu wpakować na cztery godziny do kozy, a Radka z listy wykreślić — i odszedł ze świtą. Gospodarz wejrzał ze współczuciem na Jędrka i z żalem w głosie wymówił:

— Cóż robić... musisz pan zaraz opuścić gimnazjum.

Radek zgarnął swe książki i kajety do tornistra, zarzucił go na plecy i wyszedł złożywszy ukłon gospodarzowi klasy, jakby się oddalał na pauzę. Było już po dzwonku. Korytarz górny i schody opustoszały. Z którejś klasy dawał się słyszeć równy głos nauczyciela fizyki:

— W tym celu bierzemy dwa pręty metalowe...

Radek szedł po schodach noga za nogą, bezwładnie, myśląc: W tym celu bierzemy... Był spokojny, choć serce jego

z bolesną siłą tłukło żebra, a zimne dreszcze przeszywały ciało i kości. Minął przedsionek, wyszedł na dziedziniec i tam zakręcił się na miejscu.

— Już po wszystkim — mówiły jego omdlałe wargi.

## Gazeciarz w r. 1905

**Bronisława Ostrowska:** *Książka jutra, czyli tajemnica geniusza drukarni*

Bronisława Ostrowska — (1881—1928), utalentowana poetka i powieściopisarka, autorka powieści dla młodzieży.

Pierwsza pogoda maja jeszcze nabrzmiała Wielkanocą, rozsypała się po ulicach miasta koszami kwiaciarek sprzedających kaczeńce, sasanki i fiołki.

Najludniejszymi ulicami przebiega, jak zwykle, Jasiek z paczką gazet pod pachą. Jest lekki jak świeżo wyfrunięty z kokona motyl... Niedawno jeszcze zasmolony, opasany linką, jeżem swej szczotki kominiarskiej wygarniał z kominów głęboki aksamit sadzy. Rzetelna sprzeczka wuja Ignacego z czarnym chlebodawcą zrobiła niespodzianie z małego kominiarczyka ten wolny stwór ulicy, który nazywamy gazeciarzem.

Wżył się od razu w zawód, w miasto, w tętno chwili. Jest sam żywą gazetą podziemnego nastroju dnia.

— *Kurier Warszawski*, zapinany na zatrzaski! *Gazeta Nowa*, świeża i zdrowa! — zachwala na całe gardło swój towar.

Od czasu do czasu, jeśli jaki odmawiający kupna przechodzień wzbudzi w nim zaufanie, Jasiek szuka na ślepo dotknięciem misternie powsuwanych między codzienne gazety tajnych druków ze skrytki wuja Ignacego.

— Szlachetna osobo! — zaczyna uświęconym gazeciarskim zwrotem. A potem zbliża się nagle, mruży jedno oko i zniżając porozumiewawczo głos, niespodziewanie kończy:

*Robotnik?*

Transakcja dokonywa się w najbliższej bramie i Jasiek biegnie dalej. W pewnym punkcie spotyka towarzysza Waca.

Z daleka już poznaje jego sylwetę widywaną od dawna nad paczkami zadrukowanej bibuły. Wac idzie wolnym krokiem prosto przed siebie i mija Jaśka jak obcy, nie spojrzawszy nawet w jego stronę.

— Aha!

Za to na zakręcie zaczepia Jaśka jakiś obcy pan.

— Gazeciarz!

Chłopak podbiega.

— *Robotnika* masz?

Rozkładając przed panem pozostałe kurierki Jasiek czuje się nieswojo. Przypomina mu się, nie wiadomo skąd, jak kiedyś, dawno, wypraszał z rąk miejskiego oprawcy łapanego na postronek Kruczka.

— A tego pana znasz? — pyta tymczasem obcy pokazując oddalającego się ulicą towarzysza Waca. Jednocześnie szuka czegoś w kieszeni brząkając monetami.

Jasiek robi głupią minę, jak gdyby zgoła nie wiedział, o co go pytają.

— Bywasz u niego?

Nowe ruszenie ramionami z łobuzerskim wykrzywieniem oka.

— Cóż to! języka w gębie nie masz?

Tego już za dużo na cierpliwość Jaśkową. Dwie iskry zapalają mu się w oczach i wtulając charakterystycznym ruchem głowę w ramiona gazeciarz wywiesza wprost na pytającego długi, różowy jak u szczeniaka język.

— A widzisz, cholero, że mam!

I oczywiście nie czekając dalszego ciągu, robi niespodziewane salto, aż znalazłszy się na przyzwoitej odległości — salutuje.

Po czym gwiżdżąc przeraźliwie znika w zaułku.

Nie ma czasu.

W dzielnicy robotniczej, dokąd spieszył, widzi od razu niezwykły, skupiony ruch. Z przymykanych przezornie sklepów wyglądają zaniepokojone kupcowe; chodnikami biegną krzy-

cząc dzieciaki; nienawistne mundury carskie wyrastają zewsząd jak spod ziemi.

Jak szczeniak wietrzący tropy słońca na wiosennych roztopach przepycha się Jasiek chodnikami, wciągając w nozdrza podmuch ulicznego niepokoju. Gazeciarskim węchem kieruje się nieomylnie. Wypłynął jak ryba w pierwszych szeregach manifestacji.

Idą.

Nad głowami czerwony sztandar. Hymn grzmi.

Jaśkowi w piersiach tłucze się stara kołatka krzywdy. W dziecinnych pięściach tężeje głuchy bunt. Każdy kamień ożywa mu pod nogą. Gazety furczą jak skrzydła przeciw szarży tętniącej w zamkniętej ulicy.

Idą. Jeszcze idą!

Sztandar skłonił się tuż ponad głowami. Chwila — i wsiąknie w idącą gromadę jak plama krwi.

— Nie oddadzą!

— „Bo na nim robotników krew" — trzęsie ulicą jak burza.

Wali się stary świat. Łoskot. Świst. Nahaje i końskie kopyta. Na bruku krew...

Kiedy zadyszany i zgoniony Jasiek wraca nareszcie do domu, wita go tam nieodmiennie groźba wuja Ignacego:

— Doczekasz ty się jeszcze, szczeniaku! Napytasz ty się biedy! Obaczysz!

Leżąc na swym posłaniu długo w noc słucha Jasiek stukającej za ścianą tajnej drukarni towarzysza Waca i patrzy w okno na wyiskrzone gwiazdami niebo. Poprzez klejące się do snu powieki kołysze mu się ono w oczach, jak rozwinięty nad światem sztandar, na którym gwiaździstymi głoskami świeci jakiś napis jedyny, nieczytelny, a najmiłościwszy.

## W Łodzi w roku 1905

### Adrzej Strug: *Dzieje jednego pocisku*

Andrzej Strug — (pseudonim Tadeusza Gałeckiego, 1873—1937), jeden z najwybitniejszych powieściopisarzy początków XX wieku, autor powieści i opowiadań z życia i walk nielegalnych działaczy w czasach zaboru carskiego. Po I wojnie A. Strug pisze powieści z tendencją pacyfistyczną i socjalistyczną, malując okropności wojny i okrucieństwo pieniądza w rękach milionerów. Strug nie zamykał się w swej twórczości. Był działaczem PPS-lewicy i zwolennikiem jednolitego frontu jako prezes Ligi Obrony Praw Człowieka i Obywatela.

Na jednym z rogów ulicy Wólczańskiej w mieście Łodzi jest restauracja braci Jerke. Bracia żyją z tkaczy od Drajera, którzy tam spuszczają swoje krwawo zapracowane pieniądze, bawią się, jedzą, piją, kłócą się i politykują. Trzy brudne salki napełniają się natychmiast, jak tylko gwizdek fabryczny rozpuści ludzi na fajerant. Knajpa ma obrót tylko wieczorami w dzień powszedni, a w niedzielę od rana do nocy. Nikt tam „porządniejszy" nie zabłądzi — robotnicy są tu u siebie, znają się wszyscy i zakład ma charakter domu rodzinnego. Obcego poznają tu zaraz i nie radzi widują, choćby to był też brat-weber [1]) z sąsiedniej fabryki, którą tylko mur dzieli od Drajera.

Czasy były gorące. Nie można było zaufać pierwszemu lepszemu, toteż trudno powiedzieć, żeby obcych mile widziano i właściwie, jeżeli się okazało, że nie znał ich żaden z gości, radzono im, żeby się wynosili, a jeżeli się opierali, wystawiano ich za drzwi. Tak samo robiono gdzie indziej, bo wszędzie ludzie chcieli być wolni od zarazy szpiclowskiej. Gospodarze nie protestowali. Były to zresztą czasy, gdy robotnicy rządzili nie tylko w knajpach, ale i po fabrykach.

Znosiła to długo firma Drajer. Stary Drajer, który sam był kiedyś prostym tkaczem i przez 30 lat trzymał żelazną ręką swoich robotników, który przez 60 lat nie opuszczał Łodzi i przez 60 lat nie nauczył się po polsku, chorował z wściekłości patrząc na „bezczelne rozpanoszenie" się anarchii, która czy

[1]) Tkacz

to przez usta delegatów PPS, czy SD stawiała mu niemożliwe żądania, zaprowadziła swoje socjalistyczne porządki, sądziła jego dyrektorów, wymyślała mu, przewracała wszystko do góry nogami przez całe 12 miesięcy owego pierwszego roku rewolucji.

Stary przeżył jakoś strajki polityczne, za które zapłacił całą dniówkę, przeżył szkody i straty, przeżył wiece odbywane w godzinach pracy na jego koszt i w jego fabryce, ale zobaczywszy raz na własne oczy, jak kilkuset „wałkoniów" obradowało rozsiadłszy się na drogocennych firankach ułożonych w stosy, dostrzegłszy, że palą papierosy w tak niebezpiecznym miejscu, rozpłakał się i dostał ataku sercowego.

Gdy na dobitkę wiecownicy spostrzegłszy go we drzwiach zaczęli ryczeć i gwizdać, stary zwalił się na ziemię i skonał zaniósłszy aż na tamten świat uszy pełne tego gwizdania.

Młody Drajer, który po polsku mówił jak Polak, zmienił dyrektorów i majstrów sterroryzowanych przez robotników i zaczął kampanię na śmierć i życie. Robotnicy ogłosili strajk. Drajer ogłosił lokaut. Walka trwała już od 6 tygodni, a bracia Jerke robili kolosalne interesy szynkując od rana do nocy, przeważnie na kredyt.

Były to jednak czasy, kiedy bracia Jerke — i nie oni jedni — wierzyli jeszcze w zwycięstwo proletariatu i w jego wypłacalność. Wierzyli w to i sami robociarze. Toteż wesoło było w knajpie. Nikt się nie martwił zatargiem, bezrobociem. Kobiety jęczały tam po domach, jak zawsze w takich razach, ale mężczyźni byli pewni wygranej i tego *lonu* [1]), który im wypłaci Drajer za czas przepróżnowany. Tego się domagały partie, a ponieważ partie były potęgą, a u Drajera i podczas lokautu tym potężniejsze, że działały zgodnie — więc dlaczego nie miało być wesoło? Było dymno jak w wędzarni, odór piwska buchał zewsząd, a za błyszczącą cynkową ladą prezydowali Fryc i Moryc nalewając i nalewając, i jak zawsze, nie dolewając.

Były to dwie pokraki pełne komizmu. Fryc, pepeesowiec, było to olbrzymie, chorobliwie rozdęte cielsko. W nagiej czasz-

[1]) Wynagrodzenia

ce tkwiły wielkie gały, z których jedna patrzyła ku Widzewu, a druga na Bałuty. Moryc, esdek, chociaż starszy, ze wzrostu wyglądałby na lat 12, gdyby nie poorana zmarszczkami twarz i straszne wąsiska jak u karalucha. Urodził się krzywy i kiedy stał, musiał jedną nogę odstawiać daleko w bok. Prócz tego miał jeszcze uszy niesłychanie grube, mięsiste, wiszące jak u psa.

Bracia byli to ludzie rozsądni, zapobiegliwi, sprytni. Żyli ze swego szynku, a szynk utrzymywał się z proletariatu, byli więc szczerymi przyjaciółmi swoich klientów. Obchodziła ich dola i niedola. Wraz z nimi nienawidzili starego i młodego Drajera, kapitalizmu, burżuazji i carskich rządów, szanowali partie rewolucyjne — tylko jeden wolał PPS, a drugi SDKP i L. Dlaczego? Kto wie, może nawet z przekonania. Byli ludźmi godnymi zaufania i niejedna drażliwa sprawa robotnicza przechodziła przez ich ręce. Kochali się bardzo, a jeżeli się kłócili, to nigdy o rzeczy drobne, ale o sprawy wyższego porządku.

Pewnego wieczora, gdy bracia perorowali za szynkwasem kłócąc się, do restauracji wpadła z wrzaskiem jakaś dziewczyna oznajmiając, że na Wólczańskiej wojsko rewiduje wszystkie knajpy. Zakotłowało się wszystko i goście zaczęli się pchać do wyjścia. Zostało tylko kilku bardziej pijanych, którzy za nic nie chcieli uciekać, uważając to za hańbę. Tych wyrzucał, jak mógł, mały Moryc wrzeszcząc i wymyślając, po czym pokusztykał za ladę i stanął spokojnie oczekując rewizji.

Spojrzawszy jednak na brata zdumiał się.

— *Gott, der gerechte!* Co ci jest, Fryc? — Fryc stał z rękami wzniesionymi do góry, a pełnego rozpaczy zeza wbił w sufit.

— Czego ty wyprawiasz komedie, głupi wariacie, nie przestraszaj mnie!

Szarpany przez brata, Fryc oprzytomniał i wyznał szczękając zębami, że tam u niego na górze pod łóżkiem leży paczka zostawiona przez jednego faceta, że po tę paczkę mieli dzisiaj przyjść, ale nie przyszli, że wobec tego knajpę skonfiskują, a ich obu powieszą.

— Co to za paczka?

— Nie pytaj się, Moryc...

Młodszy brat stracił zupełnie głowę.

— Mów, co tam jest, ty gruba świnio!...

— Nie irytuj się, Moryc. O, już idą! — wrzasnął Fryc usłyszawszy głuchy, ciężki tupot licznych kroków na ulicy i jak wariat wypadł ze sklepu, a Moryc klnąc i złorzecząc wdrapywał się po ciemnych schodach na górkę. Szybko zapalił świecę i szukał. Pod łóżkiem na ziemi, między pantoflami Fryca a niecką z kiszkami przyniesionymi wieczorem przez rzeźnika, stało piękne pudełko z jasnej skóry z długim rzemykiem. Moryc porwał pudełko, ale zważywszy jego ciężar zbladł, a wielkie uszy napłynęły mu krwią i zaczęły go palić. Już przeczuwał coś strasznego.

Tymczasem po schodkach już się łomotali sołdaci. Moryc szybko rozgarnął kiszki, wsadził pudełko na samo dno, przykrył i porwawszy nieckę oburącz, dźwignął ją. W progu spotkał policję.

— Co to, panie Jerke, do wszystkich diabłów — krzyczał rewirowy.

— Nikogo w sklepie! Gdzie brat? Gdzie goście? No, no... Co to pan tam masz?

— *Blutwürstchen — Herr* naczelnik, świeże, jeszcze gorące. Piwka zaraz utoczę. Właśnie nabiłem świeży antałek.

— Pilnuj no się pan! Oficer jest na dole. Trzymaj się pan, bo za byle co wali po mordzie.

W restauracji było pełno żołnierzy. Jeden pił wprost z butelki, inny jadł coś żarłocznie biorąc z lady.

Moryc postawił nieckę z kiszkami na stole i badał sytuację. Oficer stał na ulicy i wymyślał komuś ostatnimi słowy. Kogoś tam poniewierali sołdaci. Po lamentującym głosie poznał brata i wyleciał na ulicę.

— Kto ty? Po coś uciekał?

— To jest mój brat, panie pułkowniku, on nie uciekał, on łapał gościa, co nie zapłacił i uciekał. To nie on uciekał, to gość uciekał, a on gonił.

— Wy jego brat?

Przez chwilę oficer przyglądał się bacznie obu postaciom i wreszcie roześmiał się, splunął, jeszcze raz spojrzał i zaklął z ukontentowaniem.

— No... no...

— Powiadajcie zaraz, gdzie bomby? Gdzie rewolwery? Bo wam cały „kabak" przewrócę do góry nogami?

Moryc zaczął błaznować chcąc jeszcze rozśmieszyć oficera. Wystawiał na pokaz swoją krzywą nogę, przysięgał na swoje uszy, ale dostrzegłszy przez okno, jak sołdaci wybierają z niecki kiszki, wrzasnął z zupełnie niepodrabianą rozpaczą.

— Co to?

— Panie naczelniku — moje kiszki! Wszystkie mi pozjadają! Jakaż to jest rewizja?

Oficer krzyknął na sołdatów, zabrał ich z sobą i skończyło się na strachu.

## Stefan Okrzeja

### Gustaw Daniłowski: *Bandyci z PPS*

Gustaw Daniłowski — (1872—1927), syn członka Rządu Narodowego z r. 1863, działacz PPS. Poeta, powieściopisarz, przyjaciel Żeromskiego, razem z nim należący do grupki rewolucjonistów i oświatowców w Nałęczowie w okresie rewolucji r. 1905.

Okrzeja urodził się 3 kwietnia 1886 r. Ojciec jego był dróżnikiem kolejowym, matka, oddana całkowicie wychowaniu kilkorga dzieci, szczególną miłością otaczała Stefana. Pomimo szczupłości środków materialnych rodzice Okrzei ciągnęli się do ostatniego, by dać dzieciom możliwie wysokie w ich warunkach wykształcenie. Stefan, jako najzdolniejszy, ukończył dwie klasy szkoły miejskiej, a potem uczęszczał do tajnych kompletów, gdzie wyróżniał się pilnością, rozgarnięciem i gorączkową żądzą wiedzy. Wybitny jego talent do rysunków i malarstwa, gdy nadszedł czas zarobkowania, tak wczesny u dzieci proletariatu, ułatwił mu znalezienie dość korzystnego

zajęcia w zakładzie „Labor", gdzie malował kwiaty na naczyniach emaliowanych. Urażony jednak brutalnością majstra, rzucił posadę i po pewnej przerwie znalazł zajęcie w fabryce „Wulkan", gdzie pracował do końca.

Wyczerpująca całodzienna praca fizyczna nie zdołała zgasić w młodym chłopcu namiętnej żądzy światła. Wieczory, a często całe noce trawił na pochłanianiu książek i nieraz dopiero posępne ryczenie syren fabrycznych, żarłoczny głos molocha pracy, budził go z marzeń do ciężkiej rzeczywistości.

To pragnienie wiedzy płynęło nie tylko z naturalnych instynktów jego duszy. Okrzeja, który wcześnie zapoznał się z ideałami socjalizmu, rozumiał, że szerokie, wszechstronne wykształcenie jest niezbędnym pomocniczym środkiem w walce o inny ład i powszechną szczęśliwość.

Toteż pracował nad sobą jak galernik, ćwiczył umysł i wrodzone cnoty charakteru, by wystąpić w pełnym rynsztunku do boju, i pomimo dużych postępów i sporego zasobu wiedzy, skromny z usposobienia, uważał się ciągle za niedostatecznie przygotowanego do wielkiego posłannictwa.

— Do kierownictwa nie dorosłem, ale szeregowcem będę dobrym — mawiał często ze smutkiem. Towarzysze jednak cenili go wysoko i gdy zaszła czasem rozmowa o przypuszczalnych posłach ze sfer robotniczych do polskiego parlamentu, „Witold", jak go nazywano w kołach partyjnych, miewał największe szanse, jako prawy charakter i tęga głowa. Marzyciel z usposobienia, o bladej twarzy apostoła i szczerych, jasnych, prawdomównych oczach dzielnego człowieka, posiadał w sobie utajoną energię czynu, która w potrzebie wyzwalała się nagłym płomieniem. Toteż wkrótce, gdy rozpoczęło się rewolucyjne wrzenie, stał się on chorążym tłumów. On to podczas manifestacji przeciw pierwszemu sądowi nad Kasprzakiem szedł ze sztandarem na czele manifestantów w alejach Ujazdowskich. Potem na Lesznie nie wypuścił chorągwi z ręki, choć całe palto miał pocięte szablami i kilka ran na ciele.

Był również jednym z najenergiczniejszych uczestników pamiętnej krwawej demonstracji na placu Grzybowskim oraz najczynniejszym organizatorem strajku powszechnego w styczniu 1905 roku.

W dniach tych niezapomnianych wysunął się po raz pierwszy spod ziemi olbrzym ludowy. Stanęło wszystko; śmiertelnie cichą stała się pełna zgiełku stolica — Warszawa. W ciągu pierwszych dni, zaskoczony nagłością wypadków, przerażony, rząd najezdniczy zdawał się być tknięty paraliżem. Ale po tej chwili bezczynności nastąpiła istna orgia w mieście. Wyległy z koszar wojska i zaczął się krwawy mord, rozstrzeliwanie przechodniów, rabunek sklepów przez męty zgromadzone w tym celu przez policję, wyciąganie bagnetami spod łóżek dzieci, pastwienie się nad trupami, strzelanie do okien i balkonów — istne polowanie na ludzi.

Na Złotej ulicy dwaj przejeżdżający oficerowie widząc malca, który zamalowywał napis rosyjski na szyldzie, wysiedli z dorożki, wydobyli rewolwery i przeszyte kulami zwłoki dziecka zsunęły się z drabiny. Rozbestwieni żołnierze dawali salwy do gromadek dzieci, które naśladując starszych, z papierowymi chorągiewkami bawiły się na podwórkach. Z dalekonośnej broni strzelano na chybił trafił w wylcty ulic. Krew ścinała się w żyłach najspokojniejszych ludzi, wszystkie uczciwsze ręce zaciskały się z oburzenia i wściekłości.

Okrzeja chodził jak nieprzytomny. W szlachetnej jego duszy wprost nie mogło się pomieścić to morze okrucieństwa i morze cierpienia bezbronnego ludu wydanego na łup żołdactwu. Zdawało mu się, że to ciężki koszmar, nieprawdopodobny sen — ale trupy, kałuże krwi na ulicach, płacz kobiet, jęki rannych — świadczyły o rzeczywistości.

Ocknął się w gniewie i grozie ze świadomością, że pozostawać biernym świadkiem tego wszystkiego nie podobna, i postanowił zostać mścicielem mordu ludu. Zgłosił się ze swym zamiarem do organizacji. Otrzymał polecenie rzucenia bomby w koszarach lub w XII rewirze policyjnym na Pradze. W ten sposób miał się stać uczestnikiem szerszego planu. Chodziło

mianowicie o to, aby wywabić na miejsce wypadku odpowiedzialnego za wszystkie gwałty oberpolicmajstra Nolkena, na którego inny towarzysz czyhał z pociskiem na Zjeździe. Plan się udał. Policmajster został ciężko ranny, a sprawca zamachu położywszy trupem naczelnika pościgu uszedł cało.

Trudniejsza i bardziej ryzykowna była sytuacja Okrzei; koszary zastał puste, udał się więc do cyrkułu, otworzył drzwi pierwszego pokoju, gdzie siedziało 3 policjantów, wśród nich słynny z okrucieństwa Sarap, i ze słowami: „Macie!" rzucił pocisk na stół. Rozległ się straszny wybuch, który nie tylko poranił oprawców, ale poszarpał nogi, zranił w głowę i ogłuszył spiskowca. Na wpół przytomny, straciwszy właściwy kierunek, Okrzeja zamiast w stronę bramy skręcił w podwórze i tu natknął się na rewirowego Czepielewicza, który począł doń strzelać. Strzały wróciły Witoldowi przytomność, dobył brauninga, ranił śmiertelnie Czepielewicza i począł się cofać do bramy. Tu jednak zawiodły go znowu siły fizyczne, gwałtowny skurcz w palcach uczynił go bezbronnym wobec napastującej zgrai. Został pochwycony przez stójkowych, którym nadbiegł na pomoc kapitan Chwoszczyński.

Gdy ten zbir szarpnął go za skrwawione włosy, odzyskując całą moc duszy Okrzeja rzekł krótko: „Jeśli się mnie pan raz jeszcze dotknąć ośmieli, głowę swą o mur roztrzaskam!". Przestroga poskutkowała. Władze pragnęły sprawcę zamachu wziąć żywcem. Opatrzono mu rany, ułożono na tapczanie, gdzie natychmiast rozpoczął badanie przybyły sędzia śledczy do spraw większej wagi.

Z obandażowanymi nogami, owiązaną głową bohater spokojnie opowiadał:

— Nie powiem wam ani mojego imienia, ani zajęcia, ani pochodzenia, bo te rzeczy nie mają nic wspólnego ze sprawą. Przyznaję, że rzuciłem bombę w XII rewirze policyjnym, aby zabić znajdujących się tam policjantów i sterroryzować policję. Przyczyną tego była paląca mnie żądza zemsty za ohydne czyny gwałtu nad bezbronną ludnością w czasie ruchów robotni-

czych w Warszawie. Kary żadnej się nie lękam: ani katorga, ani śmierć mnie nie przeraża.

Okrzeja nie chciał wymienić nazwiska, by nie narażać rodziny i towarzyszy. Tożsamość jego osoby została ustalona po pewnym czasie dopiero.

Na pytanie, czy będzie miał obrońcę, odpowiedział:

— Bronić się nie mam zamiaru. Nikt mnie do czynu nie zmuszał, szedłem z własnej woli wiedząc, co czynię i co mnie czeka.

Tymczasem towarzysze partyjni wytężali wszystkie siły, by odbić Okrzeję. Projektowano zrobić to w czasie, gdy będą go wieźć do sądu. Ale zdrada ujawniła ten plan, wskutek czego Okrzeja został dostawiony na miejsce w prywatnej, zwyczajnej karecie, która swym pospolitym wyglądem zmyliła czatujących na wszystkich rogach towarzyszy. Sąd rozpoczął się 23 czerwca 1905 r.

Okrzeja odpowiadał spokojnie na pytania, a zeznania jego nosiły jakiś ton uroczysty, jaki nadaje słowom stojące tuż obok widmo śmierci. Ostatnie jego przemówienie mimo prostoty wywołało wstrząsające wrażenie:

— Przyznaję się do przypisywanych mi w akcie oskarżenia czynów — rozpoczął Okrzeja — ale nie w tym oświetleniu, jakie im akt oskarżenia niesłusznie nadaje. Takie jednostki, jak Sarap, Czepielewicz i inne osobiście mogłyby mi pozostać nie znane i obojętne. Nie przeciw nim walczyłem. Wszystko mi było jedno, które z nich zginą. Nie jestem winien zabójstwa. Popełniłem czyn polityczny. Taka powinna być charakterystyka mojego czynu i jego oświetlenie... Osobistości powinny być z rachuby usunięte.

— Od dziecka raziło mnie zestawienie nędzy jednych i rozkoszy drugich ludzi, a że nędzy tej było zawsze więcej i że nędza ta była mi bliższą, przemyśliwałem nieustannie nad tym, jaką drogą dojść do tego, by szczęście nie było zawsze tylko po stronie silnych i bogatych.

— Myśl ta mnie nie opuszczała. Z nią żyłem w szkole i pracowałem w fabryce. Ideały Polskiej Partii Socjalisty-

cznej najbardziej odpowiadały moim ideałom, więc wstąpiłem do niej. Chciałem jeszcze długo pracować nad sobą, zanim przejdę do czynu. Stałe prześladowania naszej Partii nie pozwalały na to w ogóle, a styczniowe wypadki wytrąciły mnie gwałtownie z nakreślonej drogi. Kto nie był wówczas na ulicy, nie widział i nie słyszał tego, co się tam działo, ten o tym sądzić nie może. Wszystkie okrucieństwa wojny stosowano do bezbronnych robotników walczących w imię społecznych, ekonomicznych i politycznych ideałów ludzkości.

— To, co się stało, jak w ogóle wszystko, co się teraz dzieje, uważam za konieczność dziejową. Tyrania, barbarzyństwo i ciemnota nie wiedzą o tym, że są tyranią, barbarzyństwem i ciemnotą, nie mają dla siebie pogardy i potępienia, więc nie ustąpią same. Trzeba je zwalczać i dotrzeć do istotnej swobody, istotnego dobra i szczęścia nie zadowalając się półśrodkami. W walce tej wiele ofiar zginie, ale ludzkość wyjdzie z niej zwycięsko, a ludziom słońce zaświeci. Wierzę, że socjalizm da ludziom szczęście. Ostatnim moim pragnieniem jest, aby ludzie byli dobrzy i szczęśliwi!

Obrońca, adwokat Patek, któremu matka Okrzei, jako niepełnoletniego, powierzyła prowadzenie sprawy — z całym pietyzmem uszanował wolę klienta, który mu polecił wyczerpanie jedynie strony prawnej zastrzegając się, by o nic nie prosił.

W pierwszej części swego przemówienia uwydatnił w gorących słowach niepowszednie zalety pięknej i szlachetnej postaci oskarżonego, ale ta strona obrony, posiadająca niewątpliwie moralną wartość dla ruchu, którego Okrzeja stał się wybitnym przedstawicielem, nie mogła wpłynąć dodatnio na los podsądnego.

Przechodząc do strony formalnej obrońca dowiódł z matematyczną ścisłością, że na zasadzie obowiązujących praw Okrzeja nie może być skazany na śmierć.

— Sądzę — nadmienił — że sędziowie, jako wojskowi, będą mieli dość cywilnej odwagi, by stanąć po stronie prawdy i prawa i nie godzić w bezbronną pierś wroga, pomimo że może wiatr z gory byłby za tym.

Ale panowie wojskowi poszli za wiatrem. Po długiej naradzie, około północy wydali wyrok skazujący Okrzeję na pozbawienie praw i śmierć przez powieszenie.

Gdy w celi Okrzei zjawił się obrońca, by mu zakomunikować tragiczny rezultat kilkutygodniowych zabiegów, i zaczął mówić rwącym się ze wzruszenia głosem: — Straszną panu przyszedłem zwiastować nowinę...

Okrzeja domyślając się, o co chodzi, przerwał spokojnie: — Cóż tak strasznego. Byłem do tego przygotowany dawno, zdawało mi się tylko nieprawdopodobnym, bym mógł podzielić los bohaterów Wielkiego Proletariatu, którzy byli stokroć bardziej zasłużeni dla sprawy ode mnie. Nie śmiałem marzyć, iż dorosnę do ich męczeńskiego wieńca...

Gdy zaś z rozmowy dowiedział się, że w dniu jego procesu zastrajkowała cała Warszawa, zerwał się z miejsca i chodził długo wzburzony.

— Więc dzień wyroku śmierci był jednocześnie najpiękniejszym dniem mojego życia. Mogę umrzeć! — wykrzyknął. — Proszę pana — zwrócił się do obrońcy — niech pan zechce asystować przy egzekucji i zaświadczyć towarzyszom, żem mężnie umarł.

Obrońca nie mógł spełnić obietnicy, wyrok bowiem wykonano potajemnie nie zawiadamiając o tym nikogo.

Ale Okrzeja swoją obietnicę spełnił.

Gdy wyprowadzono go na plac stracenia (22 lipca 1905), gdzie zgromadziły się władze forteczne, administracyjne, sądowe i kat w masce, nie pozwolił zawiązać sobie oczu, odsunął kata i własnoręcznie z okrzykiem: Niech żyje socjalizm! precz z caratem! — zadzierzgnął stryczek na szyi. Źle umocowany, stryczek ześliznął się i Okrzeja się oberwał. Egzekucja rozpoczęła się na nowo, powtórne przeżywanie grozy męczeńskiej śmierci odbyło się z takim majestatem i męstwem, że zdumieni oprawcy mówili:

— To nie człowiek, to żelazo.

# KAPITALIZM MONOPOLISTYCZNY, IMPERIALIZM I FASZYZM

## Imperializm

### Lenin — broszura pod tym samym tytułem

Włodzimierz Iljicz Uljanow — pseudonim Lenin (1870—1924) wódz proletariatu rosyjskiego i zwycięskiej rewolucji październikowej w Rosji, pierwszy realizator ustroju socjalistycznego na olbrzymich obszarach Związku Radzieckiego. Urodził się w Symbirsku nad Wołgą w środowisku, któremu walka rewolucyjna nie była obca. Lenin był socjalistą i rewolucjonistą od najmłodszych lat. W 1895 roku wysłany został na Sybir. Wracając z zesłania zatrzymuje się w różnych miastach, starając się łączyć drobne kółka marksistowskie w jedną partię. Zmuszony ukrywać się za granicą, nie traci jednak nigdy kontaktu z masami, które uważa za istotny czynnik rewolucyjny. Formułuje hasła naczelne i kieruje partią, która szybko rozszerza swe wpływy.

Działalność Lenina w czasie I wojny światowej zmierza do zjednoczenia rozbitego wojną europejskiego ruchu socjalistycznego. W porozumieniu z płomiennym przywódcą lewicy Niemieckiej Socjal-Demokracji Karolem Liebknechtem organizuje już w 1915 r. w Zimmerwaldzie pierwszą od wybuchu wojny międzynarodową konferencję działaczy socjalistycznych krajów objętych wojną, którzy wybujałemu nacjonalizmowi, jaki ogarnia w tym czasie Europę, przeciwstawiają braterstwo broni proletariatu, jednoczącego się w walce o nowy ustrój przeciwko wszystkim imperialistycznym rządom.

W 1917 r. po obaleniu caratu przybywa do kraju i na czele partii bolszewików organizuje socjalistyczną rewolucję październikową. Prowadzi on ZSRR przez pierwsze najcięższe lata, kiedy organizujące się młode państwo socjalistyczne walczyć musiało z reakcyjnymi białogwardzistami, wspomaganymi przez państwa kapitalistyczne. Wyczerpany pracą Lenin umiera w r. 1924, otoczony miłością całego narodu rosyjskiego i ludu pracującego całego świata.

Lenin, podobnie jak Marks, łączył działalność polityczną z pracą publicystyczną i naukową. Był genialnym kontynuatorem myśli teoretycznej Marksa, którą rozwinął i przystosował do ostatniej fazy rozwoju kapitalizmu — fazy kapitalizmu monopolistycznego i imperializmu. Dlatego socjalizm naukowy nazywamy dzisiaj marksizmem - leninizmem.

Imperializm wyrósł jako rozwinięcie i bezpośrednie przedłużenie podstawowych właściwości kapitalizmu w ogóle. Ale kapitalizm stał się kapitalistycznym imperializmem dopiero na bardzo wysokim stopniu rozwoju, kiedy jego podstawowe właściwości zaczęły zmieniać się w swe przeciwieństwo, kiedy ujawniły się cechy epoki przejściowej od kapitalizmu do wyższego ustroju społeczno-ekonomicznego. Sprawą pod względem ekonomicznym podstawową w tym procesie jest zastąpienie kapitalistycznej wolnej konkurencji przez kapitalistyczne monopole. Monopol stanowi całkowite przeciwieństwo wolnej konkonkurencji. W naszych oczach zaczęła się wolna konkurencja przetwarzać w monopol stwarzając wielką produkcję, wypierając drobną, zastępując wielką przez jeszcze większą, doprowadzając koncentrację kapitału do tego, że wyrasta z niej monopol — kartele, syndykaty, trusty i banki obracające miliardami. A jednocześnie monopole nie usuwają wolnej konkurencji, lecz istnieją nad nią i obok niej stwarzając przez to szereg szczególnie ostrych i głębokich sprzeczności i tarć. M o n o p o l j e s t p r z e j ś c i e m o d k a p i t a l i z m u d o w y ż s z e g o u s t r o j u.

Gdyby trzeba było dać możliwie krótkie określenie imperializmu, należałoby powiedzieć, że i m p e r i a l i z m j e s t t o m o n o p o l i s t y c z n e s t a d i u m k a p i t a l i z m u. Takie określenie zawierałoby rzecz najważniejszą,

gdyż z jednej strony kapitał finansowy jest to kapitał bankowy nielicznych największych banków monopolistycznych należących do związków przemysłowców, z drugiej zaś strony dzisiejszy podział świata jest przejściem od polityki kolonialnej państw do polityki kolonialnej monopolistycznego władania kapitału finansowego.

Ale zbyt krótkie określenia, jakkolwiek dogodne, reasumują bowiem to, co jest najgłówniejsze, są jednak niewystarczające. Dlatego też należy dać takie określenie imperializmu, które by obejmowało następujące pięć podstawowych jego cech: 1) koncentracja produkcji i kapitału posunięta do tak wysokiego stopnia rozwoju, że stworzyła monopole odgrywające decydującą rolę w życiu gospodarczym, 2) zlanie się kapitału bankowego z przemysłowym i stworzenie na podstawie tego „kapitału finansowego" — oligarchii finansowej [1]), 3) wywóz kapitału w odróżnieniu od wywozu towarów nabierający szczególnie ważnego znaczenia, 4) międzynarodowe monopolistyczne związki kapitalistów dzielące świat i 5) zakończenie się terytorialnego podziału kuli ziemskiej między największe mocarstwa kapitalistyczne. Imperializm więc jest to kapitalizm na tym stopniu rozwoju, kiedy ukształtowało się panowanie monopolów i kapitału finansowego, kiedy wywóz kapitału nabrał wybitnego znaczenia, kiedy rozpoczął się podział świata między trusty międzynarodowe i zakończony został podział całego terytorium kuli ziemskiej między największe kraje kapitalistyczne.

Politycznie imperializm jest to w ogóle dążenie do gwałtu i reakcji.

Musimy zatrzymać się jeszcze na jednej bardzo ważnej stronie imperializmu. Mówimy o pasożytnictwie, które mu jest właściwe. Jak widzimy, najgłębszą podstawę imperializmu stanowi monopol. Ten monopol kapitalistyczny istnieje obok konkurencji sprzecznej z warunkami monopolu. Monopol ka-

[1]) Panowanie bogaczy

pitalistyczny, jak wszelki monopol, z konieczności rodzi dążenie do zastoju i gnicia. Skoro ustanawia się chociaż na pewien czas ceny monopolistyczne, to do pewnego stopnia znikają przyczyny postępu technicznego, a zatem i wszelkiego innego postępu, bodźce do posuwania się naprzód; zjawia się bowiem ekonomiczna możliwość sztucznego powstrzymania postępu technicznego. Przykład: w Ameryce niejaki Ovens wynalazł maszynę do wyrobu butelek, która oznaczała rewolucję w tej gałęzi przemysłu; niemiecki kartel fabrykantów butelek skupuje patenty od Ovensa i chowa je pod sukno wstrzymując ich zastosowanie. Oczywiście monopol w warunkach kapitalizmu nigdy nie może całkowicie i na bardzo długi czas usunąć konkurencji z rynku światowego. Możliwość bowiem obniżenia kosztu produkcji i powiększenia zysków za pomocą wprowadzenia udoskonaleń technicznych działa na korzyść zmian. Ale t e n d e n c j a do zastoju i gnicia właściwa monopolowi bierze na pewien czas górę.

Imperializm to olbrzymie nagromadzenie kapitału pieniężnego, który dosięgał [1]) 100—150 miliardów franków w papierach wartościowych. Stąd niezwykły wzrost klasy albo raczej warstwy rentierów, czyli osób żyjących z „obcinania kuponów", osób zupełnie oderwanych od udziału w jakimkolwiek przedsiębiorstwie, osób, których zawodem jest próżnowanie. Wywóz kapitału jeszcze bardziej wzmaga to najzupełniejsze oderwanie warstw rentierów od produkcji, wyciska piętno pasożytnictwa na całym kraju żyjącym z wyzysku pracy kilku krajów zaoceanicznych.

Dochód rentierów pięciokrotnie przewyższa dochód handlu wewnętrznego w najbardziej handlowym kraju świata — Wielkiej Brytanii.

Pojęcie: „państwo-rentier", czyli „państwo-lichwiarz", staje się powszechnie używanym pojęciem w ekonomicznej literaturze o imperializmie. Świat rozdzielił się na garstkę państw lichwiarzy [2]) i olbrzymią większość państw dłużników.

[1]) Przed II wojną światową

[2]) Np. teraz Stany Zjednoczone A. P.

## Hymn pokoju

### Józef Wittlin

Józef Wittlin — (ur. w r. 1897), poeta kierunku pacyfistycznego. Pacyfizm po I wojnie światowej zbudził się z żywiołową siłą. Wierzono, że straszliwa wojna, która tyle ofiar pociągnęła za sobą, była ostatnią.

Jeszcze jest we mnie krzyk ginących batalionów
I pamięć z trzaskiem rozwalonych tronów [1]),
A już przybywam do Was zadyszany,
Obładowany jukiem świeżych plonów.

Jeszcze mam w płucach gaz i proch, i pożar
Świata, co w gardle każde słowo dławi.
O jakżè wielka jesteś łasko boża,
Że przepłynąłem przez te krwawe morza
Do Was, o ludzie łaskawi!

Jeszcze mi czarny dzień jak czarna zmora
Leży na piersi — a już zapominam!
Dzisiaj jest czyściec, piekło było wczoraj:
Trwajcie cierpliwie, trwajcie do wieczora,
Bo jutro raj się zaczyna!

Jeszcze się targam, bo we mnie się skarży
Cała Europa! I we mnie podnosi
Pięści ku niebu — ludzkość kajdaniarzy,
Krzyżami wszystkich wojennych cmentarzy
Zrywa się, krzyczy i grozi!

Lecz jutro ręce wyciągnie w zachwycie,
Co nie na darmo tłukły o niebiosa!
Bóg się zlitował! Patrzcie, a ujrzycie:
Już spada manna, już rzeźwi nas rosa
I słodzi — to gorzkie życie.

---

1) Pierwsza wojna światowa i idąca po niej rewolucja rozwaliły trzon w Rosji, Austrii i Niemczech.

## Faszyzm i hitleryzm

### Stanisław Ehrlich: *Istota faszyzmu*

Stanisław Ehrlich — prawnik i działacz społeczny, profesor Uniwersytetu Łódzkiego.

Nazwa *faszyzm* pochodzi z Włoch. W roku 1919 założył tam Benito Mussolini związek uczestników wojny (po włosku— *fascio dei combattanti*). Ten związek był zalążkiem bojówek faszystowskich, tzw. czarnych koszul, przy których pomocy Mussolini w roku 1922 doszedł do władzy. Stąd poszła nazwa *faszyzm*.

Podczas pierwszej wojny światowej w latach 1914—1918 ujawniła się słabość ekonomiczna i nieudolność militarna Włoch. Wojna nie ziściła nadziei kapitalistów włoskich na wielkie zdobycze. Toteż usiłowali oni tym bardziej wszystkie ciężary kryzysu powojennego przerzucić na barki mas pracujących.

Niezadowolenie byłych uczestników wojny, niezadowolenie szerokich mas, że miliony ludzi zginęły w czasie wojny nie w obronie interesów ludu, ale w interesie wielkich kapitalistów i obszarników, narastało coraz bardziej w miarę pogłębiania się powojennego kryzysu. Robotnicy Mediolanu, Turynu samorzutnie wprowadzili system kontroli robotniczej w przedsiębiorstwach. Fala strajków i rozruchów rolnych gwałtownie wzrastała. Lud domagał się polepszenia bytu, stawał do walki o władzę.

W tych warunkach parlamentarna forma rządu nie dawała potentatom finansowym pewności, iż uda się im utrzymać linię polityczną w pożądanym dla nich kierunku. Jedyne wyjście widzieli w zaprowadzeniu bezwzględnej dyktatury reakcji. To nam tłumaczy, dlaczego w październiku 1922 roku pchnęli oni grupę awanturników politycznych do przewrotu.

Mussolini doskonale nadawał się na pogromcę ruchu robotniczego. Demagog i karierowicz — należał do tych, którzy nie przebierają w środkach, by dopiąć swoich celów. Jako były przywódca socjalistyczny, umiał wyzyskać nabyte doświadcze-

nie organizacyjne i talent przemawiania do mas. Nie szczędził obietnic. Chłopom przyrzekał ziemię i konfiskatę dóbr kościelnych, robotnikom — kontrolę przemysłu. Obiecywał likwidację giełdy i banków, zniesienie służby wojskowej, konfiskatę dochodów wojennych itp.

Wyuzdaną demagogią pozyskał znaczną część dawnych uczestników wojny, wśród których było wiele elementów zdeklasowanych [1]). Z nich składa się owa tama zbudowana przez wielkich kapitalistów i obszarników przeciw narastającej silnie podówczas we Włoszech fali rewolucyjnej.

Po dojściu do władzy Mussolini rozpętał dziki terror. Sygnałem rozpoczęcia akcji terrorystycznej był skrytobójczy mord przywódcy socjalistycznego Jakuba Matteotiego, który śmiało zwalczał w parlamencie dyktaturę faszystowską.

Po objęciu władzy Mussolini porzuca radykalną frazeologię. Tworzy teorię p a ń s t w a k o r p o r a c y j n e g o, które ma jakoby pogodzić sprzeczne interesy grup społecznych. Mussolini tworzy korporacje, w których zostają przymusowo złączone syndykaty robotników i pracowników. Korporacje są kontrolowane przez władzę państwową, tzn. faszystowską.

Wobec tego, że partię faszystowską finansował wielki kapitał, jasne jest, w czyim interesie działał system korporacyjny. System ten miał na celu obezwładnienie demokracji, a przede wszystkim klasy robotniczej, jako najgroźniejszego wroga faszyzmu. Mussolini przeprowadzał określony program — zniesienie parlamentaryzmu jako systemu przedstawicielstwa narodowego, zniesienie swobód demokratycznych, zlikwidowanie praw robotniczych zdobytych w ciągu dziesięcioleci walki.

Rządy parlamentarne zastąpiła dyktatura partii faszystowskiej oparta na autorytecie wodza *duce*. Władza faszystowska tworzyła całą drabinę hierarchiczną. Na każdym jej szczeblu stał przywódca. Na szczycie wznosił się „wódz nie-

[1]) Ludzi zbiedniałych, którzy wyszli ze swej klasy, spadli niżej.

omylny i wszechpotężny", formalnie odpowiedzialny przed królem, w rzeczywistości przed nikim.

Naród został odsunięty od władzy, pozbawiony swojego przedstawicielstwa, pozbawiony demokratycznych swobód. Zapanowała niepodzielna dyktatura partii faszystowskiej, dyktatura *duce*.

Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że faszyzm to tylko dyktatura partii i wodza. Za oficjalnie rządzącą kliką stał mocodawca, w imieniu którego sprawowała ona swe rządy terroru.

Kto był tym mocodawcą?

„Faszyzm" — według określenia Dymitrowa — to „władza samego kapitału finansowego. Mocodawcą faszyzmu jest kapitał finansowy — trusty, kartele itp. To on go karmi, on nim rządzi, on mu dyktuje wszystkie okrucieństwa".

* * *

Kiedy w Niemczech nadeszły lata głębokiego kryzysu, kiedy miliony bezrobotnych pędziły straszny żywot nędzarzy, a na wsi szybkimi krokami postępowała ruina setek tysięcy drobnych chłopskich gospodarstw, wielcy kapitaliści powiększali jeszcze zamęt, aby pogłębić nastrój przygnębienia i zobojętnienia wśród mas pracujących. Hitlerowcy zyskali świetny argument — oto do czego prowadzą rządy parlamentarno-demokratyczne.

Ale mało kto wtedy wiedział, że ówczesna sytuacja gospodarcza Niemiec wcale nie była taka rozpaczliwa. Znany poseł socjaldemokratyczny Artur Mayer, więzień Oświęcimia, zeznał: „Bezrobocie w Niemczech zostało zaostrzone w sposób sztuczny przez partię narodowosocjalistyczną... Do Niemiec napłynęło w tym czasie mnóstwo zamówień zagranicznych, które były schowane i nie oglądały światła dziennego. Gdyby te zamówienia były wykonane, przyniosłyby wielki dochód, dochodziły bowiem do wysokości $3^1/_2$ miliarda marek. Zamówienia te nie zostały wykonane, gdyż wielcy przemysłowcy niemieccy

zdeklarowali się za Adolfem Hitlerem i przyrzekli mu wszelką pomoc. ...Dzięki temu partia hitlerowska po objęciu władzy miała ułatwione zadanie — otwarto sejfy, tj. schówki bankowe, z zamówieniami, uruchomiono z miejsca zakłady przemysłowe, powołano do pracy fachowców, aby wywołać w narodzie niemieckim jak najlepsze wrażenie".

Decyzja przekazania władzy Hitlerowi zapadła w styczniu 1933 r. w pałacu bankiera Schrödera w czasie narady, w której uczestniczyli kapitaliści Thyssen, Papen i Hugenberg.

Tak więc istota faszyzmu włoskiego i hitlerowskiego jest ta sama. U jego kolebki stał kapitał finansowy, który dążył do zgniecenia demokracji z klasą robotniczą na czele, a w dziedzinie polityki zagranicznej do grabieżczych wojen. W tym duchu „wodzowie" faszyzmu wychowywali swoich zwolenników.

Mussolini uczył: „Faszyzm nie wierzy w możliwość ani pożyteczność wiecznego pokoju".

„Tylko wojna prowadzi energię ludzką do najwyższego napięcia i wyciska na narodach mających męstwo piętno szlachetności".

Hitler nie pozostawał za nim w tyle: „W wiecznej wojnie ludzkość stała się wielka — w warunkach wiecznego pokoju zginęłaby".

Myliłby się ten, kto by przypuszczał, że faszyzm z jego krańcowym szowinizmem i nie znającą miary napastliwością odstraszył zagranicznych potentatów finansowych. „Międzynarodowa solidarność kapitału finansowego, ujęta organizacyjnie w formę światowych karteli i trustów, stanowiła potężną więź, którą hitleryzm umiał w pełni wyzyskać. Ruch hitlerowski finansowali i kapitalista holendersko-angielski Deterding, i Amerykanin Ford, i szwedzki król zapałek Kreuger, i francuski koncern Schneider-Creusot.

Korzenie faszyzmu tkwią głęboko w kartelach i trustach międzynarodowych, które jednak ustawicznie dążą do nowych podziałów świata. Wojna dla nich to świetny interes, na któ-

rym można robić niewiarygodne fortuny, dławiąc jednocześnie ruchy wolnościowe, gdziekolwiekby się one zrodziły.

Narodziny faszyzmu były więc narodzinami wojny. Co do jego istoty, nie ma różnicy między faszyzmem włoskim a hitleryzmem. A jednak nie da się zaprzeczyć, że hitleryzm — ta niemiecka forma faszyzmu — wyróżnia się swą drapieżnością, rozmachem organizacyjnym, napastliwością — jest niejako udoskonaloną, najbardziej krańcową jego formą.

## Międzywojenna reorganizacja i racjonalizacja produkcji

Paweł Hulka Laskowski: *Mój Żyrardów*

Racjonalizacja pracy, która powinna by przynieść ulgę robotnikowi, bo polega zasadniczo na racjonalnym zorganizowaniu pracy ludzkiej, stała się w okresie pomiędzy dwiema wojnami istną plagą robotników. Kapitalistom bowiem chodziło w całej akcji zmierzającej do „racjonalizacji" tylko o własne zyski. Zamiast organizować pracę, zwiększali tylko jej ilość przypadającą na każdego robotnika, zamiast wprowadzać udoskonalenia techniczne, oszczędzali na sile roboczej. Zjawiska te zaostrzały się u nas przez to, że duża część naszego przemysłu była w ręku obcokrajowych kapitalistów, którzy traktowali Polskę jak teren wyzysku kolonialnego i którym stosunki pracy w Polsce były całkowicie obojętne. W obu przykładach „racjonalizacji", które podajemy (Żyrardów i Zagłębie) mamy do czynienia z kapitałem i z inżynierami cudzoziemskimi, choć podobna „racjonalizacja" stosowana była i przez kapitał rodzimy.

W roku 1923 Żyrardów miał 27 000 mieszkańców, a w fabryce pracowało 6 020 robotników. Było dobrze, miało być jeszcze lepiej, ale dnia 2 listopada 1923 r. Zakłady Żyrardowskie przy udziale ministra skarbu Kucharskiego przeszły pod zarząd konsorcjum [1]) francuskiego, będącego właścicielem firmy francuskiej, opartej na nikłym kapitale 10 milionów fran-

[1]) Spółki.

ków. Zaczęły się dziać rzeczy dziwne i zgoła niezrozumiałe. Obce konsorcjum spłacało należności za odbudowę fabryki w zdewaluowanych markach, co od razu stało się tematem rozważań sejmowych i prasowych.

Rozbudowa fabryki została wstrzymana natychmiast i tak radykalnie, że nowy dom mieszkalny, który zaczęto budować pod zarządem państwowym, pozostał niedobudowany. Najaktualniejszym tematem nowego zarządu stała się reorganizacja i racjonalizacja produkcji. Ale nikt nie rozumiał tego, co się działo pod hasłem reorganizacji. Ignorowano życzenia klientów fabryki, produkowano tkaniny, na które nie było popytu, podnoszono ceny za wyroby. Oczywiście, że zbyt towarów musiał się zmniejszać wobec tego, że i pracy było coraz mniej. Ograniczano tedy produkcję na wszelki sposób, a starych robotników usuwano przy każdej nadarzającej się sposobności. Jednocześnie sprowadzano z Francji towary gotowe, etykietowano je w magazynach fabrycznych i rzucano na rynek jako wyroby żyrardowskie.

Reorganizacja i organizacja były zjawiskiem uniwersalnym i rzecz prosta, że Żyrardów nie mógł stanowić wyjątku pod tym względem. Ale nie wyznaczono zakresu reorganizacji i nie ustalono metod postępowania. Reorganizacja doszła więc w czasie niedługim do jakiejś manii wyszukiwania sposobów przeciwko robotnikom. Cała mądrość administracji streszczała się w pytaniu: w jaki sposób można by wyrzucić stu, dwustu albo trzystu robotników. Wyprzedawano zapasy drzewa, które fabryka trzymała zawsze na remont domów mieszkalnych i dla warsztatów stolarskich i tokarskich. Likwidowano oczywiście takie oddziały, jak stolarski, tokarski, mechaniczny. Z biur usuwano pracowników Polaków, a na ich miejsce przyjmowano kosztowne siły zagraniczne. Z 6 020 robotników, którzy pracowali pod zarządem państwowym, przyjęto po lokaucie tylko część, a do 7 marca 1927 r. zostało 3 020. Przy dalszej reorganizacji liczba ta spadła do 1 200 — 1 500 robotników. Bez

pracy pozostało 4 500. Zaczęły się zabiegi u władz warszawskich, starania, wyzyskiwanie stosunków, aby dopomóc biednej ludności żyrardowskiej, wzmogło się zainteresowanie Żyrardowem w prasie, ale w ostatecznym wyniku wszystkie te zabiegi dały kilka obietnic, które się nie ziściły. Powszechny kryzys uniemożliwił bezrobotnym odpływ z Żyrardowa. Jedynym ratunkiem przed śmiercią był fundusz bezrobotnych, ale i ten musiał się ostatecznie wyczerpać wobec wieloletniego bezrobocia tysięcy robotników. W Żyrardowie było coraz smutniej, nie wątpiono jednak, że prędzej czy później sejm, władze państwowe czy jakaś akcja społeczno-gospodarcza rozwiążą te zagadnienia, które stawały się coraz tragiczniejsze. Z tymi nadziejami tłumy robotników wystawały przed magistratem, przed biurem Funduszu Bezrobotnych, przed lokalami akcji społecznej, ogromnie zresztą nikłej w stosunku do rozmiarów klęski.

Komitety zbierają dla dziatwy bezrobotnych odzież na zimę, komisarz policji rozsyła okólniki z prośbą o składki na rzecz bezrobotnych, więc kina zbierają przy biletach grosze dla głodnych. Tam a tam dają bezrobotnym kartofle, gdzie indziej mają dla nich trochę węgla, czasem jest chleb czy nawet cukier i słonina. Istny przepych, nad którym chce się gorzko płakać. Na ulicy w cieniu jakiejś sionki stoi czasem kobiecina z chustką zgarniętą na czoło. Stoi okropnie niewprawnie na niepewnych, zawstydzonych nogach. Na miły Bóg, niechże nikt nie pomyśli, że to żebranie. Stoi sobie ot, jakby czekała na kogoś. Jeśli jej ktoś wetknie jakie groszaki w rękę, niech tam będzie, ale nie podziękuje i chustki z głowy nie odgarnie, bo spaliłaby się ze wstydu, że poszła na „dziadajkę".

Tymczasem dyrektor Koehler sprowadza nowe kosztowne maszyny — automaty, przy których obsługa ludzka jest niemal zbędna, a dyrektor Waśkiewicz przesiewa przez sito swoich kombinacji imiona tych, którzy mają być niebawem zredukowani. Z ust do ust idzie smutna wieść, że lista nowych redukcji jest już gotowa, że 480 robotników pójdzie na bruk. Ale na to nie ma rady, to jest racjonalizacja i reorganizacja

pracy. Reorganizacja w imię czego? Dla kogo? Czy to naprawdę nikogo nie obchodzi, że tysiące ludzi muszą głodować ulegając straszliwej degradacji społecznej w rozpaczy i nędzy? Czy jedyną odpowiedzią na te pytania jest i będzie zawsze to jedno nic nie mówiące słowo — kryzys? Co to jest kryzys? Kto jest sprawcą kryzysu? Kiedy skończy się ten wielopostaciowy kryzys?

### Terminatorzy w fabryce żyrardowskiej

Paweł Hulka Laskowski: *Mój Żyrardów*

Obraz wyzysku pracy dzieci przez tzw. „terminatorstwo", przedstawiony poniżej, nie należał w Polsce przedwrześniowej do wyjątków. Inspektorzy pracy stwierdzili niejednokrotnie, że był to system nagminnie stosowany i należący do kompleksu tzw. racjonalizacji, tj. oszczędzania na sile roboczej, ale nie mogli nic na to poradzić — decydowali kapitaliści.

Pewnego dnia pojawił się w Żyrardowie pan w rogowych okularach i „zajął stanowisko". Miał poprzedników, ale poprzednicy ci jeden po drugim opuszczali Żyrardów nie chcąc być narzędziem polityki fabrycznej, jawnie przeciwspołecznej. Pan Waśkiewicz zaprezentował się od razu wszystkim i każdemu. Przede wszystkim przez odmłodzenie Zakładów Żyrardowskich.

Waśkiewicz odmładzał fabrykę przy pomocy życia ludzkiego w jego najtęższej, bo młodzieńczej postaci. Zaczęto sobie opowiadać, że na miejsce starych i niestarych robotników przyjmuje się dzieci, ale te dzieci muszą terminować. Dosłownie! Co to jest terminowanie, wszyscy wiedzą. Rodzice oddają dziecko do majstra na trzy lata, płacą tyle a tyle i majster wyucza terminatora na czeladnika krawieckiego, szewskiego, garncarskiego...

Taki był dawniej zwyczaj w Polsce z tym terminowaniem. Majstrowie dorabiali się na terminatorach, którzy przechodzili nie naukę rzemiosła, ale jakąś wyrafinowaną katorgę. Terminator musiał pierwszy wstawać i ostatni udawał się na spo-

czynek, był popychadłem u pana majstra i służącą do wszystkiego u pani majstrowej. Zamiatał izbę, pomywał statki, niańczył dzieci, biegał do sklepu, dostawał mało jeść, bywał bity przy każdej nadarzającej się sposobności. Taka była tradycja i wszyscy czeladnicy umieli opowiadać niewiarygodne okropności o czasach swego terminowania. Gdy rodzice chcieli postraszyć nieudanego syna, to grozili, że go oddadzą do terminu.

Wszyscy wiedzą, że fabryka rozbiła rzemiosła na szereg rękoczynów przy maszynach i że w żadnej fabryce robotnik, choćby pracował 30 czy 40 lat, nie wyuczy się rzemiosła. A więc fikcja i podstęp, czyli chytry wyzysk.

Nauka rzemiosła u pana Waśkiewicza miała być zrazu bezpłatna, czyli że ani on nie płacił terminatorowi, ani rodzice terminatora jemu. Ale w warunkach straszliwej nędzy, jaką razem z zagranicznym dyrektorem Koehlerem wytworzył, sama nadzieja otrzymania pracy była już sowitą zapłatą, więc dzieci rodziców wygnanych z fabryki garnęły się tłumnie do terminu, by pracować darmo tam, gdzie ich rodzice pracowali. Terminowanie miało trwać aż trzy lata, podczas gdy naprawdę wystarczają 4 tygodnie, aby się wyuczyć sekretów pilnowania maszyny. Dawniej terminator fabryczny otrzymywał od razu wynagrodzenie jako dniówkę, a po 4 czy 6 tygodniach nauki — własne krosna czy własny przydział przy maszynie. A tu 3 lata! Majster dawnego typu zobowiązał się, że terminatora naprawdę czegoś nauczy, ale pan Waśkiewicz nie myślał brać na siebie takiego obowiązku i pozostawiał sobie wolną rękę. Jego kontrakt głosił:

„§ 9. Fabryka w razie niedotrzymania warunków lub redukcji czy ułożenia w danym dziale tak, że uczeń nie będzie mógł być nadal trzymany w nauce, wymówi mu naukę na 2 tygodnie naprzód".

„§ 10. W razie nieposłuszeństwa lub zaniedbania się ucznia w uczęszczaniu do szkoły dokształcającej fabryka może ucznia zwolnić przed ukończeniem czasu nauki w każdym czasie".

„§ 11. W razie sprzeniewierzenia lub innej szkody rozmyślnie lub nierozmyślnie wyrządzonej fabryce przez ucznia rodzice zobowiązują się fabryce wynagrodzić wszelkie poniesione straty".

Inne paragrafy przepisywały punktualność, pracowitość, sumienność i Bóg wie co tam jeszcze, a § 4 mówił, że „w razie uznania przez fabrykę, że uczeń nie nadaje się do obranego zawodu, może być w ciągu pierwszych 4 tygodni w każdej chwili zwolniony".

Taki kontrakt wiązał ucznia i jego rodziców, ale do niczego nie zobowiązywał pana Waśkiewicza. Terminator pracował oczywiście jak stary robotnik, niekiedy jeszcze wydatniej, bo wiadomo, że siły młodociane uskrzydla wrażenie nowości i pociąga zaciekawienie wzbudzając gorliwość, jakiej w starych robotnikach być nie może. I takich właśnie „terminatorów" można było wyzyskiwać jako robotników darmowych, aby ich następnie wyrzucić i zastąpić nowymi darmowymi terminatorami. Gdy opinia zaczęła sarkać na to bezpłatne terminowanie, pan Waśkiewicz raczył płacić po 80 groszy dziennie, ale rzecz osobliwa, że terminator od razu otrzymywał książeczkę robotniczą, a kierownik oddziału, nie troszcząc się o to, że ma do czynienia z terminatorem, wyznaczał mu wynagrodzenie od sztuki. W rezultacie takich dziwnych manewrów młodociany po parotygodniowej darmowej robocie otrzymywał wreszcie pierwsze wypłaty wynoszące jakie trzy złote z groszami na tydzień. Ale co najważniejsze, że na kontrakty przyjmowano nie chłopców, ale dziewczyny. Chłopców do fabryki nie przyjmowano. Popracowały takie młode robotnice, pozarabiały po 3, 4 złote na tydzień i zgodnie z umową zwalniano je w chwili, gdy trzeba im było przyznać większy zarobek, a na ich miejsce przyjmowano terminatorki nowe.

Obrót młodymi siłami robotniczymi był żywy, praktyczny, cyniczny.

## Wysługa lat

Juliusz Kaden - Bandrowski: *Lenora*, z cyklu *Czarne Skrzydła*

Juliusz Kaden-Bandrowski — (1885—1944), znany powieściopisarz w okresie międzywojennym w cyklu powieści *Czarne skrzydła* charakteryzuje życie robotników w Zagłębiu Dąbrowskim.

Kotłowało się na kotłowni w te dnie! I wcale nie dlatego, że kotłownia, czyli dziesięć ogromnych pieców, jeden przy drugim pod rząd — rozpiekłe brzuchy, szumiące ciągłym żarem! Nie dlatego, że stare, od lat dwudziestu pięciu tutaj wmurowane, a jeszcze przed tym pracowały na hucie „Katarzyna".

Takie piece.

Nie dlatego, że opędza się je drobniutkim miałem, a wypada po jednym palaczu na dwa ruszty, więc całe osiem godzin — gdzieżby osiem?! Praca liczy się lekka, pomocnicza — więc całe dziesięć godzin co parę sekund otwierasz drzwiczki i w jedną, to znów drugą czeluść przyrzucasz pełne łopaty miału.

Przed tobą piece, zaraz za tobą tylna ściana kotłowni, wąsko tu jest i ciasno, i parno, i zimno od dziur w tylnej ścianie wyciętych, którymi spada węgiel prosto z placu. A w piersi znów gorąco przeraźliwie.

Ów przyrzut łopat, wstrzymany krótko nad krawędzią palenisk, rozchodził się po starym ciele Szymczyka, zarówno też po całym umyśle wesoło i rozumnie.

Ręce wylecą naprzód, wyśmignie z nich stylisko, łopata zgrzytnie u brzega płomieni, czarny miał skropi zwichrzoną grzywę — i komuż trzeba więcej?

Komu — czego?!

Byle nie spuszczać oka z podziałki manometru! Ma stać na liczbie pięć. Jeżeli zsunęła się na trzy, to znaczy źle, winda „z parą zjechała", może być przerwa w obsłudze szybu i nieszczęście — więc sztraf![1])

Manometr jedno przykazanie palacza, a drugie wodowskaz, który wskazuje ilość wody w kotłach. Nic wielkiego taka ro-

---

1) Kara

bota dla ludzi mocnych, zdrowych i widzących. Ale i wysuszone skwarki, z których ostatnią parę ogień już wyciąga, uradzą przy tej pracy. Wewnętrzna woda nadwątlonego organizmu pod skórą występuje, zalewa oczy, końce palców rozdyma, ale przez tyle lat tyle się już nauczył człowiek, że robi — sprawiedliwie mówiąc — po omacku.

Szymczyka odwalili od tych pieców i od palaczowania nie przez palce, u końców jak agresty rozdęte. Przez nowy wymysł ekonomii palarskiej odwalili, francuski pomysł jaśnie wielmożnego pana dyrektora Coeura [1]).

Dlatego właśnie kotłowało się teraz ciągle na kotłowni! Nie przez strajki ani te wszystkie słuchy o rewolucji. Ani nawet, że staroświeckie urządzenie tego miejsca zagraża wszelkim przepisom o pracy.

Wszystko to nie jest nic — wobec nowego wymysłu palarskiej ekonomii.

Coeur przeprowadził swoje: wzdłuż pieców długie sztangi, ciężkimi kulami żelaznymi opatrzone. Podsypujesz, to sztangą ową zamykaj piec, żeby się kocioł nie oziębiał, bo pognie się, popęka, później ciecze. Czyli sztangę pchaj w górę, żeby klapa wentyla opadła. A gdy chcesz przybrać cugu — spychaj znów sztangę na dół, żeby otwarła klapę.

Mechanizmy z żelaza są ciężkie i ogromnie twarde, z czego powstało dla palaczy na „Erazmie“ prawdziwe piekło. Wygartać miał spod ściany i raz po raz przerzucać, boć to płonie — hyc myk! Raz po raz wieszać się na sztandze i raz po raz do góry podpychać.

Jak ich tu było pięciu wytrawnych palaczy, co nawet przeszli kurs piecowy u erazmowskiego mechanika — wszyscy pięciu szaleli do ostatniego zmysłu.

A dopiero, gdy zjawił się nadspodziewanie sam pan dyrektor Coeur w skórzanym palcie!

Kopalnianymi siwoszami zajechał. We wrotach półotwartych siwosze łbami pomachują, a tu palacze w myczeniu pie-

[1]) Czytaj: Kera.

ców, świstach pary i buzowaniu ognia i w świetle tego miejsca wąskiego, piekielnego, niby pięć małp spoconych, rzucają się do łopat i na sztangi! Podnoszą, opuszczają — mało w te brzuchy ogniste do środka nie powłażą.

Wtedy to zachwiały się po raz pierwszy losy palacza Szymczyka dość gruntownie.

Wsparłszy się obiema rękami na żelastwie, aby sztangę w dół zsunąć — nie dał rady. Zupełnie nie dał rady! I z braku sił, i z ogromnego przejęcia taką dyrektorską obecnością.

Wtedy to Coeur, wyżarte francuzisko, przyskoczył w swych połyskujących skórach, obiema dłońmi wsparł się silnie na rękach Szymczyka, ze słowami:

— Musi być mocniej, mocniej!

Wtedy to pod naporem dyrektora pękły ręce Szymczyka. Bryznęła z nich nabrana woda, z wszystkich palców i z wielkich agrestów dłoni.

— Nie możesz tu pracować — huknął Coeur przez szum pary i wycie rusztów do zmienionego na twarzy Szymczyka. — Nie możesz tu pracować.

Nie może?... Na takie sprawy i wypadki mają jeszcze palacze swoje organizacyjne miłosierdzie. Podzielą się piecami najsłabszego, który w cichej umowie uprząta popiół i wywozi z kotłowni.

Stało się tak z Szymczykiem. Uznał się za pomocnika, żelazną taczką wywoził i wywoził, i skromnie milczał w przerażonej radości.

Przerażona była — ma się rozumieć: — że przy piecach po tylu latach nie ostał się na starość. A znów radość: — że dalej chodzi przy kotłowni.

Aż niespodzianie — spadło wymówienie pracy.

Och — teraz prawdziwie — każdy oddech pary i każdy zgrzyt łopaty, i każdy świst, i lampki elektryczne w równym rzędzie płonące, i każda dziura, i szczerby wydeptanej deski, którą przejeżdża taczka wzdłuż całej kotłowni, i kupy miału, i wszelki kurz po kątach — to wszystko trzęsie się w człowieku wszystkimi łzami.

I dopomina się, i prosi, i wymawia ogromnie!

Kotłowało się w te dnie na kotłowni, koledzy po dawnemu zwieszali się na sztangach, a inaczej znów kotłowało się w myślach Szymczyka. Wszystko na raz, i nic, i znowu całe to miejsce utracone!

Nic nie wiadomo i tylko słychać ogień — że już nic, nic i nic — ogień pomidorowy, siny, fioletowy, na rusztach rozpostarty, skrzeczącym miałem czarnym pokropiony.

Tak nachodziło Szymczyka w dzień przedostatni dziś rano tutaj. — Rozduszone przez Coeura ręce, szmatami owiązane, opuszczał i nie patrzył na taczki dymiące, i nie słuchał dokoła, i nie widział, a tylko szumem wnętrznej żałoby zapytywał:

— No, i któż to jesteś tu, żywy ogniu? I po co masz te iskry?! A znów co znaczy woda biała nad tobą, w owych kotłach kroplami bryzgająca?!

Przez takie myśli leciało wszystko inne jak we śnie: stara, że wciąż płacze przy kuchni, i syn, i inne dzieci tyle wcześniej pomarłe, na zawsze już w człowieku rozesłane — polatywało cieniem przezroczystym, i syn, że go tu nie chcą do mularki. A wynikało z tego nagle w tym syku i szczękaniu pieców, że tak oto jest na świecie i że powszędy już pogodzone są z sobą ogień z wodą.

## Bezrobocie w okresie kryzysu kapitalizmu

*Gospodarka — polityka — taktyka — organizacja socjalizmu.* Praca zbiorowa. Wydawnictwo *Płomieni*, 1934. Pod redakcją Oskara Langego

Spółdzielnia wydawnicza *Płomienie* skupiała grupę młodzieży socjalistycznej wydającej pismo tej samej nazwy, reprezentującej w Polskiej Partii Socjalistycznej odrębną grupę ideową tzw. lewicowych socjalistów, stojących na stanowisku jednolitofrontowym już wtedy, kiedy oficjalne kierownictwo partyjne dalekie było jeszcze od tego.

Lata po wojnie światowej były okresem racjonalizacji produkcji we wszystkich gałęziach gospodarki. Dokonywający

się przewrót techniczny, przewrót w metodach pracy i w organizacji przedsiębiorstw zmienił zasadniczo rolę pracy najemnej w procesie produkcji. W całym szeregu wypadków, zwłaszcza w przemyśle ciężkim i w wielkich zakładach wytwarzających wyroby masowej produkcji (standaryzowane[1]), robotnik schodzi do roli nadzorcy maszyny. Przy kilkakrotnie wzmożonej produkcji dóbr znajduje zatrudnienie znacznie mniejsza liczba robotników.

Zastępowanie robotników maszynami zbiega się z procesem zwiększenia wydajności pracy poszczególnego robotnika wskutek zastosowania naukowych metod organizacji pracy. Odbywa się to w całej gospodarce we wszystkich krajach kapitalistycznych. W rezultacie powstaje olbrzymia masa bezrobotnych, którzy nawet w okresie dobrej koniunktury nie znajdują zatrudnienia. „Rezerwowa armia kapitału", jak Marks nazwał bezrobotnych, nigdy już nie będzie powołana do czynnej służby przy warsztacie. W okresie powojennym liczba bezrobotnych w całym świecie nie spadała poniżej 8 milionów, a w okresie dobrej koniunktury w latach 1927—28 wahała się między 10 a 12 milionami.

Kryzys światowy, który potem nastąpił, spotęgował bezrobocie do rozmiarów dotąd nie znanych w ustroju kapitalistycznym. Liczba bezrobotnych sięgała wówczas fantastycznej cyfry 30 milionów ludzi i ciągle wzrastała.

Ściśle związane z istnieniem kapitalizmu k r y z y s y g o s p o d a r c z e zawsze wyrzucały pewną liczbę robotników na bruk. Życie gospodarcze szybko wracając do równowagi wchłaniało jednak bezrobotnych na powrót i przy normalnym układzie stosunków bezrobocie było zjawiskiem przejściowym.

Po I wojnie światowej kryzysy mają przebieg niezwykle ostry i długotrwały. Bezrobocie nabiera cech bezrobocia trwałego. Równocześnie wzrastają młode pokolenia, dorastają miliony młodych robotników i robotnic. Kapitalizm skazuje tych

---

[1]) Jednakowe, podług jednego typu

ludzi na bezrobocie, zanim jeszcze stanęli u warsztatu. Powstaje nowa warstwa proletariuszy, którzy nigdy w życiu nie byli robotnikami.

W łonie klasy robotniczej wyodrębniać się zaczyna warstwa ludzi stale pozostających bez pracy i znajdujących tylko krótkotrwałe, dorywcze zatrudnienie.

Masa bezrobotnych stanowi poważne niebezpieczeństwo dla robotników zatrudnionych, wywiera bowiem stały nacisk na rynek pracy. Bezrobotni utrudniają prowadzenie akcji strajkowych i pogarszają ogólne warunki pracy i płacy.

Nacisk bezrobotnych jest tym silniejszy, że pozostają oni przeważnie poza obrębem organizacji zawodowych, które zazwyczaj ograniczają działalność do obrony interesów robotników zatrudnionych i nie mogą zapewnić bezrobotnym środków do życia bądź w postaci pracy, bądź zasiłków. Wytwarza się wskutek tego pewnego rodzaju antagonizm gospodarczy między robotnikami zatrudnionymi a bezrobotnymi.

Z drugiej strony, masy bezrobotnych skłonne są widzieć konkurentów w robotnikach jeszcze zatrudnionych i w walce o byt, o jakiekolwiek zajęcie, często w obronie przed śmiercią głodową stają się łamistrajkami i rozbijaczami klasowych organizacji robotniczych. Beznadziejne warunki życiowe popychają ich często do żebraniny i kradzieży, zdają na łaskę burżuazyjnej czy klerykalnej filantropii. Bezrobotni ulegają wskutek tego szybkiemu zdeklasowaniu. Świadomość klasowa, poczucie solidarności proletariackiej, które rodzi się w robotniku na tle zrozumienia przeciwieństwa między pracą a kapitałem i rozwija się pod wpływem walki klasowej, jaką toczy on wespół z innymi robotnikami, ulega w psychice bezrobotnego zniekształceniu. Warunki zmuszają bezrobotnego do indywidualnej walki o byt, wskutek czego budzi się w nim egoizm jednostkowy. Bezpośredni interes życiowy nie łączy go już z masą robotniczą, wręcz przeciwnie, w każdym zatrudnionym widzi szczęśliwego konkurenta, w każdym bezrobotnym

współzawodnika. Psychika bezrobotnego nabiera cech psychiki lumpenproletariatu [1]). Bezrobotni pozbawieni są jasnego poczucia świadomości klasowej, obca im jest dyscyplina, którą wyrabia praca fizyczna i organizacje robotnicze, przepojeni są nieokreśloną nienawiścią do porządku społecznego. Ulegają wskutek tego niesłychanie łatwo wpływom wszelkiej propagandy; znajdują oparcie w obozie faszystowskim. Faszyzm porywa ich bowiem demagogiczną agitacją obiecując wynędzniałym masom „wolność i chleb" (hasło narodowych socjalistów w Niemczech), porywa swą radykalną aktywnością i antykapitalistycznym frazesem. Faszyzm daje ujście nagromadzonej w masach bezrobotnych nienawiści, rzucając demagogiczne hasło: „Bij Żyda"! Faszyzm daje żołd, mundur i broń — czyli ratuje od widma śmierci głodowej i od razu zamienia niedawnego nędzarza w człowieka mającego władzę i siłę.

W miarę zaostrzania się kryzysu i pogłębiania nędzy bezrobotnych coraz szersze ich masy płyną do szeregów faszystowskich, zapełniają kadry bojówek szturmowych, nadają obozowi faszystowskiemu rozpęd i stają się jego fizyczną podporą.

Antykapitalistyczna demagogia i pseudosocjalistyczny [2]) frazes, czasami nawet nazwa („narodowy socjalizm"), ułatwiają przyciąganie bezrobotnych, albowiem socjalizm w mniejszym lub większym stopniu wycisnął swe piętno na psychice każdego robotnika. Decydującym czynnikiem powodzenia ruchu faszystowskiego w masach bezrobotnego, deklasującego się odłamu proletariatu był przede wszystkim radykalizm, bojowość, z jaką faszyzm dążył do władzy obiecując masom natychmiastową poprawę bytu.

---

[1]) Warstwa nędzarzy bez stałego zajęcia, często przestępczych

[2]) Niby socjalistyczny, fałszywie socjalistyczny

## Anka

### Wanda Wasilewska: *Oblicze dnia*

Wanda Wasilewska, współczesna działaczka społeczna i autorka powieści poświęconych krzywdzie robotnika, chłopa i mniejszości narodowych w Polsce. W czasie drugiej wojny światowej znalazła się w ZSRR i stanęła na czele Związku Patriotów Polskich.

Ance w przędzalni wiedzie się coraz gorzej.

— Głupia — mówią dziewczęta.

Pewnie, że głupia, ale zacięła się i już. W sobotę przy wypłacie: wytrącone. Znowu na pięćdziesięciu szpulkach zerwane nici.

Schyla głowę. Wiadomo, nie dowiedzie, szkoda sobie gardło psuć.

I znów — uszkodzenie. Przez trzy godziny stoi bezczynnie, kiedy mechanik coś tam dłubie w trybkach. Kara. W sobotę, kiedy strącą, niewiele zostanie.

— Wylecisz, jak mi Bóg miły, wylecisz, pamiętaj sobie! Majster ci się nie podoba, ale wtedy każdy będzie dobry, choć za kromkę chleba! Źleś ty sobie wybrała ze mną zadzierać! Nie takie tu bywały!

W każdą sobotę Anka z drżeniem czeka, co powiedzą. W domu nic nie mówi, bo ojciec prędki, niewiele mu potrzeba, a jaki potem koniec, wiadomo. Kryminał i już. Lepiej przemilczeć. Ale może się i skąd dowiedzieli, jak to ludzie niepotrzebnie lubią chlapnąć, bo ojciec nic się nie odzywa, ale już dwa razy po nią pod fabrykę przyszedł i czasem tak się przejmująco popatrzy, że aż strach przejmie.

— Anka, do dyżurki, majster woła!

Cierpnie od stóp do głowy. Nie pójdzie, za skarby świata nie pójdzie. Nogi jakby wrosły w podłogę. Ale znów drugi raz:

— Anka, prędzej!

Idzie powoli, cała drętwiejąc. Staje w otwartych drzwiach. Nie ruszy się za skarby świata, nie ruszy się przez próg. Tak, drzwi otwarte, wszystko widać z sali.

Ale majster wstaje od stołu, pociąga dalej i zamyka drzwi. Przekręca klucz.

Niewydany krzyk zamiera w gardle.

— No, namyśliłaś się?

Głos jest złowrogo słodki. Z daleka zalatuje Ankę słaby zapach alkoholu.

— Nie bądź głupia.

Ale Anka właśnie jest głupia. Całą siłą wydziera się z grubych ramion. Wali na oślep w tłusty, świecący pysk. Drapie pazurami po twarzy, po rękach, gdzie popadnie.

Na nic. Wtedy z całego gardła przeraźliwy, rozgłośny krzyk. Aż się sama wzdryga. Majster odskakuje jak oparzony. Na czole krople potu, krew wąziutkimi strumyczkami sączy się z zadrapań na policzkach i czole. Rozerwany w czasie szamotania kołnierzyk. Oczy nabiegłe krwią jak u szalonego byka. Latającymi rękami prędko odmyka drzwi.

— Won! Do maszyny!

Anka staje przy swoich szpulkach. Mdli ją. Nogi się chwieją bezsilnie. Znad sąsiednich maszyn spoglądają ku niej spod oka, nie śmiejąc pytać.

No i w sobotę, wiadomo, czternastka.

To zresztą Anka wiedziała. Ale tych czternaście dni zamienia się w nieustanną udrękę. Poganiają ją jak psa, ani na jedną chwilkę stanąć, ani złapać oddechu. Nogi uginają się pod nią. Kaszel dusi, pot zalewa oczy. I wszystko na próżno. Nie wyrabia ani połowy tego, co przedtem. Maszyna się psuje, splątane nici, źle założone szpulki, rozłazi się wszystko w palcach jak pajęczyna. Teraz majster z czystym sumieniem może mówić kierownikowi przechodząc koło Anki:

— Ta do niczego, więcej psuje, jak robi.

Ale już dostała czternastkę.

W domu zaraz poznali, jak tylko przyszła. Nie trzeba było nawet mówić. Matka jak matka, zaczęła zaraz lamentować, ale ojciec ani słowem się nie odezwał. Koleżanki naużalały się, jak mogły, ale w fabryce ani odezwać się nie odważyły. Czer-

wona, tłusta gęba nieustannie wietrzyła ku tej stronie, każda wiedziała, że majster tak się zawziął, że teraz każda wyleci za samo odezwanie się do Anki. Oczami tylko uśmiechają się, ale pary żadna z gęby nie puści.

Prędko mija czternaście dni. Teraz Anka wychodzi za bramę ostatni raz. Ckliwo jej jakoś — przeklęta to była robota, ale się jakoś przyuczyła, przywykła. Ogląda się za siebie na ponury gmach z czerwonej cegły. Już tam nie wejdzie. Już nie będzie gnać przez dziedziniec w strachu, że się spóźniła, gonić między rzędami szpulek, łykać białego kurzu, nadstawiać kieszeni pod ręce rewidującej dozorczyni. Skończyło się.

Ale co będzie teraz?

Pusta droga otwiera się przed Anką. Bezrobotny szlak w czarnym, przeklętym od Boga mieście. Otchłań bez dna i bez kresu.

## W drewniaku u bezrobotnych

Helena Boguszewska: *Ci ludzie*

Helena Boguszewska, współczesna powieściopisarka w książce *Ci ludzie* w szeregu obrazów charakteryzuje bezrobotnych, ich życie, ich duszę. Nie mogąc znaleźć upragnionej pracy, zdani są na łaskę i dobroczynność, którą gardzą i której słusznie nienawidzą.

Zdawałoby się, że kiedy nie ma pracy, to można by się przynajmniej wyspać, wyspać za wszystkie czasy, za wszystkie tamte niedostateczne wypocznienia spracowanych, bolących gnatów, kiedy to w ciepłą ciemność snu naddartą gwizdkiem fabrycznym wtargiwało ostre zimno rannego wstania o świcie. — Ostre, wstrętne zimno — myślało się wtedy, a teraz myśli się, że wszystko było dobre, nawet zimno było dobre, kiedy jeszcze była praca. No, a teraz to jedno można by zrobić, odespać tamto wszystko. Zdawałoby się. Tak myślał bezrobotny Jabłoński i Edek, i Władzia, i nawet Albin najmłodszy, choć on „wszystko jedno“ musiał wstawać do szkoły.

Ale Jabłońska tak nie myślała. Już od najwcześniejszego rana tłukła się po „mieszkaniu“ w spódnicy i swoim wiecznym „sweterku“, szurgała statkami po zimnym piecu ze swoją kościstą, brudnożółtą twarzą, o mocno wyciągniętych w tył rzadkich, mysich włosach, spiętych na wierzchu czaszki jedną drucianą szpilką, ponura jak samo wiecznie czuwające sumienie bezrobocia. I jeśli nie udało się jej tamtych pościągać z pościeli namową i gniewem, to z jakichś „poszczypanych“ nożem na progu drzazg, z jakiegoś spadłego z wozu „wągielka“ rozniecała pod blachą ogieniek, jak to ona potrafiła, i ściągała wszystkich niechętnych i zaspanych nadzieją gorącej kawy z cykorii czy herbaty ze starych liści wysuszonych na gazecie, herbaty, której nie będzie potem na czym odgrzać, i rozdziałem kruszącego się jak trociny chleba z resztą już nie wiadomo jak zdobytego smalcu na dnie „garnczka“.

Zjedli, co dała, skrzywieni, oporni, i najchętniej znowu zwaliliby się spać — ale czy to matka dała komu spokój? Czy nie gnała wszystkich — jak warczał Eduś, naglony, wypychany przez nią, żeby jak najwcześniej stanął w ogonku „za węglem“: — Bo jak za późno staniesz, to znowu nic nie wystoisz, jak w zeszły czwartek, ty ofiaro! I na czym znowu wam nagotuję, na czym? — krzyczała już prawie z rozpaczą, której nikt do serca nie brał.

— Najgorzej... żeby tylko było co, to będzie i na czym— dogadywała Władka siedząc przed lusterkiem. Więc i do niej dobrała się matka zajadle, żeby zamiast wyciągać godzinami „fioki“ spod beretu, „bo to i tak nic nie pomoże“, leciała na Wronią do sekcji, bo dziś mają wydawać „paczki“. — Dużo to w tej paczce jest — chichotała Władka — wielkie skarby! Butów więcej szkoda na stanie w ogonkach niż te same paczki — buntowała się, ale już stała gotowa z „fiokami“, w kusym beżowym płaszczyku. I jeszcze gadała, aż matka ze złością zatrzaskiwała za nią drzwi. Ale za chwilę otwierała je znowu i krzyczała:

— A wracając wstąp do pracowni, może tam już co się odmieniło...

Razem z zimnym powietrzem od wejściowych drzwi przez szary mrok spiczastych jak drabina schodów dolatywały gniewne okrzyki, że „akurat", że „jutro", że „tysiąc razy chodzić", że „najgorzej, jak się co odmieniło"...

Teraz zabiera się Jabłońska do męża, do wielkiego, ciężkiego chłopa, który od czasu, jak nie robił, to się całkiem zmienił, zupełnie nie ten człowiek... Siedzi bezczynnie wypiwszy ten swój śmieszny łyk popielatawej kawy, podpierając głowę wielką ręką o rozczapierzonych palcach, głodnych roboty. Ani się ogolił, ani umył, ani nic. Więc z kolei kładła mu teraz w uszy, że tak nie można, że trzeba coś koniecznie robić, lecieć na przystanek kolejki, gdzie majster z fabryki co dzień wsiada, że trzeba się majstrowi częściej pokazywać, nie za często, broń Boże — nie narzucać się, nie naprzykrzać, bo znowu mogłoby źle wypaść, tylko po prostu przypomnieć, żeby w razie, gdyby się zaczęła robota, miał go w pamięci.

— Nie nasuwać się zanadto na oczy, nie naprzykrzać, tylko tak w samą miarę — gadała po tysiąc razy, niestrudzenie pouczała milczącego siłacza, co zgarbiony, apatyczny patrzał przez okno na podmiejskie pole albo z butami, jak stał, walił się na łóżko, więcej niż najcięższą robotą znużony bezczynnością. Aż się opędzał zniecierpliwiony, że ma głupca z siebie robić: to się pokazywać, nasuwać się, to się nie nasuwać... Po co, kiedy roboty nie ma i już? — I nagle ogarniał go gniew, że ma jak o łaskę żebrać o to, co mu się słusznie należy — on, Jabłoński, wykwalifikowany formiarz...

— Antoś — z zapobiegliwej irytacji wpadła teraz w łagodną perswazję. — A Serzysko Stanisław nie dostał? Dostał! Znakiem tego i ty możesz dostać, tylko trzeba się ciągle starać — znowu prawie krzyczała rozdrażniając się coraz bardziej...

O tego Serzysko Stanisława zawsze się wszystko rozbijało. Prawda była: wystawał na przystanku i dostał. Jabłoński nie wiedział, co odpowiedzieć, więc brał czapkę i szedł wystawać na przystanku kolejki, którą jeździł majster, wystawać na

przystanku tramwajowym, którym jeździ inżynier, wystawać na moście, gdzie się zbiera coraz więcej bezrobotnych, wystawać tu, wystawać tam, starać się, starać, starać...

Czasem wpadnie mu co na godzinę, na dzień, na dwa... Czasem z tego starania pójdą gdzie wypić, jeżeli jest jakiś grosz. Więc jednak ryzyko. Jabłońska wie o tym dobrze. A jednak wypycha go z domu, bo zawsze może się coś zdarzyć, a w domu nic nie wysiedzi, to pewna. Zresztą — czyż nie przetrząsnęła mu kieszeni dziś, kiedy spał? Czyż nie wyjęła mu tej resztki z „zasiłku", odłożonej do bocznej kieszonki w „kamizelce"? Czyż nie wetknęła z tego paru groszy na dług w sklepie i coś szewcowi za Edkowe zelówki? Czyż nie z tego kupi ćwierć kilo golonki wracając z posługi na Grochowskiej? I czyż nie za to będzie awantura albo i bicie wieczorem?

Ale do wieczora jeszcze daleko, a teraz jest Albin. Wetknąć mu przed szkołą kawałek chleba z potajemnie przechowaną dokładką — bo najmłodszy, bo takie dziecko więcej potrzebuje, bo nie pyskuje jeszcze jak tamci, bo uszanuje matkę i nawet pocałuje w rękę, kiedy tamci nie widzą. Albina gładzi się jeszcze po głowie i mówi mu się „synciu" — przecież jak się uśmiecha, wygląda jeszcze całkiem jak dziecko, choć łapy mu już rosną ogromne jak u dorosłego robociarza. Żebyż tylko nie wyleciał, jak ona wyjdzie, do tych gołębiarzy, bo już i on zaczyna... Mało tego, że Edek po całych dniach...

Odrobiła posługi na Targowej i Wiatracznej i wracała przez Grochowską. W myśli obmyślała, obdzielała wszystkich: kartofle, po odrobinie golonki. Albinowi kawałek na rano. Pęcak... I tu aż ją zemdliło z niepokoju, że Władka nie doczekała się kolejki na paczkę i poszła sobie... cholera! A Edek, czy wystał w ogonku za węglem, bo w domu nie ma ani kawałka i trzeba będzie znowu na szosę latać, z wierzb to żywe próchno wyciągać... Ale czy to ich obchodzi? — rozzłościła się — przecież to dla nich stara się cały dzień o wszystko, nie dla siebie. Ach, gdyby tak o nią tylko chodziło, wo-

lałaby dawno zdechnąć, tak strasznie, wyżej uszu miała tego wszystkiego — ale to dla nich — i właśnie z nimi użera się cały dzień.

W tej chwili zauważyła, że dzień naprawdę jest już długi. Wypogodziło się, jakby pocieplało. Z grochowskich pól ciągnęło wilgocią i jakby już wiosną.

— Nic dziwnego — myślała — przecież to już dobrze idzie na wiosnę. Ale przy takim życiu, to czy człowiek nawet to zauważy. A oni zawsze tylko na mnie i na mnie...

Szła teraz wolniej, ledwie ciągnęła za sobą bolące nogi. Była już taka strasznie zmęczona. Oddychała głęboko. Podniosła głowę i patrzała w jasne jeszcze niebo nad podmiejskim polem. Były już słabe, niewyraźne gwiazdy. Zdawało się Jabłońskiej, że dawno już nie widziała gwiazd ani w ogóle niczego, więc przystanęła i patrzała z błogością.

Nagle przypomniał jej się węgiel, i paczka, i gospodarz, i zaświadczenie, i co wyszło ze spotkania z majstrem... I już Jabłońska pędzi, bo oni tam wszyscy głodni, a ona tu stoi z chlebem i golonką, i z przeschniętymi liśćmi herbaty, które jeszcze doskonale naciągną.

## Lokaut

Edward Szymański: *20 milionów*

Edward Szymański — syn robotnika warszawskiego, poeta ostatniej doby, który opiewał przed wojną nędzę proletariatu na tle rozpaczliwych warunków kryzysu i bezrobocia. Pisał też o grożącej wojnie, której stał się ofiarą, zamordowany przez Niemców.

W gabinecie pana prezesa
siadła Rada Nadzorcza spółki.
Ktoś słuchawkę szarpał i wieszał,
Ktoś zdejmował foliały z półki.

Chodzili, radzili głośno
grubi, łysawi panowie.
Jarzyło się światło w oknach
przez ciężkie firanki powiek.

Po miękkich, puszystych dywanach
stąpali poważnie, powoli,
oglądali wykresy na ścianach,
rozkładali ceduły na stole.

Obliczyli w dolarach i centach
koniunkturę, kapitał i czas,
Dywidendę w promillach, procentach
zsumowali raz i jeszcze raz.

Szeleściły im akcje w dłoniach,
dym cygar nad głowami się wieszał —
służba roznosiła koniak
w gabinecie pana prezesa.

* *
*

Szarym świtem w zamarłej fabryce
była cisza zimna, szeroka,
przed bramą stał pluton policji,
nad bramą wisiał napis: *Lokaut.*

Były słowa o kryzysie, o płacach,
słowa mądre, wyraźne jak druk.
Pan przodownik przeczytał, rzekł: Racja!
Policjanci stali z bronią u nóg.

* *
*

Przydreptali — szeptali półgłosem
robociarze zwyczajni, bladzi,
że tej nędzy jeszcze, widać, nie dosyć,
że widocznie nie ma już rady.

Pan przodownik kazał rozejść się. Poszli.
Głód im patrzył z oczu wyblakłych.
Nie wiedzieli, że dla Rady Nadzorczej
w tym sezonie grubszych premii zabrakło.

Że pan prezes miał słuszną pretensję
w kalkulacji wziąć nie mniej, a więcej,
że musiałby dyrektorom z pensji
zdjąć po głupie kilkanaście tysięcy.

* * *

A za miesiąc, gdy już brać roboczą
głód mocno zdławił w postronkach,
wieść gruchnęła, że w fabryce rozpoczną
znów przyjmować — na nowych warunkach.

## Chleb

Wanda Wasilewska: *Oblicze dnia*

W wielkich koszach wnosi się na scenę chleb. Układa się na rozłożonych papierach stosy podłużnych, brunatnozłotych bochenków. Są równe, pachnące, gładkie. Zwyczajnie chleb.

Ale jest jedenasty dzień strajku. Z zapchanej po brzegi sali patrzy tysiąc twarzy. Na ten złotobrunatny, gładki, pachnący chleb. Twarze są chude, policzki zapadłe, w ciemnych oczodołach płoną gorączkowym blaskiem źrenice. Młodzi chłopcy, mężczyźni, wreszcie starcy niemal — któż zresztą może wiedzieć? Może ten zgarbiony, wyschły człowiek jest jeszcze młody, ale ciężar tysięcy cegieł, które dźwigał na plecach na trzecie i czwarte piętro dzień w dzień przez cały sezon, póki jeszcze była praca, tak go przygiął do ziemi?

Złotobrunatny, pachnący jest chleb — blade, sczerniałe i wyschłe są twarze. Chleb jest dla wszystkich. Może się zgłosić każdy, kto potrzebuje. Każdy, kto go już nie ma w domu.

Przez jeden moment chwila wahania. Tysiąc par oczu patrzy w stos leżącego na scenie chleba.

Ale nie wyciąga się żadna ręka. Chleb za związkowe, zbierane długo i z trudem pieniądze. Chleb dla tych, którzy już naprawdę nie mają co do ust włożyć.

— Najpierw kobietom — pada gdzieś z tyłu sali męski głos. — I tym, co mają po pięcioro, sześcioro dzieci.

Powoli zaczynają podnosić się ręce to tu, to tam. Coraz więcej. Jest przecież jedenasty dzień strajku.

Wielkim łukiem wyrzucony bochenek spada w nadstawione ręce. Związkowiec prowadzący strajk staje na krześle, chwyta i rzuca dalej. Prędko, jeden za drugim padają jak złote pociski w ciemny, wynędzniały tłum.

— Tu! tu! jeszcze dla tego — ma pięcioro dzieci. Dajcież tu! Czworo dzieci, baba mu chora.

Zniszczony, czarniawy człowiek ociągając się bierze w ręce podłużny bochenek. — Trzymajcie, trzymajcie, jeszcze jeden.

— Jakże to? Dwa? Nie, nie dawajcie, jeden starczy.

— Dla sześciorga dzieci? Bierzcie, nie gadajcie.

Wynędzniały człowiek chwieje głową. Powoli, ciężko odchodzi. — Jakże to, dwa — szepce sam do siebie.

— Nie bądź głupia, co się wstydzisz? Macie co jeść? Przecie to żaden wstyd.

Szczupła dziewczyna bierze chleb w nadstawioną chustkę. Oczy jej się śmieją do jego brunatnej gładkości. Schodzi ostrożnie po chwiejących się schodkach przyciskając chleb do piersi jak skarb.

W rogu sceny stoi milcząco zgarbiony, chudy jak szkielet murarz.

— Chcecie chleba?

Blade wargi poruszają się bezgłośnie. Wreszcie mówi cicho, z widocznym wysiłkiem:

— My już trzeci dzień bez chleba.

— Dzieci macie?

— Sześcioro.

— Tu, tu, ciśnijcież tu jeszcze parę.

Sala zaczyna się zwolna opróżniać. Wychodzą trzymając w rękach bochenki. Niektórzy chowają za pazuchę.

— Nie tak, nie tak, na wierzchu trzymajcie, jak wychodzicie! — woła ktoś z tłumu. Niech dranie widzą, że mamy jeszcze co żreć, że nas tak raz, dwa głodem nie wezmą.

— O wa, głodem! Lato jest, marchew po polach rośnie.

— Sałata.

— Piskorze we Wiśle, co, bracie?

Śmieją się. Sala już prawie pusta.

**Zagłębie Dąbrowskie**

Władysław Broniewski: *Troska i pieśń*

Szybie milczący i ciemny,
ożyjesz i będziesz gadał.
Po gniew — jak węgiel — kamienny,
windo złej pieśni,
na dół.

Po gniew, moja pieśni, najgłębiej
w serce ziemi się wwierć.
Węgiel dobywa Zagłębie,
Zagłębie dobywa śmierć.

W dół i w górę otchłanie mroku,
czarna troska, czarna robota,
a na ziemi — szeroko, szeroko —
widma domostw i gruda błota.

Zagłębie dobywa węgiel,
tu nie ma innego prawa.
Nocą nad widnokręgiem
łuna błotnistokrwawa.

W tej łunie — skrzypią wyciągi,
kraczą krany żelazne,
wywożą, wywożą pociągi
głaz rozbity na miazgę.

Trzeba wapnem skropić wagony.
Wapnem — czy ludzką krwią?
Parowozów dech przyśpieszony
z remiz tabunem rwą.

Zagłębie goni za zyskiem,
Zagłębie goni za chlebem,
Smugi czerwonych iskier
wieją pod czarnym niebem.

Zagłębie dobywa węgiel,
śle go na zachód i wschód
i zamienia czarną potęgę
na mór, na nędzę, na głód.

Powiedz, ziemio surowa,
Komu ty jesteś ojczyzną?
Groźnie milczy Dąbrowa
w noc głodu, kryzysu, faszyzmu.

Milczy błotnista ulica,
Wiedzą górnicy, kto wróg.
Na rogu stoi policjant,
nad policjantem — Bóg!

Kryzys w ciężkim przemyśle,
płace górników głodowe,
ich twarze — nieprawomyślne,
ich domy — antypaństwowe.

Węgiel dobywa Zagłębie,
Zagłębie dobywa śmierć.



Nakład 10

Po gniew, moja pieśni, najgłębiej
w serce ziemi się wwierć.

By te słowa zabrał niejeden
jak lonty dynamitowe
na Hutę Bankową, na Reden...
Zapalać! Gotowe? — Gotowe.

## Strajk

### Jan Brzoza: *Budowali gmach*

Jan Brzoza — (ur. 1900 r.), jako bezdomny sierota zarabiał sprzedażą gazet we Lwowie. Był potem robotnikiem, cieślą. W czasie kryzysu zaznał gorzkiej doli bezrobotnego. Wziął wtedy udział w konkursie Instytutu Gospodarstwa Społecznego na pamiętnik. Otrzymał nagrodę, zwrócił na siebie uwagę i zaczął pisać powieści.

### I. Przy pracy

Cieśla Józef Korba pracował pierwszy tydzień na budowie. Mocny był chłop i podmajstrzy przeznaczył go do budowania windy. Wspinał się wysoko po słupach i sztukował je coraz wyżej. Słupy trzymetrowe podawali windą, deski na opaski i krzyże także. Siekierę, klamry i gwoździe brał ze sobą i wspinał się niby akrobata ponad wałek do nawijania liny. Wałek znowu pójdzie o trzy metry wyżej, a w jego miejsce przyjdzie pomost na mury. Za cieślą wspina się pomocnik Ferdek, którego „cudzoziemcem" nazywają, jako że po świecie dalekim wędrował i nawet marynarzem był. Słupy są podwójne, wzdłuż z sobą łączone klamrami, na przemian krótsze i dłuższe. Po dłuższym słupie wspina się Ferdek i trzymając się nogami chwyta świeży słup podany przez cieślę. Potem spuszcza go powoli, ostrożnie w dół tak, żeby końcem dolnym spoczął na krótszym. Potem już obejmuje oba słupy rękami i nogami, trzymając je tak długo, aż cieśla chwyci je klamrami. Potem przybijają deski na krzyż i na poziome opaski. Winda cała

drży pod spodem od ciągłego ruchu i na górze chwieje się na wszystkie strony. Zanim słup przymocują, zanim usztywnią deskami, ci dwaj ludzie trzymają się powietrza prawie. Ręce ich trzymają słup i spuszczają na słup dolny. Tylko trafić muszą weń akurat, bo inaczej pociągnie ich ze sobą w przepaść. Siłę muszą mieć w rękach i zimną krew. Trzymają obaj, aż paznokcie zaginają się na drzewie. Tylko oczy wyłażą na wierzch z wielkiego wysiłku. Już, już myślą obaj, że nie wytrzymają, kiedy słup stanął, znalazł oparcie. Chwytają oddech jak ryby. Potem to już rąk nie można oderwać od tego słupa. Kurcz. Potem drugi, trzeci i czwarty. Odsapnąć by trochę. Najlepiej wtedy zapalić papierosa.

Popatrzyli ukradkiem na wszystkie strony, czy na dole nie widać podmajstrzego. I w ogóle, czy nikt nie patrzy na nich, bo to szpiegów na budowie nie brak i nie wiesz sam który.

Skręcili papierosy i zapalili. Dymek puszczali nieznacznie, wciąż patrząc na wszystkie strony. No, na takiej wysokości nikt chyba nie zobaczy. Trzymali jeszcze słupy tak, żeby z daleka wyglądało, że pracują koło nich.

Dobrze było tak sobie odpocząć na chwilę przed przybijaniem desek. Też ciężka robota i niebezpieczna. Pociągnąć ostatni dymek, odrzucić niedopałek daleko, chrząknąć i dalej...

I wtedy tam spoza muru wysunęły się okulary pana inżyniera Gruszki. Błysnęły w kierunku ostatnich dymów papierosowych i lecących niedopałków. Pan inżynier schrypiał i machnął ręką.

— Zabrać narzędzia i zabierać się z budowy!

— Panie inży...

— Marsz z budowy, mówię!

— Pójdę do sądu pracy. Co to, nie wolno papierosa zapalić?

— Wynosić się obaj. Ostatni raz mówię.

Więc zbierają narzędzia bardzo powoli, z czapkami naciśniętymi na oczy. Mruczą pod nosem zduszone przekleństwa.

Przez tę jedną chwilę cała budowa stanęła. Wszyscy patrzą z zapartym oddechem. Murarze z cegłami w rękach, z kielniami zawieszonymi w powietrzu. Pomocnicy z kubłami na plecach zatrzymani w pół kroku. Koźlarze oparci na swoich kozłach, z oczyma wbitymi ponuro w ziemię. Cieśle z siekierami wzniesionymi wysoko do przybijania gwoździ. Winda znieruchomiała i ludzie obsługujący ją stężeli, pochyleni nad ładowaniem jej.

Ale okulary inżyniera błysnęły na wszystkie strony. Pan podmajstrzy ryknął. Winda poszła w górę, cegły i kielnie opadły na mury. Pomocnicy pobiegli, koźlarze dźwignęli, siekiery uderzyły z wściekłością.

Praca ruszyła znowu z miejsca. Pełna gorączki i przyśpieszonego tętna. Ludzie poruszali się jak mechaniczne lalki. Tego dnia budowa zdobyła rekord wydajności pracy.

* * *

## II. Strajk

Na drugi dzień było całkiem inaczej. Wszyscy milczeli. Nie siadali nawet, tylko stali chwiejąc się na nogach. Coraz więcej ich przychodziło, aż wreszcie wszyscy, stu ludzi, ustawili się gromadą przed barakiem.

Pan podmajstrzy wyszedł z notatką w ręce i zaczął wywoływać nazwiska. Dziś nikogo nie brakowało z wyjątkiem Józefa Korby i Ferdka „cudzoziemca".

— Wszyscy na swoje miejsca — zawołał i w tej chwili pan Wilhelm zadzwonił w szynę. Ale nikt się nie ruszył. Wszyscy zwarli się jeszcze ciaśniej w gromadę i stali. Pan podmajstrzy nasrożył wąsa, trzasnął się notatką po kolanie i przebiegł wszystkich oczyma.

— Co jest dzisiaj — święto jakie, czy co? Dalej, do roboty!

Nikt nie odpowiedział. Podmajstrzy wyjął zegarek.

— Już pięć minut stoicie. Kto za to będzie płacił? Co to? może strajk?

— Strajk! — wykrzyknęła chórem gromada.

Twarz podmajstrzego zmieniła się. Złagodniała i nabrała przestraszonego wyrazu.

— Strajk — ależ to nie wolno. To pachnie kryminałem. No, nie róbcie głupich żartów. Antek — do roboty.

Pomocnik ciesielski Antek odwrócił się. Na jego twarzy wystąpił niepokój. Zrobił ruch jakby do wystąpienia z gromady. Pod ostrym spojrzeniem pana podmajstrzego zadygotał jak pies tresowany. Już zrobił krok naprzód, wtem chwycił go za rękaw murarz, którego nazywali Głuchym Michałem. Potem kilka jeszcze rąk wyciągnęło się po niego i wtłoczyło z powrotem w tłum. Znikł w jego głębi.

— Więc co chcecie? Zaraz przyjdzie pan inżynier, to mu powiem, o co wam chodzi i jakoś się to rozstrzygnie. Ale tak bez żadnej przyczyny przerywać robotę w środku... Idźcie do roboty, a po fajrancie pogadacie z inżynierem.

Milczenie.

— No, mówcie do jasnej cholery, o co wam idzie? Krzywda wam?

— Krzywda!

— Panie Michał, powiedz pan wreszcie, o co chodzi.

Głuchy Michał wyjął z kieszeni tytoń i ostentacyjnie zaczął kręcić papierosa. Za nim inni. Wszystkie palce spłaszczone, sękate, poranione kręciły w bibułkach tytoń. Potem zapalili. Głuchy Michał puścił kłąb dymu podmajstrzemu prosto w twarz i wyrzekł jedno tylko zdanie:

— Z panem nie gadamy.

— A z kim?

— Z budowniczym. Niech tu przyjdzie sam budowniczy.

Spod czapek błysnęły nienawistnie oczy.

Gruby Maciej tymczasem zaczął coś majstrować koło windy nie zwracając uwagi na nikogo.

— Ty, majster, zostaw windę w spokoju. Niech sobie spocznie. I twój pysk trochę odpocznie.

Gruby Maciej odwrócił się i bardzo łagodnym, cichym głosem rzekł:

— Naprawić trocha ją chciałem...

— Zostaw. Żeby ciebie tu kto nie naprawił na ostatnią godzinę. Nie widzisz, że strajk? Poszed od windy, ale już.

Przyleciał zdyszany pan inżynier Gruszka. Sadził długimi krokami, z gołą głową. Na przodzie były okulary i teczka. Kiedy stanął przed tłumem, wysunął teczkę jeszcze bardziej w przód, jak rycerz tarczę. Potem zdjął okulary i wyczyścił je chusteczką. Robił to nerwowo i nerwowo nasadził je na uszy. Patrzył na wszystkich groźnie.

— Co się tu stało?

Nikt nie odpowiedział. Tylko podmajstrzy rozłożył ręce i prychnął z oburzeniem:

— Strajk robią, panie inżynierze.

— Jaki strajk, co za strajk? Tu nie może być żadnego strajku. Jak im się coś nie podobało, proszę, mogą sobie wyjść za budowę i tam urządzać strajk. Niech idą do roboty, bo jak nie, to przyjmę zaraz na ich miejsce innych. Widzieliście — strajki sobie będą urządzać w solidnej firmie! Proszę mi tu zaraz albo iść do roboty, albo się wynosić...

Przez tłum przeleciał pomruk. Potem ktoś zawołał:

— Tylko wolnego, panie, wolnego! — Ktoś inny krzyknął na cały głos: — Wynoś się sam.

Pan inżynier Gruszka zaperzył się i pobiegł do baraku. Chwycił za słuchawkę. Nakręcał numery nerwowo.

Ludzie zbili się tymczasem jeszcze ciaśniej w zwartą gromadę. Jedni drugich podtrzymywali na duchu i zachęcali do odwagi. Komendę objął Głuchy Michał, który zajął stanowisko najbardziej odpowiedzialne, bo na froncie tłumu. Po jakimś czasie zajechał samochód pana budowniczego Terlickiego. Wysiadł z niego sam szef. Nie oglądając się na nikogo poszedł prosto do baraku. Słychać było stamtąd podniesione głosy i potem wyszedł podmajstrzy z wołaniem, żeby już raz przyszła ta delegacja. Poszedł tedy Głuchy Michał, Antoni Topola i dwaj pomocnicy.

Kiedy weszli do kancelarii, pan budowniczy rozmawiał właśnie przez telefon. Mówił o tym, że potrzebuje ludzi do roboty i żeby zaraz przysłać ich ze stu, tak, może nawet więcej. Potem zawiesił słuchawkę i zwrócił się do przybyłych.

— A to, panowie, delegacja? Na jakiej podstawie? Czy należycie do jakiego związku?

Głuchy Michał sięgnął ręką do kieszeni. — Mamy legitymacje związkowe, zaraz pokażemy.

— Nie trzeba, wierzę i tak. Więc czego, panowie, chcecie ode mnie?

— Ano, chcemy podwyżki i żeby cieślę Korbę i jego pomocnika przyjęto nazad do roboty. A oprócz tego chcemy, żeby można było palić, bo już jesteśmy chwała Bogu pełnoletni...

— Te uwagi niech pan schowa dla siebie — wycedził pan budowniczy z naciskiem. — No i czego jeszcze chcecie?

— Ile żądacie podwyżki?

— Dwadzieścia pięć procent.

Pan budowniczy zagwizdał z podziwu. — Ho, ho! Chcielibyście wyjść na bogaczy. Dwadzieścia pięć procent — no, no, ja sam chciałbym tyle zarabiać.

— Nie, tyle nie dołożę. O tym nie ma mowy i nie będziecie mi tu dyktować, ile ja mam dać. Na razie jeszcze jestem

tu waszym chlebodawcą i jeszcze coś tu znaczę. A jako fachowiec, wiem najlepiej, ile się komu należy za jego robotę.

— Tak, ale pan budowniczy nie jest fachowcem od brzucha, a brzuch chce jeść. To, co pan budowniczy płaci, jest za mało, aby żyć.

— To już ja na to nie poradzę. Rzeczywiście nie jestem fachowcem od brzucha, tylko budowniczym. Że wy nie możecie żyć, to mnie nie obchodzi. To już jest wasza rzecz. Możecie sobie żyć, jak się wam podoba. Możecie jeść albo nie jeść — możecie sobie żyć w dostatkach albo nie. U mnie na budowie macie pracować za tyle, ile wam płacę. A jak się komu nie podoba, może sobie szukać innej roboty tam, gdzie więcej płacą. Ja nikogo nie krępuję. Wolność jest u nas...

— Przepraszam, że przerywam. Jaka wolność, kiedy nawet papierosa nie wolno zapalić? Jaka wol...

— Ależ wolno, wolno. Wszystko wam wolno, tylko nie u mnie na budowie. U mnie ma być tak, jak ja zarządzę i za to płacę.

— Więc jak stoi? Pan budowniczy podwyższy płacę?

— Nie.

— Pan budowniczy przyjmie nazad tamtych dwóch?

— Nie.

— Więc jak będzie?

— Pytam się wpierw was, jak będzie?

— U nas strajk.

— A u mnie zwolnienie was wszystkich z roboty i przyjęcie innych na wasze miejsca.

— Dobrze, powiem to wszystkim. Chodźcie, chłopcy.

Topola opowiedział szczegółowo cały przebieg i treść rozmowy z budowniczym. Kiedy powtórzył moment o brzuchu, wszyscy aż krzyknęli z zadowolenia. Dobrze mu wygarnął. Morowy chłop. Ale swoją drogą wyszczekany chłop ten Michał. Nie da sobie w kaszę dmuchać. Z takim wygramy ten strajk jak nic.

— Tak, ale zapowiedział, że przyjmie innych na nasze miejsca. Gadał coś do tuby, że potrzebuje stu ludzi, i to zaraz.

— Nie bać się nic. Nie puścimy nikogo. Będziemy tu spać.

— Dobra jest, nie puścimy nikogo. A kto by chciał dostać przez łeb łatą, niech przyjdzie zajmować miejsca.

— Chłopcy, obstawić budę ze wszystkich stron i nikogo nie puścić. Jazda.

— Jazda — jazda — jazda...

Rozbiegli się na wszystkie strony.

* * *

## III. Obrona strajku

Wszyscy robotnicy zebrali się gromadą u wejścia na budowę. Wyciągniętymi ramionami wskazywali na tamtą stronę. Od miasta szli bezrobotni. Szli zbitą gromadą. Za nimi w pewnym oddaleniu szła druga gromada.

Głuchy Michał wskazywał palcem poszczególnych ludzi:

— O, idzie kulawy Franc. A tam znowu Felek z krzywym pyskiem. Sami partacze. Toż to będzie miał pociechę z nich budowniczy. Zaszkarpują mur na amen.

— Ale najpierw my im zaszkarpujemy nosy — rzekł Topola.

— Nie ma strachu, nie damy im i tak przystąpić do budowy.

— Chłopcy, rychtujcie się — krzyknął Głuchy Michał. — Nie puścimy ich.

Tamci tymczasem zbliżali się. Na przodzie szedł kulawy Franc. W miarę zbliżania się zwalniali kroku. Wyglądali tak, jakby się wahali. Ale Franc odwrócił się i krzyknął coś głośno. Wtedy ruszyli ostro naprzód. Obie gromady zderzyły się.

— Hola, panowie majstrowie — powoli, powoli. Gdzie wam tak spieszno? Możebyście tak dali trocha na zatrzymanie... Gdzie to tak, gdzie?

Głuchy Michał najeżył lichego wąsa. Na jego bladej twarzy wystąpił ceglasty rumieniec. Oczy wszystkich błysnęły spod czapek. Kulawy Franc zatrząsł się i otworzył usta, w których sterczał jedyny żółty ząb.

— Ustąpcie się, mówię. Puśćcie, pókiśmy dobrzy...
— Gdzie to tak mamy was puścić?...
— Jak to gdzie? do roboty.
— Tu nie ma żadnej roboty. Tu jest strajk.
— To sobie strajkujcie, a my będziemy tymczasem robić...
— Hola — wara.

Zaczęli się nawzajem spychać rękami. Stłamsili się w pogmatwany kłąb dyszący wysiłkiem i wściekłością.

Bójka zaczęła się na dobre. Grad ciosów padał szybko na głowy, piersi i plecy. Potem ręce zaczęły się uzbrajać w kije, drągi, kamienie i cegły.

Druga grupa, która zdążała za pierwszą, wpadła pomiędzy walczących. Rozdzielili ich. Przewodzili tu wydaleni: cieśla Józef Korba i Ferdek „cudzoziemiec".

— Hola, panowie! — krzyczał cieśla. — Nie będziecie się tu chyba bić. Tu jest strajk. Ludzie, co wam się dziś stało? To będziecie słuchać łamistrajków? To taka wasza solidarność? To człowieka będziecie rozbijać za to, że krzywda się tu dzieje na tej budowie?

Napastnicy cofnęli się. Byli skonsternowani. Patrzyli jeden na drugiego i oglądali się na swoich prowodyrów. Nie było ich już. Tam za pagórkiem znikał kulawy Franc. Felek „z krzywym pyskiem" znikł jeszcze prędzej.

— No, widzicie — rzekł wymownie cieśla. — Tych waszych prowodyrów już nie ma, a nieszczęście chcieli zwalić na wasze głowy. Nie udało się, co?

— Chodźcie, chłopcy — rzekł jeden z napastników. — Tu jest strajk, a ten Franc gadał, że robota. Chodźcie, damy mu robotę! — Poprawił czapkę i skinął na gromadę. Poszli, odprowadzeni przez grupę cieśli. Rozmawiali żywo i wymachiwali rękami.

Samochody policyjne jechały przez pole. Syreny wyły przejmująco. Z samochodów wyskakiwali policjanci. Ich kaski stalowe migotały w słońcu matowo. Padła krótka komen-

da i ustawiła ich w szereg. Pytania rzucane przez komisarza były krótkie i ostre. Odpowiadał Głuchy Michał i tłumaczył obszernie powody strajku. Zawezwany został do baraku. Dwa szeregi stały naprzeciw siebie w oczekiwaniu na wyniki badania.

W baraku zasiadł komisarz przy stole nad otwartą notatką. Obok przystanął pan podmajstrzy z wąsami uroczyście wygładzonymi. Głuchy Michał wyjaśniał całą rzecz dokładnie.

— To wszystko przez tego kulawego. To jest znany łamistrajk. Zawsze używają go do takich awantur...

— Kto go używa?

— A niby przedsiębiorcy używają... To może każdy potwierdzić.

— Kto może potwierdzić?...

— Wszyscy ludzie. I tu na budowie wszyscy potwierdzą...

— Czy i wasz budowniczy użył go do tej awantury?...

Głuchy Michał zawahał się. Zrobił ręką gest bezradny i wzruszył ramionami. Komisarz powtórzył pytanie.

— Tego nie wiem... Wiem, że zawsze znajdzie się kilku głupich, którzy dadzą się podjudzić, i potem cała chryja...

— Podjudzić, powiada pan. A was kto podjudził?...

— Nas nikt nie podjudził. Każdy z nas ma swoje dwadzieścia cztery lata. A jak ich nawet nie ma, to zarabia na siebie od małego dziecka...

— Tak, tak — dobrze pan to powiedział, ale urządzać strajki i bójki, przeszkadzać w normalnym toku pracy, robić nielegalne zgromadzenia to jest przestępstwo polityczne.

— Przepraszam pana komisarza. To nie jest żadna polityka. To jest strajk ekonomiczny. Tu się nam dzieje krzywda na tej budowie. Proszę: tu jest legitymacja związku i nikt tu nie robi żadnej polityki. — Głuchy Michał wyszarpnął z kieszeni brudną legitymację i położył ją na stole.

Komisarz obejrzał ją dokładnie i zażądał od podmajstrzego spisu ludzi. — Może pan odejść — rzekł do Michała. Sam zagłębił się w studiowaniu spisu.

Głuchy Michał wyszedł.

Tłum stał jeszcze ciągle na miejscu. Policjanci cofnęli się do swych samochodów. Wtedy robotnicy otoczyli Michała zasypując go pytaniami.

— Nic takiego nowego, ale trza będzie obstawić mury. Ja myślę, że będzie najlepiej stanąć tak, jak do roboty. Z naczyniem i ze wszystkim.

— Najlepiej stanąć na swoich miejscach.

— I nie odchodzić z budowy. Kto wyjdzie, nie ma po co przychodzić — krzyknął Głuchy Michał.

— Będziemy tu spać. Wszyscy jak jeden.

— Wszyscy, wszyscy jak jeden. Dalej, na swoje miejsca!

Rzucili się wszyscy na mury. Każdy murarz stanął na swym miejscu tam, gdzie wczoraj pracował. Każdy wziął do ręki kielnię, drugą oparł się na położonej cegle. Pomocnicy ustawili się koło swoich murarzy. Cieśle stanęli z siekierami koło windy — zbrojarze przy swoim stole.

Słońce popołudniowe paliło i cień od murów padał na ziemię. Robił się coraz dłuższy, ostrzejszy. Potem niebo zaczerwieniło się i rzuciło blask na mury, postacie i twarze stojących nieruchomo ludzi.

## Strajk polski

Halina Krahelska: *Strajk polski*

Halina Krahelska — inspektorka pracy w latach 1919—1931, działaczka społeczna i publicystka, zajmująca się wiele sprawami pracy. Specjalną uwagę poświęcała sprawie pracy kobiet i młodocianych. Była inicjatorką zorganizowania żłobków przyfabrycznych oraz wprowadzenia zakazu bezpłatnej pracy młodzieży. Zginęła w czasie wojny i okupacji w obozie w Rawensbrück.

Strajki okupacyjne „polskie" mnożyły się i gdy na tle kryzysu rozkwitało bujnie łamistrajkostwo, stawały się jedyną możliwą formą obrony żądań ekonomicznych i walki o poprawę warunków pracy. Ze strajku normalnego, zwykłego, bez oku-

powania fabryki, fabrykant mógł sobie kpić, gdyż zazwyczaj nazajutrz potrafił uruchomić fabrykę przy pełnej obsadzie z wczorajszych bezrobotnych. Ale w miarę przedłużania się kryzysu całe zjawisko mocno się zmieniało. Ponad chęć i konieczność walki o poprawę warunków pracy okupujący fabrykę robotnicy bywali zmuszeni do staczania bohaterskiej walki o istnienie samych warsztatów pracy. Bywały one bowiem przeznaczone przez kapitalistów, często pod wpływami obcego kapitału, do zamknięcia nie tyle z powodu zmniejszonych zysków, co dla międzynarodowej solidarności kapitału, gdy np. spółka kazała zamknąć fabrykę na Śląsku otwierając równocześnie taką samą po drugiej stronie granicy. Hitleryzm dla własnych celów politycznych potrzebował pozornych dowodów wobec mas, że tam, gdzie już panuje bezkompromisowy faszyzm, bez żadnych fartuszków wstydliwości, mianowicie w Trzeciej Rzeszy, można pełnymi garściami brać pracę. Otóż walka robotników w obronie warsztatów pracy przeciw woli ich właścicieli, walka płonąca epopejami tej miary, co „Klimontów", „Szczęście Luizy" i tyle innych, walka ta stała się zrozumiała i bliska całemu społeczeństwu i w jej ogniu tajać poczęły szeregi łamistrajków. Polskie strajki urastały do znamion walki prowadzonej przez proletariat już z samą istotą złego ustroju, walki kwestionującej prawo właściciela do swobodnego rozporządzania warsztatem pracy — mianowicie rozporządzania ku krzywdzie społeczeństwa. Pierwotny cel: zagrodzenia drogi łamistrajkom - bezrobotnym w nowych warunkach niesłychanie szybkiej odbudowy solidarności robotniczej przestawał już być aktualny; w wielkich ośrodkach przemysłu polskiego wszystkie niemal strajki były wygrywane przez robotników, gdyż fabrykant nie znajdował już chętnych do łamania akcji strajkowej.

### Nędza wsi w czasie kryzysu

Bezrobocie w mieście musiało się odbić fatalnie na życiu wsi. Przede wszystkim ani uwłaszczenie (1864), ani ledwie rozpoczęta w r. 1920 reforma rolna żółwim krokiem wlokącą

się i obliczona na lata nie załatwiły sprawy rolnej. Wieś nasza w okresie II niepodległości była przeludniona, skazana na ratowanie się emigracją do miast lub za granicę, zwłaszcza w sezonie letnim. Emigracja do miast ustała zupełnie w okresie kryzysu, gdy robotnicy masowo tracili pracę. To samo działo się w skali światowej, gdy bezrobocie zaczęło ogarniać cały świat. Bardzo wcześnie uniemożliwiona była dla nas emigracja do Francji, która w początkowej fazie II niepodległości odgrywała dużą rolę. Ameryka przestała przyjmować Europejczyków. Wraz z Hitlerem skończyła się emigracja do Niemiec, jeśli nie liczyć Śląska, gdzie kapitał niemiecki przez akcjonariuszy zamykał fabryki polskie, a naszych robotników chętnie przyjmował do niemieckich konkurencyjnych po drugiej stronie granicy.

Obok przeludnienia drugą przyczyną nędzy wsi były tzw. nożyce, tj. różnica między cenami produktów rolnych i wyrobów przemysłowych miejskich. Różnica ta zwiększa się w czasie kryzysu i chłopi za to, co wyprodukują, nie mogą nic dostać. Wreszcie wobec ogólnej biedy państwa, spowodowanej gospodarką kapitalistyczną, skarb przeznaczał tak mały odsetek dochodów dla wsi, że nie mogła się ona podnieść z niskiego poziomu, w jakim ją zabory zostawiły. Szkoła była tam naprawdę na marginesie życia, a wszystkie instytucje społeczne i oświatowe pędziły nędzny żywot, do czego się przyczyniały racje polityczne rządu sanacyjnego. W strasznym obrazie stosunków kruszącego się kapitalizmu wieś była może najczarniejszą plamą.

*W. Sz.*

**Bandos**

Maria Konopnicka: *Na fujarce*

Maria Konopnicka — (1842—1910). Wśród poezji Konopnickiej osobną grupę stanowią pisane na nutę pieśni ludowych pod wspólnym tytułem: *Na fujarce*. Odznaczają się one wielką melodyjnością, a treść ich jest w ogóle smutna. Poetka, młoda wówczas, pogodzić się nie może z niedolą ludu

Nie widzi jednak przed sobą jasno drogi poprawy stosunków. Po uwłaszczeniu w r. 1864 wielu ludzi na wsi zostało bez ziemi. Los ich był ciężki jako robotników rolnych, „parobków". Liczba bezrolnych wzrastała, brakło dla nich pracy na wsi, a miasta nie dosyć szybko się uprzemysławiały w b. Królestwie. Stąd konieczność emigracji, która Konopnicką bardzo przejmuje przez całe życie. W r. 1910 pisze wielki poemat emigracyjny: *Pan Balcer w Brazylii.*

### Na fujarce

Oj, zaszumiały brzozy płaczące
W dąbrowie...
Bywajcie zdrowi, siwe gołąbki,
Ojcowie!
Pójdę ja z kosą dalekim krajem,
Dunajem...[1])
Może mnie wezmą kędy do żniwa
Za najem!
Pójdę ja, pójdę sierocą drogą
Po świecie...
A kędyż wy mnie, czarne jaskółki,
Najdziecie?
Albo na polu w krwawej robocie
I w pyle...
Albo przy onej rozstajnej drodze
W mogile!
Jedna duszyczka z chaty bielonej
Ubędzie...
Jeno ci o niej wichry nieść będą
Orędzie...
Jeno żurawie, co ciągną górą
Od rzeki,
Na bystrych piórach głos mój poniosą
Daleki...
Jeno ta woda, co idzie modra
W kraj świata,

---

[1]) Dunajem w pieśniach ludowych nazywa się każda rzeka

Braciom słóweczko tęskliwe poda
Od brata!...
Pójdę ja, pójdę w cudzą krainę
Tułaczą...
Ani mnie kiedy te gwiazdy sine
Obaczą!

## Komornicy w Chłodku

Stefan Żeromski: *Przedwiośnie*

Stefan Żeromski — (1868—1925). *Przedwiośnie* jest to ostatnia powieść Żeromskiego. Osnuta jest na tle rewolucji rosyjskiej i I wojny imperialistycznej. Porusza bolączki społeczne Polski po wojnie, zawiera też obrazy z życia wsi. I tu, jak zawsze, Żeromski dostrzega najboleśniejsze rany społeczne, wnika w nędzę życia komorników, tj. proletariatu rolnego, podnosi sprawę przeludnienia wsi, wynikającą z niezałatwienia reformy rolnej po I wojnie.

Komorników było niemało we wsiach sąsiednich, otaczających wieńcem Chłodek leżący w dolinię. Komornicy byli to chłopi i ich rodziny, nie posiadający wcale roli, a zamieszkujący „kątem" u gospodarzy, przeważnie małorolnych, którzy jednak posiadali własne skrawki roli, własne chaty, stodoły i obórki. Komornicy chodzili na zarobek do dworów, służyli za fornali i ratajów, a także zarabiali u bogatych chłopów jako najemnicy i parobcy w gospodarstwach włościańskich dostatnich, lepiej prowadzonych i zasobnych w inwentarz. Życie komorników było nędzne nad wyraz. Latem wychodzili na zarobek w bogatsze okolice. Niegdyś, przed „wielkimi wojnami", wędrowali masowo za granicę Słowiańszczyzny do rdzennych Niemiec jako „obieżysasy". W czasie wojen rozmnożyli się, narośli i wypełnili wioski i wioszczyny. Wojny nie wygubiły ich, lecz właśnie rozpleniły, nic im nie przydając. Wielu z nich skrwawiło się, pokryło ranami i zdobyło kalectwo w walce o wolność narodu polskiego, a ojczyzna w nowe państwo przekształcona nie zdołała jeszcze nic dla nich uczynić. Czekali cierpliwie, żyjąc w swych kątach na cudzym przykominku,

śpiąc na ławkach i po zapieckach, nie mając własnego domu i nie mając nic zgoła, co by swoim nazwać mogli. Był tego po wsiach wśród posiadaczów i półposiadaczów tłum, mnogość, powszechność. Slaniali się po drogach jako dziady, tłukli się po dziedzińcach zabudowań plącząc się i nie wiedząc, o co ręce zaczepić. Jakże straszna była ich zima! Jakże potworne wśród nich grasowały choroby! Jakież katusze znosiły kobiety tego klanu pariasów [1]), gdy w ich potomstwo uderzały „krosty" albo to straszniejsze, co ściśnie w gardle i zadusi nieletnie dzieciątko niczym bezlitosna kuna, „ćkórz" wytracający całe kurniki ptasich piskląt. Przez szpary we wrotniach stodółek przyjrzeć się można było starcom i staruchom wywleczonym z ogrzanych chałup przez dzieci i wnuki zdrowe „na umarcie" — w mróz, zawieję — złożonym na snopku kłoci, aby prędzej „doszli" i nie zadręczali żywych, spracowanych i głodnych swym kaszlem, charkaniem krwią albo nieskończonymi jękami. Pierwotna, barbarzyńska bezlitość była tam nieuniknioną ekonomią życia, życia takiego, jakie było na wsi.

## Szkoła na marginesie życia

Wanda Wasilewska: *Ziemia w jarzmie*

Wincenty szedł ku chałupie kowala. Co dzień, kiedy się trzeba było zabrać do roboty, obejmowała go ta sama głucha złość.

Przez otwarte maleńkie okienko szumiało jak w ulu. Szurgały bose nogi po deskach podłogi, chłopcy pod ścianą okładali się kułakami. Na skrzypnięcie drzwi wszystko przycichło.

Wincenty usiadł za kulawym stołem. Naturalnie chwiał się znowu, jak co dzień, jak zawsze. Oparł się rękami i zajrzał pod blat. Oczywiście nic nie pomogło wepchnięcie tam sosnowego klina. Podłoga była wypaczona.

---

[1]) Nędzarzy

Któreś z dzieci zachichotało. Wincenty wyprostował się gniewnie. Że też nigdy nie może się powstrzymać, żeby nie spróbować, czy stół się kiwa, czy nie! Wiedział przecież, że kilkadziesiąt par oczu czeka na ten moment, wygląda go jak koniecznego, codziennego obrządku. A jednak machinalnie zawsze sprawdzał.

Dzieci monotonnym chórem, łykając końcówki odmawiały pacierz. Wincenty patrzył na szary tłum uczniów i uczennic. Czuł, jak go opływa nieprzemożona lepka nuda. Otworzył katalog.

— Jest!

— Jest!

— Nie ma!

— Nie ma!

— Stasiaka znowu nie ma?

— Musi bawić dziecko, bo matka poszła pleć! — pisnęła Zarzewiakówna z ostatniej ławki.

— Antoniak?

— Pasie.

— Zacharczuk?

— Pojechał z ojcem na ryby.

Wincenty wzruszył ramionami. Wiecznie to samo. Jakby bierny, uparty, nie do przełamania opór.

— Zapłacą karę — powiedział sucho notując sobie na karteczce nazwiska.

— Stasiakowie nie zapłacą.

— Ale! prędzej jak Zacharczuki!

— Cicho!

Uspokoiło się. Notował dalej z mściwą zaciętością. A niech się dzieje, co chce. Jak na udry, to na udry. Jest przepis i koniec.

W klasie było cicho. Tylko mała Anielka pociągnęła wiecznie zakatarzonym nosem.

— Czytaj!

Brudny chłopak dukał koślawo, niezdarnie, wodząc po książce czarnym palcem. Gniew wzbierał w Wincentym. Po-

dnosił się coraz wyższą falą, kolebał złą ciemnością przed oczyma. Nauczyciel wszedł między ławki i stanął tuż przy czytającym.

— A wczoraj znowu nie byłeś w szkole.

Chłopak patrzył okrągłymi oczyma bez wyrazu i milczał.

— A czytać nie umiesz! Trzeci rok!

Krótko ostrzyżona czupryna przytaknęła zgodnym ruchem okrągłej głowy.

— Czemu nie chodzisz?

— Ja z jagodami... Bo...

— Wy tak wszyscy! Z pasionką, z jagodami, z dziećmi, z czym kto chce! Tylko do szkoły nie ma czasu przyjść! A potem co? Umie kto co? Nic! Tylko ja się tu niepotrzebnie morduję, żyły z siebie wyciągam!

Zreflektował się. Po co to wszystko? Patrzyły w niego oczy — oczy niebieskie, siwe, czarne, zielonawe, z obcych, wrogich twarzy patrzyły obojętne oczy. Może kpiąco, że tak „wydziwia" — a może tylko wrogie.

— Do tablicy!

Niezdarne, małe palce, czerwone od zimowych odmrożeń, nie mogą się uporać z kredą. Kreda też zresztą diabła warta, kruszy się i odpada, jak to wapno ze ścian kowalowej chałupy.

Wyrastają białym rzędem cyfry. Po co to wszystko? Może już nie przyjedzie wizytator, może już da sobie spokój. Niedługo przecież koniec roku, wakacje. A na jesieni, jak się wszystko szczęśliwie ułoży, budynek szkolny nie wykończony, ślepymi źrenicami zabitych deskami okien patrzący na drogę, może będzie gotów i przeniesie się wszystko z tej rudery, z tej walącej się budy.

Zaskrzypiała kreda na gładkiej powierzchni tablicy, a równocześnie w sieni zakwiczało rozpaczliwie prosię. Kowalowa z krzykiem wypędziła je na dwór. I od razu twarze zmieniły się. Tak, z tego umiały się łatwo śmiać. Że kura wskoczyła na okno, że kowalka kłóci się z kowalem, że zaryczała wprost w okno przechodząca krowa. Wtedy na chwilę czujna wrogość znikła i szeroki uśmiech wypływał na blade usta. Ale tak, naj-

lepszy nawet humor mroziła ta szara obojętność, nieprzeniknionym murem stojąca między dziećmi i nauczycielem.

A jeśli wizytator przyjedzie?

Nauczyciel poczuł przykry chłód przebiegający po plecach. Z całą jasnością, przeraźliwie wyraźnie zobaczył długie litanie nieobecnych w dzienniku i te brudne, usmolone zeszyty, w których nienależycie było prowadzone poprawianie zadań, i te ledwo dukające w trzecim roku nauki dzieci, i te lekcje prowadzone bez żadnych „pomocy naukowych", kiedy w gruncie rzeczy tak łatwo było się o nie postarać — był ich pełen las i woda, i łąka za kalinami.

Oczywiście, gdyby się postarać... Ale właściwie po co? Czy to coś zmieni, przeinaczy, przełamie mur obojętności?

Przez szpary w ścianie płynął z drugiej izby mdlący smród kapusty. Mieszał się z fetorem spoconych, dawno nie mytych ciał. Nie pomagały okna małe w spróchniałych ramach. Zielony, błękitny, lazurowy dzień stał za oknami — ale tu było ciemno i w zaduchu ogarniały mdłości. Lekkomyślnie wywrzaskiwała swoje wesołe zawołanie wilga na sosnach naprzeciw, ale to był inny świat, nieprawdziwy świat z bajki, który niknął i umierał w tym momencie, kiedy się rankiem weszło do kowalowej izby, żeby nie wyjść z niej przez długie godziny.

Z trzaskiem zamknął dziennik. Dzieci zerwały się pospiesznie, jedno przez drugie. Galopem, na wyścigi odmawiały pacierz i runęły w drzwi jak oszalałe stado. Już ich nie było, pomknęły w lazurowy, złoty, zielony dzień, tylko migały chude nogi na drodze i ścieżkach.

Wyszedł przed dom i wolno palił papierosa. A już nadciągała następna partia. I znów to samo, od początku. Dziennik, nieobecni, z każdym dniem więcej nieobecnych. To było zresztą niemal niezależne od pory roku. Najpierw pasionka i jagody, potem, kiedy jesień siwą mgłą zawlokła pola — kopanie ziemniaków, potem mróz, potem sadzenie, jagody, pasionka i tak w koło. Wcale nie to było najważniejsze, co on za najważniejsze uważał. Szkoła stała na marginesie życia,

owych pasionek, kopań, bawień dzieci, jagód i grzybów. Białe karteczki nakazów karnych trzymały jeszcze jako tako tę gromadkę w kupie, ściągały każdego choćby co parę dni do kowalowej chałupy, bez tego nie zobaczyłoby się tu chyba nigdy nikogo poza może małą Petronelką, którą ciotka przysyłała codziennie, punktualnie, przez całutki rok.

A zresztą, gdyby tak przyszły wszystkie? Gdyby pewnego dnia nie trzeba było postawić w dzienniku ani jednej kreski oznaczającej nieobecność? Trzeba by dzielić nie na trzy partie, jak teraz, ale na pięć, sześć, i siedzieć w kowalowej chałupie za koślawym stołem nie osiem godzin, ale dwanaście, piętnaście i więcej.

# POD OKUPACJĄ HITLEROWSKĄ

## W szkole pod niemiecką okupacją

L. Zajączkowska: *Rozbite gniazdo*

L. Zajączkowska — współczesna pisarka dla młodzieży maluje życie w szkole pod okupacją niemiecką. Ponieważ Niemcy wywieźli do obozów i wymordowali 40% nauczycieli, liczba szkół musiała się zmniejszyć. Te, które istniały, w każdej chwili narażone były na zamknięcie. Nauczyciele prowadzą je niezgodnie z programem oficjalnym (który pozwalał tylko na naukę czytania, pisania i rachunków) ryzykowali wolność i życie.

Nagle rozległo się ciche pukanie do drzwi klasy. Wsunęła się jasna główka córeczki woźnego.

— Proszę pani, wizytacja... — zawołała półgłosem w stronę katedry i znikła. Słychać było tylko jej szybkie, ciche kroki na korytarzu, jak biegła do sąsiednich klas uprzedzić uczniów i nauczycieli. A nuż wizytacja odkryłaby w którejś z klas lekcję polskiego albo historii, surowo zakazanych przedmiotów! Strach pomyśleć! Niemcy mogliby zamknąć szkołę, zaaresztować profesorów, wywieźć na roboty do Niemiec starszych uczniów. Były już takie wypadki w Warszawie...

— Dzieci, schowajcie prędko zeszyty, jeżeli macie. Książek nie ma na pulpitach? Krysiu, ty znów nie masz nic w ręku. Tyle razy ci mówiłam! — Pani była zdenerwowana, lecz starannie ukrywała swój niepokój przed dziećmi.

Jak gdyby nigdy nic, zaczęła przechadzać się między ławkami.

— Tylko spokojnie... No, uśmiechnijcie się! Po co te ponure miny? Ostro trzymać się, smyki... — dodawała otuchy swym wychowankom. Pani Malinowska — tak brzmiało jej nazwisko — była jednocześnie wychowawczynią czwartej powszechnej, w której uczyła się Janka.

— Jakie krzywe ściegi stawiasz, Janko — z udaną surowością gromiła dziewczynkę, gdy drzwi otworzyły się i do klasy wkroczyła grupa złożona z trzech osób. Dwóch panów szło naprzód, za nimi blady, ale spokojny dyrektor szkoły.

— Dzieci, wstańcie — zwróciła się pani Malinowska do uczniów. Dzieci posłusznie uniosły się z miejsc i wlepiły wzrok w obcych przybyszów, którzy uważnym, ostrym spojrzeniem przyglądali się klasie.

— Dzień dobry... — zabrzmiał chór leniwych, obojętnych głosów. Jeden z wizytatorów machnął ręką na znak, że dzieci mogą usiąść. Gdy ucichło szuranie nogami, które trwało dłużej niż potrzeba, i dzieci usadowiły się w ławkach, wysoki i chudy jegomość o nieprzyjemnym wyrazie twarzy rzucił chrapliwym głosem krótkie pytanie:

— Jaka lekcja?

— Roboty ręczne.

— Hm — mruknął i obrzucił podejrzliwym spojrzeniem młodą nauczycielkę. Pochylił się do swego towarzysza i coś mu szepnął. Tamten skinął głową.

— No, to porozmawiamy sobie teraz trochę z dziećmi — powiedział i zwrócił się do klasy. Jego oczy spoza okularów szybko biegały po małych postaciach wyszukując odpowiedniej ofiary. Czterdzieści par oczu niebieskich, szarych, brązowych raczej obojętnie patrzyło na niego. Dzieci były już przyzwyczajone do podobnych „napadów", jak nazywano te częste wizytacje.

Jakże chciałby ten kościsty, obcy jegomość przeniknąć w głąb myśli ukrytych w tych jasnych i ciemnych główkach

schylonych nad pulpitami! Ale polskie dzieci umiały milczeć. Umiały strzec swych tajemnic. Wara od nich niemieckim panom wizytatorom!

Złe błyski zapalały się w oczach starszych chłopców i dziewcząt.

— Ty! Chodź tu! — Wizytator wskazał palcem na Pietrka Walczaka, który siedział w jednej z ostatnich ławek.

— Pewno foks... — szepnęła cichutko sąsiadka Janki.— Po polsku gada...

Volksdeutschów nazywano w Warszawie pogardliwie w skrócie foksami.

Wśród dzieci dało się odczuć leciutkie poruszenie. Pietrek był zuchem i „cwaniakiem" znanym z dowcipu i żywości.

— Ten to ma łeb nie od parady! — mówiono w szkole.

Na Niemców cięty był bardzo. Nienawidził ich z całej duszy. Nacierpiał się od nich niemało. Ojciec jego zginął w Oświęcimiu, brat — robotnik był w lesie, w partyzantce.

— Ja też na wiosnę wieję do lasu... — twierdził uporczywie Pietrek.

Pani Malinowska odetchnęła z ulgą.

— Ten nie da się wyprowadzić w pole... — pomyślała.

— Ale trafił! Palcem w niebo! — cieszyły się po cichu dzieci.

— Jakiego znasz największego człowieka? — zapytał wizytator, gdy chłopiec stanął na środku klasy.

Pietrek wytrzeszczył oczy, zrobił głupią minę, podrapał się za uchem, przestąpił z nogi na nogę, chrząknął parę razy i wymamrotał:

— A no, chyba pan Walenty to będzie największy, jakiego znam...

W klasie rozległ się gdzieniegdzie tłumiony chichot.

Wizytator wytrzeszczył ze zdumienia oczy.

— A któż to?! — zawołał głosem, w którym drgała złość.

— A to, proszę pana wizytatora... nasz woźny szkolny. Bardzo wielki, ma chyba ze dwa metry...

Pietrek naiwnie spojrzał na wizytatora i uśmiechnął się przymilnie.

— Ależ ja nie o wzrost pytam, ty głupi chłopaku! Jaki jest największy bohater, najsłynniejszy człowiek na świecie? No, prędko, mów! — Pietrek otworzył usta głupkowato i gapił się na wizytatora, jakby nie rozumiał pytania. Ach, gdyby wizytator wiedział, że Pietrek jest jednym z najzdolniejszych uczniów w szkole...

— To ty nie wiesz? A kto to jest Adolf Hitler? No, jeszcze nie wiesz? Nikt ci o nim nie mówił? — Wizytator zaczynał złościć się coraz bardziej.

— Aaa, już wiem, już wiem! — zatrajkotał Pietrek niby z entuzjazmem.

— No widzisz, jednak rozsądny chłopiec z ciebie. A co zrobił wielki wódz Adolf Hitler?

— Wojnę! — Pietrek w dalszym ciągu ufnymi, niewinnymi oczyma wpatrywał się w wizytatora.

— A jakie wielkie zwycięstwa odniósł Adolf Hitler? — próbował dalej pytać wizytator.

— A no, pobił Anglików, Amerykanów, Rosjan, Szwedów, Francuzów, Chińczyków, Japończyków, Turków pod Wiedniem... — plótł szybko i bez sensu Pietrek. — Niemców...— dodał po krótkim namyśle.

— Jak to Niemców? — wrzasnął oburzony wizytator.

— A, to coś mi się musiało pomylić... — „zawstydzony" Pietrek schylił głowę.

Dzieci zatykały rękoma usta dusząc się ze śmiechu.

— A ty pamiętasz, że Hitler podbił Polskę?

— Polskę... — Polskę... A co to jest Polska? — niespodziewanie, lecz niesłychanie grzecznie zapytał Pietrek.

Wizytator spojrzał na niego podejrzliwie. Nie mógł zrozumieć, czy chłopak jest taki głupi, czy też może pozwala sobie kpić z niego, z samego „pana wizytatora"?...

— Jak to, nie wiesz? A gdzież ty mieszkasz?

— A no, pani mówiła, że w Generalnej Gubernii... Ale co to jest Polska, proszę pana? — ton Pietrka stawał się natarczywy.

Pietrek „zastrzelił" swym pytaniem wizytatora. Wizytator był wściekły sam na siebie. Wpadł w pułapkę. Ten smarkacz chyba drwi! Przecież oni, Niemcy, rzeczywiście chcieli wykreślić słowo Polska z historii i z geografii. Nie używano tego słowa nigdzie w urzędowym języku. Chciano, żeby i dzieci o nim zapomniały...

Jak tu wybrnąć z głupiej sytuacji, którą on sam nieostrożnym pytaniem stworzył? Najlepiej będzie... Rozgniewał się.

— Ty mi tu głupich pytań nie zadawaj! Ja się ciebie pytam, a nie ty mnie, rozumiesz?!

Cała klasa triumfowała. Udało się wyprowadzić wizytatora z równowagi. Dzieci też potrafią wojować! A to ci zuch ten Pietrek! Wykiwał tę szkaradną pokrakę!

Wizytator jest już zupełnie wyraźnie zmieszany. Wypadałoby zadać chłopcu jeszcze jakieś pytanie, żeby zatrzeć tamto nieprzyjemne wrażenie. Tak dać się podejść temu polskiemu smarkaczowi! I jak on teraz wygląda wobec swojego zwierzchnika z Gestapo, który chociaż mało rozumie po polsku, jako Niemiec, ale przysłuchuje się wszystkiemu uważnie.

— Jaka jest największa rzeka w Generalnej Gubernii? — rzuca więc na chybił-trafił pierwsze pytanie, jakie przychodzi mu do głowy.

— Wisła.

— Dokąd Wisła płynie?

— Do morza...

— A ty byłeś kiedy nad morzem?

— Pewnie, że byłem.

— Gdzie, w Gotenhafen?

— Nieee... w Gdyni.

— A wiesz, gdzie leży Gotenhafen?

— Nieee...

— A Gdynia?

— Pewnie, że wiem. Nad Bałtykiem, niedaleko Gdańska.

— Przede wszystkim nie mówi się Gdańsk, a Danzig. A po drugie, czy ty nie wiesz, że Gdynia nazywa się teraz Gotenhafen?

— Nieee... A dlaczego się tak nazywa?

Pietrek znów wybałuszył oczy i pytająco spojrzał na wizytatora.

Ten ze zniechęceniem machnął ręką. Kazał mu iść na miejsce. Wywołał jeszcze paru uczniów, nie ryzykował już jednak zadawać im takich pytań, jak Pietrkowi. Wciąż głowił się nad tym, czy chłopak udawał, że jest nierozgarnięty, czy też rzeczywiście nie rozumiał, o co chodzi...

— Bardzo słaba ta pani klasa! Dzieci się w niczym nie orientują! — powiedział z wymówką do pani Malinowskiej, wychodząc. Coś jeszcze pogadał po cichu w drzwiach z drugim wizytatorem. Do dzieci doleciały tylko jakieś strzępki niezrozumiałych, niemieckich słów. Gdy nieproszeni goście opuścili klasę, wybuchł gwar głosów.

— Cicho, dzieci, cicho, oni jeszcze mogą usłyszeć! — uspokajała pani Malinowska, która ze zdenerwowania ledwo już trzymała się na nogach.

No, ale minęło szczęśliwie. Mogłoby być gorzej, na przykład, gdyby rewidowali teczki, co zdarzało się często w czasie podobnych wizytacji. Nigdy nie wiadomo, co te dzieciaki ze sobą noszą...

Gazetki, zakazane książki...

— A to łobuz! Hitler największy człowiek! Największy drań!... — przekrzykiwali się chłopcy z oburzeniem.

— Gdynia — Gotenhafen! Hi, hi, hi... — śmiały się dziewczynki.

— Myślał, że nas nabierze. Niedoczekanie...

Pietrek, jako bohater dnia, budził ogólny podziw.

— Morowo się spisaleś! A toś przygadał z tą Gubernią! I z tymi Niemcami, co ich Hitler pobił... I Japończyków! Ha, ha, ha!!! — zaśmiewały się dzieci.

## Miasto śmierci

### Prof. dr Ludwik Hirszfeld: *Historia jednego życia*

Ludwik Hirszfeld — (ur. w r. 1884) lekarz i uczony polski, obecnie profesor Uniwersytetu we Wrocławiu.

Rozmyślnie wybieramy ten, a nie inny wyjątek ze wspomnień o martyrologii okupacji niemieckiej. Poniewierka Żydów polskich jest bowiem jednym z epizodów najbardziej znamiennych zastosowania faszystowskich metod walki w najjaskrawszej ich formie — hitleryzmu. Dla oceny społecznych skutków wojny epizod ten należy do najbardziej charakterystycznych.

Klamka zapadła za nami. Mamy uczucie, żeśmy przeszli z chłodnego pokoju do przepełnionego, cuchnącego więzienia, gdzie przestajemy być ludźmi, gdzie każdy może nas uderzyć i gdzie jesteśmy jedynie częścią wzgardzonej masy. Właściwie dostajemy się do obozu koncentracyjnego, stworzonego po to, by się ludzie wzajemnie pożarli, by zginęli z głodu, epidemii i obrzydzenia. Na ulicach takie tłumy, że nie podobna się przecisnąć, przechodzi się przez jezdnię gęstą, zwartą masą. Tłum obdarty do ostateczności, widzi się ludzi w łachmanach, nawet bez koszuli. Na ulicach setki handlujących, głównie kobiet i dzieci. Sprzedają wszystko: guziki, nici, stare ubrania, obwarzanki, papierosy, jakieś ogzotyczne wyroby cukiernicze. Ulica ma swoistą melodię: nieopisany zgiełk i gwar, w którym odróżnić można jednak cieniutkie, zrezygnowane

głosy dzieci: — Bajgiełki sprzedaję, bajgiełki, bajgiełki, papierosy, cukierki...

Trudno zapomnieć te słabe głosy dziecięce. Góry błota i śmieci piętrzą się na jezdniach. Od czasu do czasu dziecko w łachmanach wyrywa jakiemuś przechodniowi paczkę i uciekając pochłania zawartość. Tłum biegnie za nim z przekleństwem. Jeśli je złapie, to bije, co nie przeszkadza dziecku kończyć uczty. Co chwilę spotyka się tłumy mężczyzn, kobiet i dzieci pędzone przez policję. Są to uchodźcy. Niosą marne resztki dobytku: jakiś węzełek, czasami poduszkę lub siennik. Szczęśliwi jadą na wozach. Tłum jest okrutny: gdy jadący odwrócą się na chwilę, mogą stracić ostatni dobytek.

Podchodzę i pytam: w przeciągu 5 minut wyrzucono ich z miejsca zamieszkania nie pozwalając na ogół nic zabierać. Pochodzą z małych miasteczek z okolic Warszawy. Starców i kaleki wykończono na miejscu. W drodze zabijano tego, kto nie mógł nadążyć. Wyraz twarzy uchodźców tragiczny. Upiorny strach lub ostateczne, tępe przygnębienie.

Co chwila widać chmary oberwańców prowadzone przez żydowską służbę porządkową, między nimi czasem twarz inteligentna lub ubiór lepszy. Są to mieszkańcy domów, w których zdarzyły się wypadki duru plamistego. Wystarczy jeden wypadek, by gnać wszystkich do kąpielisk. Że muszą czekać godzinami i że się przy tym zawszą, tego panowie rozkazodawcy nie biorą pod uwagę. Codziennie spotykam charakterystyczne obrazy: na trotuarze spostrzegam wzniesienie przykryte gazetami, spod których wystają nogi albo bardzo obrzękłe, albo skrajnie wychudzone. To trupy zmarłych z głodu lub z powodu duru plamistego. Niektórzy bezdomni skonali na ulicy. Innych wynoszą krewni lub mieszkańcy domów, by uniknąć konsekwencji duru w kamienicy. Bo są one straszne. Mogą pozbawić i dachu, i chleba. Tak inteligentnie zwalcza się zarazę. A że wszy z trupa rozchodzą się po ulicy? Władze przy zielonym biurku w tak nieistotne szczegóły nie wchodzą. Trupy zbierane są przez żydowską służbę porządkową, ale nieraz leżą po kilka dni. A zbiera się je do szopy naprzeciwko

gminy, później leżą w kostnicy cmentarnej. Leżą warstwami, jedne na drugich, z powykrzywianymi członkami, zawsze prawie nagie, często nadgryzione przez szczury. Po ulicach suną gęsto smutne żydowskie pogrzeby.

Uczucie zamknięcia w więzieniu wzmaga się przez to, że co chwila przechodzeń napotyka mur lub druty kolczaste. W ten sposób władze chciały izolować nosicieli zarazków. Ludzie nazywający się doktorami medycyny uzasadniali taką tezę. Nauka już dawno zlikwidowała średniowieczne kwarantanny, nie tylko, jako okrutne, ale jako bezcelowe. Bezcelowe? Przecież chodzi nie o zlikwidowanie epidemii, lecz zlikwidowanie Żydów. Dla tego celu są bardzo celowe. Mury posiadają parę wylotów. U wylotów stoi straż, w miejscowej gwarze „wacha". Składa się z kilku uzbrojonych Niemców z pogardą patrzących na tłum, z polskich policjantów i usłużnych policjantów żydowskich, którzy, gdy się nie dość sprawnie zachowują, dostają po twarzy. Przy „wasze" od strony dzielnicy — chmary oberwanych dzieci, po stronie „aryjskiej" — tłumy gapiów patrzących na widowisko. Te dzieci — to żywiciele dzielnicy. Gdy Niemiec się odwraca, przebiegają na drugą stronę, zakupują trochę kartofli lub chleba i tą samą drogą starają się wracać. Policja polska na ogół spogląda na to pobłażliwym okiem. Te dzieci to nie tylko żywiciele dzielnicy, ale zwykle jedyne źródło utrzymania rodzin, gdyż ojcu na ogół zabrali wszystko: warsztat pracy, meble i nieraz ostatnią koszulę. A dziecko przynosi trochę kartofli. Niemiecka straż rozmaicie się zachowuje: zdarza się, choć rzadko, że strażnik uśmiecha się i sam zachęca dziecko do przejścia. Przecież i on ma dzieci. Nie wszyscy Niemcy są katami. Ale często strażnik zdejmuje z ramienia karabin i — strzela. Prosto w drobne ciałka dzieci. Prawie codziennie — czy uwierzycie? — prawie codziennie przyprowadzają do szpitala śmiertelnie ranne dzieci. Widać po murze wspinające się figurki dzieci. Trzeba przez mur przejść szybko, zanim się Niemiec odwróci, bo gdy dostrzeże — strzela.

Tysiące żebraków. Cisną się wszędzie. Niesamowite sceny przypominające chyba głodne Indie. Matka karmi wyschłą piersią niemowlę, a przy niej trupek starszego dziecka. Albo umierający lub udający umierającego, rozciągnięty przez całą szerokość trotuaru. Twarz wykrzywiona bólem, spuchnięta z głodu, nieraz odmrożone kończyny. Codziennie amputują odmrożone palce, ręce i nogi żebraczym dzieciom. Uderzają dwa typy nędzarzy: niektórzy wyglądają jak balony — blada, obrzękła twarz, oczu nie widać, nogi jak u słonia. Lub też szkielety obciągnięte bladożółtą skórą. Głód mokry i głód suchy.

Obok „wachy" trzeba przechodzić z obnażoną głową. Jeżeli kto nie zdejmie kapelusza, żołnierz strzela w tłum. Czasami mknie przez jezdnię samochód z Niemcami. Zwalniają biegu, przyglądają się widowisku. Rzeczywiście, ci Żydzi nie przypominają Europejczyków. Wyglądają jak dzikie zwierzęta. Tylko że w ogrodach zoologicznych jest zwykle napis: „Nie drażnić zwierząt". Istnieją też towarzystwa ochrony zwierząt. Tutaj, przeciwnie, należy do dobrego tonu męczyć. Czasami młody oficerek wyjmuje rewolwer i strzela w tłum. Jak pocieszniе wyglądają takie uciekające Żydki. Albo widzę, jak samochód staje, wysiada zeń oficer lub żołnierz siedzący obok szofera i długim pejczem wali przechodniów. Albo też przywołuje skinieniem ręki Żyda i bije go. Przecież to on wojnę wywołał. Niech go Roosevelt broni! Czasami przejeżdżają wielkie autobusy osobowe, a z nich wyglądają zaciekawione twarze żołnierzy. Patrzę: *Kraft durch Freude*[1]). Wielka wycieczka do ogrodu zoologicznego „zjednoczonej Europy". Goebbels chce pokazać żołnierzom potęgę niemieckiej pięści i nauczyć gardzić człowiekiem obcej rasy. Bo przecież ten nędzarz nie przypomina człowieka. Goebbels — to wielki znawca duszy niemieckiej. Każdy inny naród zapłakałby patrząc na tych ludzi wyglądających jak upiory i w twarz by mu rzucił wyrazy obu-

[1]) Radość źródłem siły

rzenia. Ale niemiecki żołnierz posłusznie się śmieje. I posłusznie gardzi. A zabić wzgardzonego — to już drobnostka.

Widzę, w czym leży tajemnica przemiany człowieka w zbrodniarza. Należy dokonać małego przesunięcia w duszy ludzkiej: odebrać przyszłej ofierze atrybuty [1]) ludzkie i nadać jej cechy jakiegoś specjalnie obrzydliwego gatunku: pluskwy, szczura, wszy itp. Do tego służą pisma niemieckie. Stwarzają automatyzmy myślowe, którym może się przeciwstawić tylko umysł przyzwyczajony do samodzielnego myślenia. Samodzielności jednak myślenia oducza się za pomocą obozów koncentracyjnych i częstych marszów, które trwają tak długo, aż myśli podnoszą się jak nogi w parademarszu — na rozkaz. Bo jakże inaczej można wytłumaczyć następujące fakty:

Mała dziewczynka próbuje przecisnąć się przez „wachę", żołnierz woła ją do siebie i zdejmuje powoli karabin. Dziecko obejmuje jego but błagając o litość. Żołnierz uśmiecha się i mówi: „Nie umrzesz, odechce ci się tylko szmuglu". I strzela w obie nóżki. Małe nożyny dziecka strzaskane. Trzeba je amputować. Rzeczywiście, nie będzie się więcej zajmowała szmuglem. Albo inna scena: żołnierz każe dziecku iść przed siebie i celuje. Dziecko zawraca, klęka i prosi o darowanie mu życia. Żołnierz znów każe iść i strzałem w plecy zabija małe dziecko. Albo też, poprzez drut kolczasty Żyd kupił gazetę od chłopca z dzielnicy „aryjskiej". Kupowanie gazet z tej dzielnicy jest Żydom wzbronione. To przestępstwo zasługuje na karę śmierci. Pada strzał i już po Żydzie. W tej chwili przybiega mały piesek. Niemcy lubią zwierzęta. Zabójca schyla się i głaszcze pieska. Działo się to na ulicy Chłodnej w Warszawie w XX wieku po narodzeniu Chrystusa.

Żydzi za przepustkami muszą udawać się do pracy w dzielnicy „aryjskiej". Tak było przynajmniej z początku. Musiało się to odbywać biegiem z kapeluszem w ręku. Czasami Niemcy zatrzymują tłum, każą się wyciągnąć w błocie albo robić przysiady, 100—200 razy, póki Żyd nie zemdleje; czasem

[1]) Cechy

każą tańczyć. Żołnierze stoją i zaśmiewają się. Pocieszne to widowisko, zwłaszcza gdy taki stary, chudy Żyd musi tańczyć. Nie wytrzymał kiedyś pewien Żyd i powiedział: „Przecież i ja jestem człowiekiem!" — Żołdak na to: „Nie, ty nie jesteś człowiekiem, nie jesteś nawet zwierzęciem. Jesteś tylko Żydem!"

Wszyscy Żydzi od lat 12 do 60 podlegają obowiązkowi pracy. Część pracuje w obozie. Jest to martyrologia, o której nowoczesny człowiek nie ma pojęcia. Z rana około szóstej budziły nas samochody ciężarowe zabierające niewolników do pracy na stronę aryjską. Na placyku zbierają się tłumy chętnych. Jest ich więcej, niż ciężarówki mogą pomieścić. Niemiec patrzy spokojnie, jak niewolnicy biją się o miejsca. Gdy mu się ta zabawa znudzi, wyjmuje bat i bije, dla urozmaicenia czasem kopie. Gdy ciężarówka rusza, spadają uczepieni niewolnicy lub też wyrzuca się ich czapki czy węzełki i wówczas już w biegu sami wyskakują. I myślę: Niemcy i Żydzi utracili cechy ludzkie. Tylko dla innych powodów: jedni dlatego, że biją, drudzy dlatego, że są bici.

## Polskie klasy pracujące w czasie okupacji i na progu niepodległości

Kazimierz Wyka: *Gospodarka wyłączona*

Kazimierz Wyka, profesor literatury polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego, wybitny krytyk i publicysta.

Kto pragnie pojąć psychologię gospodarczą społeczeństwa polskiego na progu trzeciej niepodległości, sięgnąć musi do zjawisk gospodarczych podczas okupacji. W psychologii tej bowiem doskonale sprawdza się to twierdzenie, że skutki psychologiczne zawsze trwają dłużej niż to, co je spowodowało.

Mieszkaniec Generalnej Gubernii dostrzegając, że okupant w niczym się o niego nie troszczy, uważał się ze swej strony — słusznie — za zwolnionego od uczestnictwa moralnego w na-



Najemnictwo 12

rzuconym mu planie zbiorowym. Dzięki temu w postawie społeczeństwa utrwaliło się przekonanie, że właśnie działania gospodarcze są niezależne, że tutaj wolno i należy robić, co się chce. Powolność i niedbalstwo, więc niemoralność w pracy, były nawet obowiązkiem patriotycznym.

Od początku do końca okupacji niewątpliwie najtrudniejsze było położenie robotnika. Jedynie góra inteligencji, np. profesorowie uniwersytetów, znalazła się w położeniu podobnie trudnym. Wprowadzono szeroką i nieokreśloną zasadę prawną o obowiązku pracy dla wszystkich Polaków. Robotnika związano z zakładem wprowadzając zakaz zmiany miejsca pracy. Systemem książeczek pracy posegregowano zawody i każdego mężczyznę zaopatrzono w dokument, który w ostatnich dwóch latach okupacji był równie niezbędny, jak metryka urodzenia. W ten sposób stworzono podstawy prawnej niewoli robotnika.

Ruch na „Saksy" z czasów przedwojennych zostawił dobrą pamięć w Polsce. Wiadomo było, że trzeba wprawdzie kilka miesięcy pracować bardzo ciężko, ale za to wraca się z dobrym pieniądzem. Niemcy w pierwszych miesiącach okupacji wyzyskiwali dosyć zręcznie tę tradycję: „Otwieramy wam drogę do pięknego zarobku jak waszym ojcom, jedźcie do Rzeszy". Jesienią r. 1939 świeżo utworzone urzędy pracy, tzw. *Arbeitsamty* niemieckie wypłacały zasiłek każdemu, kto się zgłosił jako bezrobotny, nie sprawdzając, czy jest nim istotnie. W moim miasteczku stały ogonki przed urzędami, jakich nawet po wódkę później nie widziałem. Tyle, że każdy otrzymując zasiłek podpisywał kwit, na którego odwrocie widniała klauzula, że na każde wezwanie jedzie pracować do Rzeszy. To jednak okazało się zrazu niepotrzebne. Pierwsze kadry wyjazdowiczów nie powstawały z łapanek, ale były naprawdę dobrowolne.

Stanowiła je przede wszystkim biedota wiejska. Robotnik więcej uświadomiony i nieufny politycznie prawie że w nich nie

uczestniczył. Rychło ujawniło się: „to nie są dawne Saksy". Nie tylko możliwość powrotu z zarobkiem była fikcją, ale i jakakolwiek pomoc dla pozostałych w kraju. Traktowanie Polaków jako podrzędnego bydła ze znakiem „P" rychło stało się powszechnie wiadome. Ukształtowało się przeto przekonanie: „Najgorsza praca w Generalnej Gubernii jest lepsza od wyjazdu do Rzeszy". Na miejscu, w kraju można zawsze jakoś dorobić, można przebiedować, wyjazd zaś, zwłaszcza dla obarczonego rodziną — to katastrofa.

Im dalej w lata okupacji, kiedy mniej więcej wszyscy nauczyli się istnieć w danych warunkach, tym większą groźbą był wyjazd do Rzeszy. Ale Niemcy potrzebowali najtańszej siły roboczej. Dlatego musieli się uciekać do środków drakońskich, łapanek i kontyngentów ludzkich, tym więcej, że pompa, która powinna była wysyłać materiał ludzki do Rzeszy, nie działała, zaczopowana łapownictwem w urzędach pracy. Były wprawdzie *Arbeitsamty*, których kierownicy pracowali porządnie — ze stanowiska niemieckiego — i wysyłali wszelką siłę zbędną, lecz stanowiło to ułamek całości. Zasadniczo nie było instytucji bardziej przekupnej i mniej ukrywającej swoje przekupstwo. Szantarz rzekomego nakazu na wyjazd do Rzeszy byle ściągnąć wykupne, był procesem codziennym. A okresy masowych wyjazdów letnich dawały istne góry gęsi, kiełbas i wódki.

Tak więc robotnik wiedział, że w najlichszych nawet warunkach opłaca się pozostać, a nie jechać. Pozostać, ale jak żyć? Przede wszystkim wielu posiadało skrawek roli, w wielu wypadkach chałupę odziedziczoną. Istniały całe kategorie takich robotników — klasycznym przykładem jest tu kolejarz polski. Większość jednak musiała sobie radzić inaczej. By wyżyć, musiała zerwać z wszelką moralnością pracy. Dobrze płatny, związany ze swym warsztatem robotnik, jeżeli nadto czuje, że kontrola jest skuteczna, nie wynosi z fabryki jej wytworów. Za okupacji jednak robotnik kradł i musiał kraść. Nie pomagała żadna kontrola, żadne niebezpieczeństwo.

By żyć, trzeba było „zahandlować". Ażeby zahandlować, trzeba było mieć dwa, trzy dni wolne w tygodniu, ale tak wolne, żeby oficjalnie być przy pracy i nie narazić się na wyjazd z kraju. A jak to zrobić? Przez zwiększoną pracę i przez porozumienie z dozorem na „placu" i w biurze. Przez cztery dni jest się w pracy wydobywając normę za sześć dni. Dozorca i urzędnik tę normę rozprowadzają na sześć dni. Dwa dni ma się dla siebie. Dozorca i urzędnik nie zrobią tego darmo. Z tych dwóch dni należy im się słuszna dziesięcina. Nie wszędzie w ten sposób można się było urządzić i dlatego zakłady pracy, gdzie kontrola niemiecka nie pozwalała na to, były katorgą, przed którą robotnik bronił się pazurami.

Robotnik handlował, a gdy nie mógł sam, posyłał żonę. Był to szczególny handel nędzy i konieczności. Zajętych nim należy odróżniać od handlarzy i pośredników zawodowych. Robotnik, co zarobił, zjadał. Jakże nam znany obraz zapłakanej kobiety, której „zabrali" w Koluszkach albo w Miechowie pięć kilo kaszy i kilo tłuszczu i która płacze, że to już było dla dzieci. Mężczyzna samotny poza szajkami zawodowców, którym łapówki dawały nietykalność w takim handlu wyjazdowym, pojawiał się rzadko, był bowiem zbyt łakomym kąskiem dla łapaczy. Dlatego pociągi handlowe pełne były kobiet — od opasłych hien w spódnicach po matki, dla których pięć kilo kaszy stanowiło naprawdę problem.

Robotniczym herbem okupacji pozostanie żółw powolności. Rysowano go po murach fabryk. Wyłączenie moralne gospodarki z procesu całego życia zbiorowego dokonało się u robotnika z jaskrawością jak najszkodliwszą dla psychiki. Bo jeżeli robotnik za dewizę kładzie sobie żółwia powolności, staje to w sprzeczności z jego funkcją.

Z takim dziedzictwem po okupacji robotnik wchodzi w trzecią niepodległość. Mimo to nie patrzymy na niego pesymistycznie. Okazało się, że trzeba było tylko pracy nadać sens, a odpadły złe nawyki.

W identycznej sytuacji jak robotnik znalazł się urzędnik czy nauczyciel przyjęty przez administrację niemiecką. Inteligent pracujący w biurze musiał albo zdechnąć na głodowej pensji, albo jakoś sobie poradzić. Zażegnywał groźbę handlem polegającym na niesamowicie rozwiniętym systemie pośrednictwa. Z reguły źródłem towaru był Niemiec, któremu tego towaru nie wolno było sprzedać, a ostatnim odbiorca Polak, któremu tym bardziej nie wolno było go nabyć. Tak było aż do tak jaskrawych wypadków, jak handel bronią, który kwitnął za okupacji. W urzędach i biurach handlowali wszyscy. Same biura były tylko miejscem spotkań, co chwila wypadało się z nich na miasto dla ubicia transakcji. Tylko nieliczne zawody wolne, zwłaszcza lekarze, żyli normalnie ze swojej pracy. Reszta inteligencji albo zeszła poniżej minimum życia — wyprzedawała się lub żyła jakimś powtarzającym się cudem. Niemały udział w tym cudzie miały paczki portugalskie, tureckie, szwedzkie: kawa, herbata, sardynki w nich zawarte szły do brzuchów grubszych dorobkiewiczów, spełniając zasadniczą rolę w budżetach iluż rodzin inteligenckich!

W okresie okupacji nie było większej sielanki nad współżycie podatnika z urzędem skarbowym. Sielanka opierała się na tym, że obydwie strony — i podatnik, i urzędnik poboru podatków, równie mocno były zainteresowane we wspólnym hodowaniu fikcji, jaką wobec istotnych dochodów stanowiła wysokość podatku. Podatnik był zainteresowany, bo pragnął płacić jak najmniej, urzędnik skarbowy zaś podsuwał mu sposoby obejścia prawa. Obydwaj byli czyści w swoim sumieniu i postępowaniu: wspólnie oszukiwali Niemców. Jeden zarabiał nad miarę, drugi żył w miarę, bo otrzymywał mąkę, kiełbasę i wódkę. Zapominali tylko, że całe ich postępowanie było Niemcom obojętne, bo gdy wpływy podatkowe stawały się zbyt niskie, ruszała maszyna drukarska i płynęły piękne główki góralskie na banknotach.

Streszczając się, widzimy, że psychologia gospodarcza inteligenta uległa w czasach okupacji swoistemu zwyrodnieniu. Zwyrodnienie to mniej było wywołane bezpośrednią groźbą nędzy jak u robotnika lub dokładniej mówiąc — na pierwszych ogniwach handlu, lecz rychło stało się nałogiem samoistnym. Jako takie, jest niebezpieczniejsze i trwalsze. Szczególnie jest niebezpieczne, jeżeli chodzi o aparat kontroli państwowej nad podatnikiem. Ten aparat trzeba będzie nauczyć na nowo jego właściwych funkcji. A wobec płac niskich, nauka to szalenie trudna. Jednak polip pośrednictwa już dzisiaj usycha i wnet pozostanie proszkiem we wspomnieniu.

Psychologia gospodarcza społeczeństwa polskiego, jak widzieliśmy, kształtowała się pod wpływem czynników wykluczających życie gospodarcze od moralnego a tym samym twórczego uczestnictwa w planie całego życia. Społeczeństwo polskie dziedziczy po okupacji mocno zakorzenione przekonanie, że w nowoczesnym życiu gospodarczym najważniejszy jest handel jak najbardziej indywidualistyczny. Ponieważ przeżyło okupację dzięki handlowi, gotowe jest sądzić, że w ustroju gospodarczym niepodległościowym będzie podobnie. Jest to błąd wybaczalny, jako echo niedawnej przeszłości, lecz niewybaczalny, gdyby się miał stawać nadzieją i przewidywaniem na przyszłość.

Podstawy gospodarcze, które doprowadziły społeczeństwo do braku poczucia moralnego, niestety istnieją jeszcze w niejednym wypadku i trwać muszą. Polegają one na różnicy między rzeczywistym poziomem życia a zarobkami urzędnika i robotnika. Rozumiemy, że trudno od razu te różnice usunąć. Państwo nasze nie może tak, jak okupanci, wypuszczać bez końca pieniędzy. Z drugiej strony musi żądać podatków wysokich. Dlatego konieczne jest podniesienie poziomu życia moralnego.

# REWOLUCJA PROLETARIACKA I POCZĄTKI NOWEGO USTROJU

## Dwie rewolucje

Rewolucja francuska r. 1789 obaliła ustrój feudalny, oparty na nierówności urodzenia i na przywilejach stanowych. Dała ona ludzkości **Deklarację praw człowieka i obywatela.** Dzięki niej każdy człowiek stawał się wolnym i równym wobec prawa.

Wkrótce się okazało, że **Deklaracja** nie rozwiązała całkowicie sprawy równości, pozostawiła bowiem nietkniętą nierówność materialną. Zwycięska rewolucja francuska nie zniosła wyzysku człowieka pracującego, a nawet go pogłębiła. Przez cały wiek XIX i początek XX trwa walka świata pracy z wyzyskiem kapitalistycznym i z nędzą mas, która prawie się nie zmniejsza pomimo niesłychanego wzrostu wytwórczości i rozwoju techniki przemysłowej. Własność prywatna jak zły upiór rośnie i chłonie wszystkie siły i zasoby społeczeństwa. Rewolucja francuska obroniła ją przed samowolą króla i panów feudalnych, przed ich drapieżną zaborczością. Wyzwolona z pęt feudalnych, zagroziła światu wszechwładzą pieniądza. W świecie kapitalistycznym kto ma pieniądze, ten może mieć wszystko: dobrobyt, kulturę, wiedzę, nawet zdrowie, a przede wszystkim pracę ludzką do swego rozporządzenia.

Rewolucja rosyjska roku 1917 wypowiedziała walkę tej wszechwładzy kapitału, znosząc własność prywatną warszta-

tów pracy i opierając cały ustrój społeczny i gospodarczy na pracy obowiązkowej wszystkich ludzi, czyli na powszechnym obowiązku pracy. Zniknęli bogaci właściciele fabryk, kopalń, lasów i wielkich majątków ziemskich, wszechpotężni bankierzy i potentaci przemysłu — do głosu przyszli robotnicy i chłopi. Odtąd w państwie radzieckim nie kapitał, tylko praca daje prawa i udział w dochodzie społecznym. Państwo jest gospodarzem wszystkich bogactw naturalnych i całej pracy obywateli. Państwo ustala plan produkcji, nakreśla drogi jej rozprowadzenia, ma w swych rękach handel zagraniczny, czuwa nad całością spraw i potrzeb obywatelskich. Na tym właśnie polega gospodarka planowa. Rozplanowano, ile czego ma się wyprodukować na olbrzymich obszarach państwa radzieckiego, co zrobić we wszystkich dziedzinach życia społecznego i kulturalnego w ciągu 5 lat, i to była pierwsza pięciolatka od 1928 do 1933 roku. Za nią poszła druga od 1933 do 1938. Trzecią przerwała wojna niemiecko - radziecka w roku 1941. Obecnie zaczęła się nowa pięciolatka od 1946 do 1950 roku, będąca częścią piętnastoletniego planu Stalina.

Zniesienie nietykalności własności prywatnej, uspołecznienie bogactw narodowych, powszechny obowiązek pracy i planowa gospodarka — to hasła i zdobycz rewolucji rosyjskiej.

„Mamy prawo być dumni — pisał Lenin — i uważać się za szczęśliwych, że nam pierwszym przypadło w udziale obalić w jednym zakątku kuli ziemskiej tego dzikiego zwierza — kapitalizm, który krwią zalał świat, doprowadził ludzkość do głodu i zdziczenia i który zginie nieuchronnie i szybko bez względu na to, jak potwornie bestialskie byłyby przejawy jego przedśmiertnego szału".

*W. Sz.*

## Czego dokonała rewolucja w Rosji

Lenin: wyjątek z *Pism*

Historia ludzkości dokonywa obecnie jednego z największych, najtrudniejszych przełomów, posiadających nieograniczone, bez najmniejszej przesady rzec można — światowo-wyzwoleńcze znaczenie. Od wojny — do pokoju; od wojny między drapieżcami, którzy posyłają na rzeź miliony pracującego i wyzyskiwanego ludu gwoli ustanowienia nowego układu, dotyczącego podziału łupu nagrabionego przez najsilniejszych rozbójników — do wojny mas uciskanych przeciw ciemiężcom. do wojny o wyzwolenie spod jarzma kapitału; z otchłani cierpień, mąk, głodu, zdziczenia — do świetlanej przyszłości społeczeństwa komunistycznego, ogólnego dobrobytu i trwałego pokoju. Nic dziwnego, że na najbardziej zwrotnych punktach tak gwałtownego przełomu, gdy ze strasznym hukiem i trzaskiem łamie się i wali wokół to, co stare, a jednocześnie w mękach nie do opisania rodzi się to, co nowe, niektórzy dostają zawrotu głowy, inni poddają się rozpaczy, niektórzy w cieniu pięknego, porywającego frazesu szukają ratunku i ucieczki od rzeczywistości, która czasem bywa gorzka.

Rosji przypadło w udziale szczególnie blisko obserwować, szczególnie dotkliwie i boleśnie przeżywać najbardziej gwałtowne spośród gwałtownych przełomy w historii dokonywającej zwrotu *od imperializmu do rewolucji komunistycznej*. W ciągu kilku dni zburzyliśmy jedną z najbardziej starych, potężnych, barbarzyńskich i bestialskich monarchii. W ciągu kilku miesięcy przebyliśmy kilka etapów ugody z burżuazją, przezwyciężania drobnomieszczańskich iluzji, na co inne kraje poświęcały dziesięciolecia. W ciągu kilku tygodni po obaleniu burżuazji złamaliśmy w wojnie domowej jej jawny opór. Zwycięskim, triumfalnym pochodem bolszewizmu przeszliśmy od krańca do krańca przez olbrzymi kraj. Podnieśliśmy do wolności i samodzielnego życia najbardziej nizinne warstwy spośród uciskanych przez carat i burżuazję mas pracujących. Ustanowiliśmy i utrwaliliśmy Republikę Rad, nowy typ państwa, bez poró-

wnania wyższy i bardziej demokratyczny aniżeli najlepsze spośród burżuazyjno-parlamentarnych republik. Urzeczywistniliśmy dyktaturę proletariatu popieranego przez biedotę chłopską i rozpoczęliśmy wcielać w życie szeroko pomyślany system przeobrażeń socjalistycznych. Wzbudziliśmy wiarę we własne siły i wznieciliśmy ogień entuzjazmu wśród milionów robotników wszystkich krajów. Rzuciliśmy wszędy zew do międzynarodowej rewolucji robotniczej. Rzuciliśmy wyzwanie drapieżcom imperialistycznym wszystkich krajów.

## Fabryka musi iść

Fiedor Gładkow: *Cement*

Fiedor Gładkow — współczesny powieściopisarz radziecki, w swych powieściach przedstawia ludzi silnych, z mocną wolą wzięcia udziału w przebudowie społecznej. Powieść *Cement* maluje tych ludzi w pierwszej fazie rewolucji, zaraz po wojnie domowej.

Gleb posuwał się ścieżką ku cementowni i słuchał nizinnej, zadomowionej ciszy przerywanej ptasim świergotem strumyków, i czuł, że sam staje się ciężki, przyziemny, pokryty grubą warstwą kamiennego pyłu.

Czy to ta sama fabryka, w której pamięta siebie od najdawniejszych dziecinnych lat, w której rósł i dojrzewał wśród ognia i łoskotu? I czy to on, Gleb Czumałow, ślusarz, robociarz w niebieskiej bluzie, kroczy teraz samotnie po starej zaniedbanej ścieżce, człowiek o obcej twarzy i obcych ruchach, z niezwykłym, ponurym pytaniem wyzierającym ze zdumionych oczu?

Szedł, spoglądał na fabrykę, na porzucone kopalnie, na kominy zasnute ciszą, zatrzymywał się, myślał i wzdychał siarczyście.

„Ach, pierony zatracone, cholery... Do czego to, przeklęci, doprowadzili. — Rozstrzelać, to jeszcze dla nich za mało... Taką morową fabrykę zniszczyć..."

Zszedł niżej ku fabryce. Niby umarły świat, fabryka pogrążyła się w bezruchu. Wiatry północno-wschodnie pożarły lodowate szybiska, potoki górskie obnażyły żelazne krany betonów. Do głównego budynku fabrycznego ciągnął się wyniosły wiadukt na kamiennych słupach. W murach betonowych— wyłomy, strzelnice na karabiny maszynowe. Fabryka była twierdzą białogwardzistów[1]). Urządzono w niej stajnie i baraki dla jeńców. Baraki owe były upiornymi trumnami podczas interwencji[2]).

Spojrzał jeszcze, jak wygląda wnętrze fabryki. Drzwi nie ma, zerwane są zawiasy. Pajęczyna zasnuta kurzem cementowym trzepoce się jak stary gałgan. Stamtąd, z mroków przeogromnego brzucha cuchnie pleśń i stary, zużyty kurz.

W półświetle faluje dzwonne echo zapomnienia i zaniedbania. Mostki, schody, galerie, transmisje, dźwignie, kominy, przewody, kupy spiętrzonego, pogmatwanego śmiecia. I odurzający, kwaśny zapach cementu.

Długim, ogarniętym nocą tunelem przeszedł do hali maszyn. Podłoga z kolorowych tafli i niby szereg bożków hinduskich z czarnego marmuru, pozłacanych i posrebrzanych, stoją diesle[3]). Długimi szeregami rozstawiono je sekcjami i zda się, gotowe są do pracy: pchnąć — a zatańczą, zagrają zwierciadlane odbłyski metalu, koła rozpędowe — żywe, zamarłe w locie. W twarz Gleba uderza gorąca fala powietrza nasyconego tłustym smarem i siarką. Szeregi dieslów piętrzą się jak ołtarze i jak ołtarze spragnione są ofiar. Tu, jak i niegdyś, wszystko jest ozdobne, czyste i każda cząstka maszyny oddycha ciepłem miłosnej troski ludzkiej.

---

[1]) Przeciwników rewolucji.

[2]) Interwencja — pomoc zbrojna państw zachodnio-europejskich dla przeciwników rewolucji zwanych białogwardzistami.

[3]) Motory spalinowe, wynalezione przez inż. Diesla, który zginął w katastrofie okrętowej w r. 1913.

Człowiek w niebieskiej bluzie i kaszkiecie wybiegł nagle z zaułka między dieslami, wycierając pakułami ręce i śmiejąc się oczyma i zębami.

— Cha — cha. przyjacielu stary!... To ty? Co z ciebie za zuch — komandarm... Czułem, że żyjesz i żyć musisz... Wiedziałem, że przyjdziesz i znowu puścimy w ruch starą karuzelę... No, jak się masz?... A toś mnie, chłopie, ucieszył!... Pozwól, niech cię posmaruję maszynowym sosem...

To on. To mechanik Brynza, stary towarzysz.

Tu się urodził (ojciec jego był również mechanikiem) między maszynami, toteż świat istniał dlań jedynie w hali maszyn. Brynza i Gleb razem spędzili dzieciństwo i razem poszli jako chłopcy do fabryki.

Gleb ryknął z radości i rozpostarł ręce do uścisku ze starym przyjacielem.

— Brynza!... przyjacielu... Tyś jeszcze tutaj?... Czemu nie wlazłeś w worek jak reszta grandy fabrycznej?... Czy też może zapalniczki tu fabrykujecie?[1]) ... Minę masz taką, jakbyś cały ten bałagan mógł za chwilę puścić w ruch, żeby aż trzeszczało...

Brynza z miejsca chwycił Gleba za rękę i pociągnął go w głąb ciasnego przesmyku uliczki między dieslami.

— Patrz, chłopie, jakie to diabły... Czyste są przy mnie jak dziewczynki... A wystarczy wrzasnąć: Brynza, zaczynaj! ...i cała ta wesoła maszyneria zacznie się kręcić i rznąć żelazny marsz... Maszynom potrzebna jest taka sama dyscyplina i mocna ręka, jak twojej armii... A jeśli jestem przy maszynie, to sam jestem maszyną... Wynoście się do diabła z waszą polityką, pyskowaniem i podbijaniem sobie oczu... Bijcie się tam, rozwalajcie sobie łby, zachłyśnijcie się krwią — niech was diabli — mnie to nie dotyczy. Dla mnie istnieje jedno jedyne: maszyna i praca...

---

[1]) Robotnicy bezrobotni rozbierali materiał fabryki i robili zapalniczki na sprzedaż.

— Brynza, znam twoje łapy, twoje złote ręce, wiem, że ty zapalniczek robić nie będziesz... Ale, diable rogaty ... zakopałeś się w swoich maszynach i ani krzty nie rozumiesz naszej kotłowaniny...

Brynza nagle przystanął i wytrzeszczył oczy na Gleba.

— Stop... nie wyjeżdżaj mi z agitacją wiecową, tym mnie nie weźmiesz. Jesteś wśród maszyn, a nie na zebraniu. Jeżeli to rozumiesz, to milcz. Co mam robić? Kiedyś była robota, a teraz co krok, to próżniak. Przyplącze się tu od czasu do czasu taki łazik, a ja go — na zbity pysk... Najlepsze miejsce dla tych pyskaczy — to komitet fabryczny.

Gleb pieszczotliwie głaskał lśniące części maszyn i badawczo popatrzył na Brynzę wilgotnymi, nieco odurzonymi oczyma:

— Że masz, chłopie, energię, to masz... uciekać ci się nie chce. Ale fabryka sparszywiała i ludzie sparszywieli... Po kiego diabła tkwisz tutaj i mordujesz się z maszynami, jeśli z fabryki zrobił się śmietnik, a z robotników nieroby, włóczęgi i ofermy?... Uciekaj i ty, pókiś cały.

Nagły skurcz wstrząsnął ciałem Brynzy od stóp do głów. Muskuły twarzy wykrzywiły się w grymasie. Był to jak gdyby wybuch serca Brynzy, jak gdyby szaleństwo zaprawionej goryczą krwi. Wściekle uderzył pięścią w błyszczący pancerz diesla i ryczał bez tchu:

— Fabryka musi zostać uruchomiona. Glebie... Fabryka nie może umrzeć, musimy zwrócić jej życie, bo inaczej nas pożre... Czy wiesz, jak żyją maszyny?... Nie, tego nie wiesz... Zwariować można patrząc i czując. Kto o tym wie? Ja... tylko ja!

Nic podobnego nie przeżywał dotąd Brynza. Pozostał z maszynami i wraz z nimi trwał w bezruchu. Gdy zamilkły diesle, gdy ciżba ludzka runęła poprzez nie ku rewolucji, ku wojnie domowej, na głód i cierpienie — pozostał wśród milczenia hali maszyn, żył tym samym życiem, co maszyny, i był równie samotny, jak surowe, lśniące mechanizmy.

Gleb ujął rękę Brynzy i wstrząsnął nią w radosnym uniesieniu:

— Przyjacielu, masz słuszność! Fabryka musi pracować, od tego jest fabryką. Masz moją rękę: fabryka ruszy... Zdechnę, kaleką zostanę, a fabrykę puścimy w ruch. Mus! Trzymaj więc swoje diesle na uprzęży... Weźmiemy się, bracie, na całego.

### Życie fabryki w Związku Radzieckim przed II wojną

Elizabeth Maria Gaertner: *Świat twardych ludzi*

Delegatka gazety amerykańskiej przyjechała na dworzec do Kijowa. Miała obejrzeć kijowską fabrykę wagonów. Wokoło, gdzie okiem sięgnąć, wyrastały rozpoczęte budowle. Cały las rusztowań, całe obszary zawalone materiałami, wszędzie widoczna była rozpoczęta praca — wyrastało coś nowego.

Brama fabryczna — przepustki — formalności. Delegatka wchodzi. Oficjalne zapoznanie się. Ewa zapytuje o rozwój pracy społecznej w fabryce. To później. Teraz zwiedzanie. Zbliża się młody robotnik o dziwnie jasnej, wysubtelnionej twarzy.

— Jestem wyznaczony na przewodnika. Idziemy do oddziału ogólnego remontu wagonów.

— Rozszerzamy się, rośniemy. Ot, ten cech ma być skończony na październik — i wskazuje obok kolosalną przestrzeń, na której dopiero spod ziemi wychylają się mury fundamentów.

— Czyż to możliwe? — pyta Ewa.

— A u nas tak. Postanowienie, plan i robota w ruch! A potem wyznacza się termin, który nas popędza.

— I dotrzymujecie terminów?

— Musimy. Za pierwsze półrocze 1931 roku wykonaliśmy plan rozbudowy w 92%, ale roczny plan musi być wykonany z nadwyżką.

Wchodzą do olbrzymiej hali z wielką tarczą obrotową, na której stoją dziesiątki wagonów do naprawy. Niedaleko wejścia spotyka ich starszy robotnik.

— To zarządzający oddziału — przedstawia go przewodnik i dodaje:

— Ten towarzysz pracuje tutaj od początku rewolucji.

— Oj, nie tylko od rewolucji. Pracowałem tu przed wojną jeszcze.

— A teraz zarządzacie oddziałem? — zapytuje Ewa. — Czy praktyką doszliście do tego? Czy zdobyliście również podstawy teorii?

— Praktyką, towarzyszko.

— Czy na wszystkie stanowiska administracyjne wyznaczeni są również robotnicy?

— Przeważnie, towarzyszko, z wyjątkiem odpowiedzialnego dyrektora, który musi być inżynierem-specjalistą. Ale i on pracuje w ścisłym porozumieniu z przedstawicielem związku zawodowego i sekretarzem partyjnym.

Wstępują do kotłowni i kuźni, gdzie młodzi, silni, do pasa nadzy kowale z brawurą walą ogromnymi młotami. I tu, jak wszędzie, pełno haseł na czerwonych transparentach i niezliczona ilość napisów dodających bodźca do pracy. Wszędzie widoczny jest wysiłek, aby fabryce nadać wygląd instytucji społecznej pracującej dla zupełnie jasno określonego celu. A jednocześnie, aby ją uczynić miłą dla ogółu pracujących, aby zaspokoić ich głód estetyki, no — i pobudzić do myślenia.

Znaleźli się wreszcie w małym ogródku, gdzie było coś w rodzaju sceny pod dachem oraz kilkanaście rzędów ławek dla słuchaczy. Tutaj odbywały się zwykłe zebrania wszystkich oddziałów albo też koncerty orkiestr fabrycznych, a czasem występy lotnych brygad teatralnych. Z pośpiechem robotnicy zajmowali miejsca na ławkach i z zainteresowaniem przyglądali się „delegatce z zagranicy". Sekretarz w słowie wstępnym streścił wszystkie trapiące ich zagadnienia: czy robotnicy w innych krajach wiedzą, z jakim heroizmem robotnicy radzieccy kładą fundamenty pod budowę gospodarki socjalisty-

cznej? Czy wiedzą, że oni na pustyniach, na niezmierzonych stepach wznoszą kolosy techniki, aby wyrwać z nędznego bytowania miliony ludu wyzwolonego przez rewolucję, by go dźwignąć na poziom kulturalny? Czy wiedzą o ich pięciolatce realizowanej z nie dającym się opisać entuzjazmem? Że miliony młodzieży i starszych robotników gotowe są do wszelkich ofiar, by dokonać dzieła, jakiego świat cywilizowany nie widział? Dziś cały lud pracujący w Sowietach myśli, żyje i pracuje tylko dla pięciolatki. Czy proletariat międzynarodowy w dostatecznej mierze docenia znaczenie tego dzieła i poświęcenia?

Twierdząca odpowiedź Ewy i zapewnienie, że ona jako naoczny świadek będzie uważała za swój obowiązek społeczny stwierdzić zawsze i wszędzie swój podziw dla ich wytrwałości i męstwa w podejmowaniu śmiałych planów i niesłychanego twórczego entuzjazmu, wywołały wielkie ożywienie wśród słuchaczy. „Trzeba by tu posiedzieć z wami i pracować czas dłuższy — mówiła Ewa — aby wniknąć w cały system i zbadać, jak dalece zmienił się człowiek przy tych zaczątkach nowego ustroju — czy świadomość pracy dla przyszłości, zniesienie wyzysku przeorały już duszę robotnika, czy narodził się już n o w y t y p c z ł o w i e k a pracującego z umiłowaniem dla korzyści ogółu, a nie z obawy głodu, z musu — słowem, czy jest już człowiek wyzwolony".

### Płomień życia

Aleksander Andrejew — artykuł z *Pokolenia* nr 23.

Rok II — 1949

Kołchoz „Płomień" obwodu moskiewskiego obchodził niedawno swoje dwudziestolecie. Szczęśliwi, świątecznie przyodziani kołchoźnicy szli przez wieś drogą prowadzącą do szkoły na uroczyste zebranie. Wieś i pola otaczały ze wszystkich stron gaje brzozowe — wiosna, jak gdyby podkreślając świąteczny nastrój ludzi, zapaliła w nich zielone, radosne ogniki liści.

20 lat — to cała epoka znamionująca przełom, potężny ruch wielomilionowych mas chłopskich w stronę nowego życia, to próba siły gospodarki socjalistycznej i ustroju kołchozowego. 20 lat temu zorany został ugór życia chłopskiego, całkowitej nędzy, biedy odwiecznej, nieurodzajów, klęsk. Chłopi wsi Awdotino pierwsi w swoim rejonie zjednoczyli się w spółdzielnię i dzięki swej pracy zdobyli zaszczytne czołowe miejsce. Od samego początku i aż po dzień dzisiejszy duszą i kierownikiem tej spółdzielni jest Eudoksja Terentiewna Jegorowa, jak ją tu po prostu nazywają — „babka Dunia", człowiek wielkiego serca i ducha, żyjąca na świecie już trzy czwarte wieku.

Szkolna orkiestra dęta odegrała hymn państwowy. Ludzie stali z rozjaśnionymi twarzami, pełni dumnej świadomości, że to oni na zlecenie i pod kierownictwem partii zbudowali nowe życie, twórczością natchnioną i siłą rąk swoich przeistaczając ziemię radziecką w kwitnący sad.

Jeden po drugim wchodzili na trybunę mówcy. Ze wzruszeniem i ogniem mówili o latach wspólnie przeżytych w jednej rodzinie, o przezwyciężonych trudnościach, o jedności celu zespalającej ludzi w cudownie zbudowany roboczy organizm.

Wszystkie swoje siły i umiejętności oddaje Eudoksja Jegorowna kołchozowi. I zebranie powzięło uchwałę, żeby przyznać jej dożywotnią rentę — 350 pracodniówek rocznie od chwili, gdy ze względu na swój sędziwy wiek nie będzie już mogła kierować kołchozem i przejdzie na emeryturę. Kołchoźnicy wręczyli jej w podarunku odbiornik radiowy, zaś Komitet Rejonowy Partii — zegarek na rękę.

Eudoksja Jegorowna wyszła zza stołu, malutka i siwa, w chustce zawiązanej po chłopsku — pod szyją, popatrzała na salę tak, jak patrzy matka na swoje dzieci i wszystkim nisko aż do samej ziemi się pokłoniła — ludowi kłaniać się nie wstyd — wyszeptała „dziękuję" i zapłakała. A ludzie stali dokoła niej i długo nie przerywali oklasków: kochają ją za jej rozum, za bezinteresowność, za głęboką troskę o człowieka, za oddanie wspólnej sprawie.

Eudoksja Terentiewna weszła na mównicę, położyła przed sobą ręce i nie głośno, lecz wyraźnie i z uczuciem wygłosiła swoje przemówienie.

Nasz kołchoz ukończył 20 lat — dobry to wiek.

I oto ja, najstarsza w rodzinie, niezmienna przewodnicząca tego kołchozu — pragnę podzielić się w tym wielkim dla nas dniu tym, co przemyślałam w ciągu swego długiego i, powiem nie ukrywając, trudnego życia — ukończyłam już 74 lata.

Nic nie ma droższego, milszego, bardziej niezawodnego, jak szczęście, które przychodzi ścieżką pracy, które zdobywa się własnymi rękami, które rodzi się w pracy, w cierpieniach i w trwodze. Od niepamiętnych czasów między człowiekiem a szczęściem leżała przepaść. Obecnie tej przepaści u nas nie ma — człowiek radziecki osiągnął swoje szczęście, zrósł się z nim i stał się najszczęśliwszy na świecie. Chłopu radzieckiemu most przez tę przepaść przerzucił kołchoz.

Na naszej dzisiejszej uroczystości wypowiedziano wiele pięknych słów. Ale mnie, starej kobiecie, szczególnie trafiły do serca słowa sekretarza naszej organizacji komsomolskiej, Dusi Drozdowej, rówieśnicy kołchozu. Powiedziała, że oni — młodzi — nie znają biedy, żyją w dostatku, że wdzięczni są swoim ojcom i matkom, którzy kołchoz ten stworzyli.

I naprawdę, żyjemy teraz w dostatku, mamy wszystko. Mamy ziemię — naszą własną na wieczne czasy. Śród gajów brzozowych rozpostarła się wieś Awdotino — nasze spółdzielcze gospodarstwo, można powiedzieć nasze posiadłości. Domy są pod blachą, zasieki w spichrzach pełne są zboża, na pastwiskach stada bydła, w polu pracują maszyny. Dzieci nasze obute, odziane, syte, nauczyciele kształcą ich na ludzi.

I oto chciałabym powiedzieć: nie cud jakiś wszystko to nam stworzył. Nie na białym rumaku i nie w złotej karecie wjechaliśmy w to nasze królestwo... O, nie! Dwadzieścia lat temu ściągnęliśmy do kołchozu z ośmiu zagród trzy konie i dwie krowiny — cały majątek poprzedniego chłopskiego gospodarstwa. A i tych bydląt nie było gdzie zapędzić.

Z tym zaczęliśmy żyć. I teraz to nasze życie tak mi się przedstawia: niby długo, z trudem, cierpliwie wspinaliśmy się po stromym zboczu i oto weszliśmy na szczyt — i otwarło się nagle przed nami wszystko, zrobiło się jasno na wszystkie cztery strony, kędy się człowiek obróci — i zobaczyliśmy nasze życie, może być, i na sto lat naprzód. Ludzkie to i jasne życie.

Wstanę wcześnie, wyjdę rankiem z izby, a nad ziemią jakby niebieski dym się ściele. A brzozy, jabłonie niczym panny młode strojne, na listeczkach kropelki rosy błyszczą. I wszystko czeka aż słoneczko wyjrzy, aby zagrać, a zaśmiać się. A słońce za lasem tylko promienie naciągnęło niby przędzę — masz, tkaj — mówi — szykuj, upiększaj ziemię. I słychać w ciszy, jak wyjeżdżają w pole maszyny, grają motory...

Wszystko to zobaczyłam dopiero teraz, u schyłku lat. Zamłodu na lubowanie się pięknem — czasu nie było: bieda, zwyczajna stara chłopska bieda wisiała nad głową niczym chmura, zasłoniła światło i — wydawało się, że nigdy już się nie przejaśni.

Lecz uderzył grom — przyszła rewolucja!

Trudno mi wyrazić, co dała władza radziecka kobiecie. Mężczyźnie bez władzy radzieckiej także było ciężko, ale on bądź co bądź jest mężczyzną, jest silniejszy, sprytniejszy. Lecz kobiecie bez władzy radzieckiej — ciemnota, katorga. Nie patrząc na to, że mam już 74 lata, za dzień moich urodzin uważam październik 1917 roku.

W 1918 r. chłopi wybrali mnie do rady wiejskiej, a po roku zostałam przewodniczącą. W 1920 r. poszczęściło mi się. widziałam Włodzimierza Iljicza Lenina. Było to w Teatrze Wielkim, na naradzie przewodniczących powiatowych, gminnych i wiejskich komitetów wykonawczych obwodu moskiewskiego. Włodzimierz Iljicz wciąż chodził po scenie tam i z powrotem i wciąż mówił: objaśniał nam sytuację międzynarodową. Wszystkiego, rzecz jasna, nie mogłam zapamiętać. Ale jedno zapamiętałam na całe życie: „...własność dzieli ludzi i zwierzęta, a praca jednoczy" — powiedział Lenin.

Tak, teraz widzę — praca jednoczy ludzi, zbliża ich.

Do roku 1930 byłam przewodniczącą Rady Wiejskiej. W latach 1927 — 29 wchodziłam w skład Rządu Robotniczo-chłopskiego, byłam członkiem Wszechzwiązkowego Centralnego Komitetu Wykonawczego. Będąc w Radzie Wiejskiej miałam możność obserwować nieszczęsne życie chłopów, widziałam, jak walczą ze swoją chłopską biedą — bo bieda ta, jak cię już raz osiodła, to nie szybko ją z grzbietu strącisz — dzielili jednego konia na trzy zagrody. I zrozumiałam — trzeba połączyć się w stowarzyszenie.

W tym czasie przyjechał do wsi z rejonu przedstawiciel, człowiek wielkiego ducha, komunista. Zwołaliśmy ludzi i ogłosiliśmy: kto chce żyć po nowemu, pracować zespołowo — niechaj się zapisuje. No, i zaczęło się... Dosłownie przez ucho igielne przechodzili ludzie do spółdzielni — ze wzdychaniem, z oglądaniem się na boki. Chłopi rozważali: „Czy też będzie korzyść z tego przedsięwzięcia, jakby się tu nie pomylić: na świecie nie ma takiego kołchozu — modelu, żeby z niego miarę zdjąć. Samemu wypadnie majstrować". A ja odpowiadałam: a dla władzy radzieckiej czyśmy to miarę zdejmowali? Uczyliśmy się u kogokolwiek? Nie było na świecie władzy radzieckiej. Samiśmy zbudowali. I kołchozy sami zbudujemy.

Wreszcie skleciliśmy tę naszą spółdzielnię. Geometra odmierzył nam ziemię. I tak zaczęliśmy żyć.

Długo sprzeczaliśmy się, jak nazwać nasz kołchoz. I daliśmy mu nazwę „Płomień", by w żarze tego płomienia doszczętnie zgorzała cała przeszłość przeklęta, chłopski żebraczy los, babska dola nieszczęsna, analfabetyzm, ciemnota i zacofanie kulturalne. I żeby ten płomień rozjaśnił nasze nowe życie. Z początku to był, oczywiście, nie płomień, tylko mały płomyczek — 8 zagród. Ale z czasem przemienił się w całe ognisko. Ognisko to rozpaliła ręka naszego drogiego wodza i nigdy jego płomień nie zgaśnie.

Drzewo, zasadzone naszymi rękami w latach powszechnej kolektywizacji, puściło korzenie głęboko w ziemię, rozrosło się, szumi nad głową, daje owoce.

Kiedy obejrzę się za siebie i popatrzę na wszystko, cośmy przeszli — duma mię ogarnia. Jak myśmy mogli podołać wszystkiemu? Z jaką obawą człowiek zabierał się wtedy do rzeczy! Ale my zabraliśmy się i zrobiliśmy! Tam, gdzie myliliśmy się, partia poprawiała, gdzie dobrze szło — partia chwaliła. Bez pomocy partii nie moglibyśmy wykonać takiej roboty.

Wymienialiśmy się doświadczeniami, radziliśmy sobie wzajemnie, pomagaliśmy sobie i współzawodniczyliśmy o lepsze wyniki. Każdy rok odznaczał się u nas czymś nowym: to chlew postawimy, to spichrze nowe, samochód kupimy.

Wszystkim, co matka może mieć najdroższego — są dzieci. Miałam trzech synów. Dwaj z nich — Alosza i Wasia — byli nauczycielami, a młodszy, Iwan, był jeszcze studentem. Teraz nie mam ani jednego — wszyscy zginęli na wojnie. Pojmijcie ból i mękę matki, której wyrywają z piersi żywe kawały serca: zawiadomienia przychodziły jedno po drugim i raziły w samo serce. Nie, nie łzami koiłam siebie — łzami bólu nie zalejesz! Pracą swój ból zagłuszałam. Pracowałam dniami i nocami, aby tylko kołchoz dawał więcej żywności naszej Armii Czerwonej, naszej Ojczyźnie.

Będziemy z dnia na dzień pracować jeszcze lepiej, jeszcze bardziej zgodnie, aby dojść do bogactwa i siły.

Nasza gospodarka nie zatrzymuje się w miejscu, idzie naprzód, poziom przedwojenny już nam nie wystarcza.

W kołchozie wyrosło nowe pokolenie specjalistów — agronomów, zootechników, traktorzystów. Porównywam wiosnę 1929 roku i wiosnę tegoroczną. Wielki szmat drogi przeszliśmy. Dawno już wprowadziliśmy dziewięciopolowy płodozmian!

Uczony, agronom w kołchozie — już nie jest osobliwością, gościem. Nie, on siedzi teraz na jednej ławce z nami i razem decydujemy o losach urodzaju: on uczy się od nas, my — od niego. Teraz nie czekamy od ziemi zmiłowania, lecz rozkazujemy jej — i ziemia rodzi.

Mamy teraz swoich mechaników, agronomów, zootechników, ogrodników, pszczelarzy, elektromonterów. Zbudowaliś-

my elektrostację na rzecze Siewierce. Jasno zrobiło się w izbach chłopskich, w komorach, w stajniach i na dworze. Elektrycznością poruszana jest młocarnia, sortownik, młyn, tartak.

Wiosnę przywitaliśmy należycie: na czas zasiane zostały pszenica, owies, jęczmień, wyka, groch, posadziliśmy ziemniaki. Zamiast 79 ha według planu, zasieliśmy 105: zoraliśmy ugory. W dwudziestym pierwszym roku istnienia kołchozu postanowiliśmy zebrać najwyższy urodzaj. I zbierzemy!

Mili moi ludzie, w ciągu tych dwudziestu lat staliście się mi tak bliscy, że nie ma dla mnie nic droższego od was... Ile trudnych chwil przeżyliśmy razem! I tak zaprzyjaźniliśmy się, tak zbliżyli, że teraz już jeden bez drugiego w żaden sposób nie da rady.

Ziściły się słowa Lenina: praca zjednoczyła ludzi radzieckich. Zjednoczyliśmy się wokół towarzysza Stalina i żadna siła nas nie rozłączy. Płomień życia kołchozowego nigdy nie zgaśnie!

# W NIEPODLEGŁEJ POLSCE DEMOKRACJI LUDOWEJ

## MANIFEST POLSKIEGO KOMITETU WYZWOLENIA NARODOWEGO DO NARODU POLSKIEGO

(Załącznik do Dziennika Ustaw R. P. z r. 1944, nr 1)

(Wyjątki)

Rodacy!

W imieniu Krajowej Rady Narodowej Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego obejmuje władzę na wyzwolonych terenach polskich. Ani chwili na ziemi polskiej uwolnionej od najazdu niemieckiego nie może działać żadna inna administracja prócz polskiej. Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego sprawuje władzę poprzez wojewódzkie, powiatowe, miejskie i gminne rady narodowe i przez upełnomocnionych swych przedstawicieli. Tam, gdzie rady narodowe nie istnieją, demokratyczne organizacje obowiązane są natychmiast powołać je do życia, włączając w ich skład cieszących się zaufaniem ludności Polaków - patriotów niezależnie od ich poglądów politycznych...

Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego przystępując do odbudowy państwowości polskiej deklaruje uroczyście przywrócenie wszystkich swobód demokratycznych, równości wszystkich obywateli bez różnicy rasy, wyznania i narodo-

wości, wolności organizacji politycznych, zawodowych, wolności prasy, sumienia. Demokratyczne swobody nie mogą jednak służyć wrogom demokracji. Organizacje faszystowskie, jako antynarodowe, tępione będą z całą surowością prawa...

Rodacy! Aby przyśpieszyć odbudowę kraju i zaspokoić odwieczny pęd chłopstwa polskiego do ziemi, Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego przystąpi natychmiast do urzeczywistnienia na terenach wyzwolonych szerokiej reformy rolnej...

Rodacy!

Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego stawia przed sobą jako bezpośrednie zadanie natychmiastową poprawę bytu szerokich rzesz narodu...

Rodacy!

Jednym z najpilniejszych zadań Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego będzie na terenach oswobodzonych odbudowanie szkolnictwa i zapewnienie bezpłatnego nauczania na wszystkich szczeblach. Przymus powszechnego nauczania będzie ściśle przestrzegany. Polska inteligencja zdziesiątkowana przez Niemców, a zwłaszcza ludzie nauki i sztuki zostaną otoczeni specjalną opieką. Odbudowa szkół zostanie natychmiast podjęta...

Rodacy!

Stoją przed nami gigantyczne [1]) zadania.

Będziemy je realizować dalej nieugięcie i zdecydowanie. Odrzucimy precz warchołów, agentów reakcji, którzy przez rozbijanie jedności narodowej, przez próby prowokowania warstw między Polakami idą na rękę hitleryzmowi.

Zadanie wyzwolenia Polski, odbudowy państwowości, doprowadzenia wojny do zwycięskiego końca, uzyskania dla Polski godnego miejsca w świecie, rozpoczęcia odbudowy zniszczonego kraju — oto nasze zadania...

Niech żyje Polska wolna, silna, niepodległa, suwerenna i demokratyczna!

Lublin, 22 lipca 1944 r.

---

[1]) Olbrzymie

## Wolność i rewolucja

Józef Cyrankiewicz

Józef Cyrankiewicz — prezes Rady Ministrów (premier) w odrodzonej Polsce od r. 1947. Z wykształcenia prawnik, wychowaniec uniwersytetu w Krakowie w czasie studiów członek Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej i organizator lewicowej pracy PPS wśród robotników. Uwięziony przez Niemców w Oświęcimiu, był przewodniczącym międzynarodowej organizacji oporu wśród więźniów.

Wyzwolenie szło od wschodu. Szło potężnymi uderzeniami następujących po sobie ofensyw radzieckich. Od Stalingradu, łamiąc raz po raz kolejne linie niemieckiego oporu, szła Armia Czerwona ku sercu hitlerowskich Niemiec, ku Berlinowi. „Tysiącletnia Rzesza" waliła się w gruzy. Za żołnierzem radzieckim szła wolność. Koniec koszmaru okupacji. Ratunek przed ostateczną, fizyczną zagładą z rąk hitlerowskiego najeźdźcy. I jeszcze coś więcej. Niepodległość i Rewolucja społeczna.

Na pierwszym skrawku wyzwolonej polskiej ziemi budowała się polska władza. I zaczynała się polska rewolucja. Głosił to wszem wobec Manifest Lipcowy Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Tylko że tym razem nie skończyło się na manifeście. Jeszcze na prawym brzegu Wisły toczyły się walki, a już chłopi dzielili obszarniczą ziemię. Jeszcze Niemcy kontratakowali przez Wisłę, a już robotnicy obejmowali fabryki na społeczną własność.

Reforma rolna i uspołecznienie fabryk były zawsze symbolami polskiej rewolucji. W owych miesiącach letnich i jesiennych 1944 roku symbole oblekały się wreszcie w żywy kształt. Już nikt nie mógł mieć żadnych wątpliwości, jaka to Polska powstaje.

Od Chełma i Lublina wolność i rewolucja szły na zachód w ślad za zwycięskimi oddziałami sprzymierzonych wojsk radzieckich i polskich. Trzeba było jeszcze pół roku bez mała, zanim dotarły do Warszawy. Rankiem 17 stycznia 1945 wolność i rewolucja wkroczyły w granice Warszawy.

Nie było w tej wojnie drugiego takiego wyzwolenia. Bo przecież wyzwolono nie miasto, lecz cmentarz. Cmentarz, na którym legło w gruzach samo miasto, a pod gruzami ćwierć miliona jego mieszkańców, tych, co padli z bronią w ręku, i tych, co zginęli bezbronni, tych, co walczyli w powstaniu, i tych, co walczyli w pułapce getta, i tych, których dosięgła zemsta hitlerowskiego okupanta.

Warszawę zburzyła ręka niemieckiego najeźdźcy i tego faktu nic nie zdoła wymazać z rejestru hitlerowskich zbrodni. I nic nie zdoła osłabić odpowiedzialności zbrodniarzy, czy usprawiedliwić ich bezprzykładnego przestępstwa.

Wyzwolona Warszawa stała się znowu stolicą Polski, stolicą wolności i stolicą polskiej rewolucji społecznej.

## 17 stycznia

### Leopold Lewin

Leopold Lewin — współczesny poeta, wydał przed wojną tomik poezji. W czasie wojny był w Rosji. Wrócił do kraju z Dywizją Kościuszkowską.

W okrzyku rozwarte usta,
Na Polskę entuzjazm ponieście!
Dywizje druga i szósta
Już na rogatkach! Już w mieście!

Choć potrzaskane mury,
Lecz ona nigdy nie zginie —
Znajome, drogie mundury
Zakwitły dziś na ruinie.

Z ogniem wzruszenia na twarzy
Idą wśród domów-szkieletów,
Przynieśli miastu cmentarzy
Wolność na ostrzach bagnetów.

Mocne, żołnierskie słowo
Padło na bruk ulicy —
I zabiło, zabiło na nowo
Serce męczeńskiej stolicy.

## Podstawy gospodarczo - społeczne nowego ustroju Polski

Stworzona po II wojnie światowej Demokratyczna Rzeczpospolita Ludowa zerwała radykalnie z ustrojem gospodarczym Polski przedwojennej. Już w roku 1944, natychmiast po oswobodzeniu wschodniego skrawka ziemi polskiej, władzę w ręce ujęło przedstawicielstwo ludu pracującego miast i wsi. Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, ogłaszając i przeprowadzając reformę rolną we wrześniu 1944, wytknął nowe drogi rozwojowe, których dzisiejszym wyrazem jest budowa państwa socjalistycznego.

Najważniejsze rewolucyjne posunięcia demokratycznego rządu polskiego to — socjalizacja przemysłu, reforma rolna i organizacja gospodarki planowej.

Reforma rolna została przeprowadzona we wschodniej części Polski dekretem Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego 6 września 1944. Postanawia ona utworzenie Państwowego Funduszu Ziemi z ziem stanowiących własność państwa, własność Niemców i osób, które współpracowały z okupantem, wreszcie z ziem obywateli Polaków posiadających więcej, niż 50 ha [1]). Z tego funduszu czerpie się na nowe, samodzielne gospodarstwa rolne oraz powiększa się gospodarstwa karłowate do 5 ha. Oczywiście od razu rezerwuje się odpowiednie tereny dla szkół oraz ośrodków szerzenia kultury rolnej. Reforma ta przeprowadzona została bardzo szybko i energicznie przy współudziale komisji gminnych reformy rolnej.

Po oswobodzeniu od Niemców Warszawy 18 stycznia 1945 został wydany jednolity tekst reformy rolnej dla całej Polski i znów szybko w czyn wprowadzony. Tak dokonała się reforma

[1]) Na zachodzie 100 ha.

od dawna w Polsce upragniona przez chłopów, wysuwająca ich jako prawdziwych wespół z klasą robotniczą gospodarzy kraju.

Sprawiedliwy podział ziemi to jednak dopiero początek reformy społecznej wsi. Plan 6-letni przewiduje ponadto uspołecznienie gospodarki wsi przez popieranie spółdzielczości wytwórczej, przez przekształcanie państwowych majątków rolnych we wzorcowe ośrodki promieniowania kultury rolnej oraz przez uprzemysłowienie wsi.

Drugą zasadniczą reformą społeczną jest ustawa z grudnia 1945 r. „o przejęciu na własność państwa podstawowych gałęzi gospodarki narodowej". Państwo przejęło bez odszkodowania przedsiębiorstwa przemysłowe górnicze, komunikacyjne, bankowe, ubezpieczeniowe i handlowe, które należały do Rzeszy niemieckiej i b. Wolnego M. Gdańska, a z odszkodowaniem, płatnym po roku — przedsiębiorstwa zatrudniające więcej niż 50 robotników. Dzięki tej reformie państwo prowadzi przedsiębiorstwa, z których dochód idzie na rozbudowę przemysłu, odbudowę i przebudowę kraju gospodarczą, społeczną i kulturalną.

Jeszcze przed wydaniem ustawy o uspołecznieniu przemysłu, bo już 6 lutego 1945 r. ogłoszony został dekret o radach zakładowych, przy pomocy których robotnicy biorą bezpośredni udział w kierowaniu produkcją. W ten sposób oni stają się właścicielami fabryk i przedsiębiorstw odebranych prywatnym kapitalistom i burżuazyjnemu państwu. Dekret o radach zakładowych daje robotnikom prawo wglądu w sposób prowadzenia przedsiębiorstwa oraz normowania warunków pracy. Po nowelizacji dekretu (w styczniu 1947) rady zakładowe stają się ponadto ogniwem związków zawodowych, zyskują oparcie w masowym ruchu zawodowym, co im pozwala wyjść poza ramy jednego przedsiębiorstwa czy fabryki i działać na o wiele szerszej płaszczyźnie społecznej.

Rady zakładowe są organem demokratycznym — przedstawicielstwem robotniczym, wybieranym przez ogół robotni-

ków i pracowników każdego przedsiębiorstwa. Według dekretu z 1945 r. dyrekcja przedsiębiorstwa powinna prowadzić wspólne narady z radą zakładową co do „podniesienia wydajności i dyscypliny pracy, bezpieczeństwa i higieny pracy, nowych ulepszeń technicznych i organizacyjnych. Co kwartał rada zakładowa powinna dostawać sprawozdanie z działalności zakładu pracy". Do obowiązków rad należy udział w naradach wytwórczych, w komisjach usprawnień i wynalazków, w premiowaniu przodowników pracy. One też powinny kontrolować urządzenia społeczne (żłobki, przedszkola, świetlice itp.).

Najszerszą organizacją proletariatu, wiążącą wszystkich robotników i pracowników, są z w i ą z k i z a w o d o w e — ta szkoła zarządzania socjalistycznym przemysłem. Przyczyniają się one walnie do odbudowy i przebudowy kraju, a co za tym idzie, do dobrobytu mas pracujących. One rzuciły hasło pracowania prędzej, lepiej i taniej. One też prowadzą akcję oświatową w świetlicach robotniczych, one organizują wczasy robotnicze. One tworzą nowego człowieka w nowej socjalistycznej kulturze. One nade wszystko wysuwają klasę robotniczą na pierwszy plan w gospodarce przemysłowej.

Koroną reform społecznych nowej Polski jest p l a n g o s p o d a r c z y wyznaczający drogi nie tylko odbudowy kraju, ale i przebudowy ustroju na socjalistyczny, w którym wspólna praca zaspakaja potrzeby wszystkich obywateli. Plan 3-letn 1947—1949 zostanie wykonany z nadwyżką dzięki współzawodnictwu pracy, które ogarnęło jak płomień ludność pracującą. Od początku 1950 do końca 1955 wykonany zostanie opracowany już Plan 6-letni.

Plan to jest uporządkowanie i zwiększenie produkcji przemysłowej i rolnej i dopasowanie jej do potrzeb państwa. Plan to racjonalna organizacja podziału bogactw za pośrednictwem handlu państwowego i spółdzielczego, plan to gospodarowanie produkcją i ludźmi. Plan obejmuje nie tylko sprawy gospodarcze, rozbudowę przemysłu, rolnictwa i komunikacji, ale i organizację szkół i oświaty, kultury, nauki, lecznictwa, higieny itp.

Plan 6-letni, który, według określenia min. Minca, ma być „planem budowy podstaw socjalizmu", przewiduje:

Wzrost produkcji przemysłowej o 85—95%, wzrost produkcji rolniczej o 35—45%, zaopatrzenie wsi w 50 000—60 000 traktorów, 10 000 gromad w elektryfikację, budowę 520 000 nowych izb mieszkalnych dla ludności pracującej. W dziale oświaty i kultury przewiduje plan pełną szkołę podstawową dla wszystkich dzieci, możność dalszego kształcenia się dla połowy dzieci. Ilość punktów bibliotecznych ma wzrosnąć 4-krotnie (z 5 000 na 20 000). W zakresie zdrowia publicznego przewidziany jest wzrost liczby łóżek szpitalnych o 14 000, liczba lekarzy ma dojść do 16 000, a ośrodków zdrowia na wsi do 2 000. Wczasy pracownicze mają obejmować milion osób rocznie.

Jak widać, plan obejmuje wszystkie dziedziny życia szerokich mas, ich kulturę i potrzeby umysłowe. Z przeglądu najważniejszych reform społecznych i gospodarczych wynika, że po wojnie w Polsce demokratycznej, wysuwają się na plan pierwszy robotnicy i chłopi jako gospodarze nowego ustroju sprawiedliwości społecznej. W ich ręce oddaje się przyszłość Polski.

Wł. Sz.

## Plan i produkcja węgla

Jan Kott: *Węgiel*

Jan Kott — współczesny krytyk literacki i publicysta zajmujący się przejawami życia społecznego i gospodarczego w Polsce demokratycznej. Badał szczegółowo produkcję węgla.

27 stycznia 1945 r. uwolnione zostały Katowice i Sosnowiec. 27 stycznia we wszystkich kopalniach zaczęła się toczyć walka z ogniem i wodą. 28 stycznia wydobyto 5 pierwszych ton węgla. 2 marca rozpoczął pracę Centralny Zarząd Przemysłu Węglowego. W połowie marca wydobycie sięgnęło 25 000 ton dziennie. Od pierwszego kwietnia całość procesów technicznych i gospodarczych w dziedzinie wydobywania węgla zostaje podporządkowana planowi. Jeszcze parę cyfr: maksymalna zdolność produkcyjna naszego zagłębia węglowego szacowana jest na 100 milionów ton rocznie. W ciągu 10 mies.

r. 1945 wydobyliśmy przeszło 20 milionów ton. Plan na rok 1946 przewiduje wydobycie 46 milionów, na rok 1948 — 63 miliony, na rok 1949 — 75 milionów, na rok 1956 — przekroczenie 80 milionów.

Na czym polega planowanie? Na stopniowym i celowym usuwaniu dysproporcji technicznych. Techniczny proces wydobycia uzależniony jest od określonej ilości elementów; planowanie jest to takie łączenie poszczególnych elementów produkcji z sobą, aby zmniejszyć straty do minimum. Elementy to: prace przygotowawcze i potencjał energetyczny kopalni, ludzie i narzędzia, kopalniaki i materiał wybuchowy. Brak któregokolwiek z tych elementów tworzy natychmiast „korek"; planowanie — to zapobieganie tworzeniu się „korków".

P r z y k ł a d: Podstawowym warunkiem wydobycia węgla jest dokonanie prac przygotowawczych. Prace te są długie, ciężkie i kosztowne. Jeżeli ich nie będziemy wykonywać zwiększymy co prawda gwałtownie bieżącą produkcję węgla, ale po krótkim czasie dalsze wydobycie będzie uniemożliwione. Jeżeli natomiast całość wysiłków poświęcimy wyłącznie na wykonanie prac przygotowawczych, zahamujemy całkowicie bieżące wydobycie. Planowanie — to właśnie ustalanie proporcji pomiędzy tym, co jest potrzebne dziś, a tym, co będzie potrzebne jutro.

Wydobycie dzienne wzrosło w ciągu 10 miesięcy z 5 000 ton do 14 000 ton, wydajność pracy z 469 kg dziennie na jednego robotnika do 938 kg. Oto są skutki planowania.

Jeżeli porównać tempo rozbudowy naszego przemysłu węglowego po tej i tamtej wojnie, okaże się, że w ciągu niespełna roku dokonaliśmy pracy lat czterech. Dzięki jednolitemu planowaniu uniknęliśmy wszystkich strat związanych z zamykaniem kopalń, z dowolnym ustalaniem ilości wydobycia i eksportu, z konkurencją zakupów i sprzedaży. Taka jest wymowa gospodarcza unarodowienia kopalń, dzięki któremu może powstać jednolite kierownictwo i centralny plan.

## Śląsk śpiewa

Julian Tuwim: *Śląsk śpiewa*

Julian Tuwim — współczesny poeta, którego poezje odznaczają się wielką melodyjnością, rytmicznością i tzw. harmonią naśladowczą, tj. zastosowaniem dźwięków i rytmu przypominających to, o czym się pisze. Trzeba tylko wyraźnie wiersz czytać.

Słyszycie, jak huczą młoty,
Turbiny turkotem turkocą?

Pracują dniem i nocą,
Wre głuchy rytm roboty.

Dymią się bure kominy,
Piece hutnicze płoną,
Dudnią, dudnią maszyny;
Łuną palenisk czerwoną
Czarna zasnuwa się dal.

Śląsk śpiewa!
Głos ma węgiel i stal!

W trzewiach ziemi rytm twardy,
Głucho walą kilofy, oskardy,
Stuk uparty, łomot w skały
Ziemi hardej wyrywa kawały.

Na dół, do góry,
Do góry, na dół,
W grób sztolni,
W mroczny padół.

Dźwigają czarne, kamienne plony
Ludzie podziemi, śląskie pierony [1].

[1] Pieron na Śląsku to dobrotliwe wymyślanie — zmieniony wyraz piorun

Windy, świdry jeżdżą ze zgrzytem,
Wiercą, rąbią w ziemi rozrytej,
Węgiel, węgiel niosą z głębiny
Na żer spragnionej ruchu maszyny.

Maszyna śpiewa:
Już, już, drgnęłam, żyję,
Już, już, motorem biję.
Ogniem błysnął pęd — duch,
Zawył, świsnął ruch — ruch,
Świst, świst, łoskot stalowy,
Zgrzyt, zgrzyt, równy miarowy,
Koła wzębione w zębate szyny,
Tłoki, pompy, tłoki — turbiny,
Drgają
raźnym
rytmem
żelaznym,
Warczy, turkoce serce maszyny.

## Sprawa wykształcenia robotników przemysłowych

Kwestia kwalifikacji potrzebnych w nowoczesnym, zracjonalizowanym przemyśle była w okresie międzywojennym szeroko dyskutowana i jest bardzo ważna w nowych, socjalistycznych warunkach gospodarczych i społecznych.

Nowoczesna racjonalizacja pracy opiera się na dwóch czynnikach: 1) na podziale pracy, 2) na użyciu skomplikowanych narzędzi pracy. Zastosowanie precyzyjnych maszyn wymaga od robotnika odpowiedniego wykształcenia.

Praca w nowoczesnej fabryce ma znacznie więcej elementów umysłowych niż fizycznych. Jest to praca, przy której zaciera się różnica pomiędzy robotnikiem a inżynierem.

Wynika stąd, że praca robotnika wykwalifikowanego wymaga stosunkowo dużego teoretycznego przygotowania. Jak się ma jednak sprawa z wciąż jeszcze bardzo liczną rzeszą nie-

wykwalifikowanych? Czy wykonywanie kilku prostych ruchów przy maszynie istotnie nie wymaga żadnego przygotowania, jak się to na pozór wydaje? Sąd taki, szeroko rozpowszechniony w społeczeństwie, jest bardzo powierzchowny. Współczesna skomplikowana maszyna wymaga od wszystkich, którzy mają z nią do czynienia, odpowiedniego przygotowania.

Jest to, rzecz prosta, przygotowanie zupełnie inne niż terminowanie w rzemiośle za dawnych czasów. Długoletnie szkolenie w zakładzie pracy nie jest bynajmniej potrzebne robotnikowi współczesnemu.

W zakładach Forda już przed wojną zaledwie 1% robotników musiał terminować dłużej niż rok, 43% mogło się nauczyć swego zadania w ciągu kilku godzin, 36% — w ciągu 1 dnia do tygodnia. Tylko 6% terminowało tam od 1 do 2 tygodni, a 14% — od miesiąca do roku. Nie znaczy to jednak, żeby praca u Forda nie wymagała żadnego przygotowania i żeby każdy potrafił ją wykonać. Tylko człowiek o rozbudzonej inteligencji, posiadający pewien zasób wiedzy, może się wyuczyć pracy w fabryce w tak krótkim czasie. Tempo, w jakim robotnik uczy się swego zadania, jest probierzem jego zdatności do pracy. „Większość ludzi, którzy się do nas zgłaszają — pisze Ford — nie ma żadnego fachu. Uczą się swej pracy w ciągu kilku dni, a nawet godzin. Ci, którzy się jej nie nauczą w tym okresie, zawsze będą do niczego“ [1]).

Dlaczego każdy robotnik przy maszynie musi mieć wykształcenie?

Narzędzia precyzyjne wymagają od niego umiejętności skupienia uwagi, opanowania ruchów, wrażliwości wszystkich zmysłów. Właściwości tych nabywa się w szkole. Dawny rzemieślnik, który miał do czynienia z elementarnymi narzędziami, nie potrzebował tego wyszkolenia uwagi i wyostrzenia zmysłów, jakiego wymaga praca przy pomocy nowoczesnych narzędzi.

---

[1]) Henryk Ford: *Moje życie i moje dzieło*

Należy też podkreślić okoliczność, że w dawnym rzemiośle zdobywało się rutynę, która służyła przez całe życie, nie wymagając pracy myślowej, jaka dziś potrzebna jest robotnikowi przystosowującemu się do coraz doskonalszych maszyn a często nawet zmuszonemu do przerzucania się z fabryki do fabryki i z fachu do fachu.

*J. K.*

## Dwie linie rozwoju

### Hilary Minc — Z referatu na Kongresie Zjednoczenia Partii 18 XII 1948

Hilary Minc (ur. 1905) w okresie międzywojennym prześladowany za działalność w Komunistycznej Partii Polski, jeden z założycieli Związku Patriotów Polskich w ZSRR w czasie wojny, należał też do twórców Dywizji im. Tadeusza Kościuszki, wraz z którą przybył w 1944 do kraju. Od 22 lipca 1944, kiedy obejmuje resort ekonomiczny w PKWN, jest ministrem przemysłu. Jest on jednym z twórców przebudowy społecznej i gospodarczej Polski demokratycznej, jest inicjatorem 3-letniego i 6-letniego planu — prowadzi konsekwentnie rozwój gospodarki Polski Ludowej w kierunku socjalizmu.

Melancholijne rozważania prasy angielskiej przy zestawianiu sytuacji w Polsce z sytuacją w ich własnym kraju są poważnie uzasadnione. Istotnie, jeśli porównać sytuację w krajach demokracji ludowej, wśród których jedno z czołowych miejsc zajmuje Polska, z sytuacją w krajach kapitalistycznych objętych planem Marshalla, to widać wyraźnie dwie odrębne linie rozwoju: linię krajów demokracji ludowej, linię postępu i szybkiego, a czasem burzliwego wzrostu wszystkich wskaźników życia gospodarczego i linię krajów zmarshallizowanych, kapitalistycznych, krajów uległych dyktatowi imperializmu amerykańskiego, linię upadku, degradacji, a w najlepszym razie dreptania w miejscu, linię spadku wszystkich wskaźników życia gospodarczego.

W krajach demokracji ludowej szybko rozwijająca się produkcja przemysłowa przekroczyła poziom przedwojenny. W straszliwie zniszczonej Polsce poziom produkcji przedwojennej został przekroczony o 50 proc. Jakże inaczej wygląda sytuacja w krajach planu Marshalla [1]). Indeks [2]) produkcji przemysłowej we Włoszech wynosił w I kwartale 1948 r. 63% w stosunku do okresu przedwojennego. We Francji wskaźnik produkcji spadł w październiku roku bieżącego do 92% w porównaniu z rokiem 1938. W Anglii, która nieco przekroczyła produkcję przedwojenną, obserwuje się stałą tendencję zniżkową.

W krajach demokracji ludowej zostało zlikwidowane bezrobocie. W Polsce klasa robotnicza została wybawiona od straszliwej niepewności jutra wynikającej z klęski bezrobocia. We Włoszech liczba bezrobotnych przekroczyła dwa miliony, a w małej Belgii na początku grudnia bieżącego roku zarejestrowano 200 tysięcy bezrobotnych, co stanowi wzrost o 12 proc. w stosunku do stanu z listopada 1948 r.

W krajach demokracji ludowej osiągnięto stabilizację gospodarczą. W Polsce od połowy 1947 roku obserwujemy pełną stabilizację cen. We Francji w 1947 roku wskaźnik cen detalicznych wynosił 887, a w październiku 1948 r. już — 1 850. Oznacza to, że od 1947 roku do października 1948 roku ceny detaliczne we Francji wzrosły przeszło 2 razy.

W krajach demokracji ludowej rośnie nieprzerwanie, stale, systematycznie płaca robocza. W Polsce poziom płac pracowników przemysłowych przekroczył o 10 proc. stan przedwojenny, a we Francji realne płace robotnicze, które średnio dla roku 1947 wynosiły 70,4 proc. stanu przedwojennego, w październiku 1948 r. spadły do 53,5 proc. stanu przedwojennego.

---

[1]) Czytaj: Marszala
[2]) Wskaźnik

Oznacza to, że realne płace robotnicze we Francji stale i systematycznie spadają i obecnie stanowią tylko niewiele więcej ponad połowę płac okresu przedwojennego.

Tak wyglądają dwie wyraźnie różne, odrębne, zasadniczo odmienne linie rozwoju; u nas, w krajach demokracji ludowej, a w Polsce w szczególności, nieprzerwany wzrost produkcji i znaczne przekroczenie poziomu przedwojennego, tam — spadek produkcji. U nas likwidacja bezrobocia, tam wzrost bezrobocia. U nas — stabilizacja gospodarcza i ustalenie poziomu cen, tam — chaos gospodarczy i stały wzrost cen. U nas — stały i systematyczny wzrost realnych płac i przekroczenie ich przedwojennego poziomu, tam — stały i systematyczny spadek płac realnych.

Z przeprowadzonego bilansu naszego rozwoju gospodarczego w okresie po wyzwoleniu wynika w sposób niewątpliwy, że na froncie gospodarczym odnieśliśmy bezwzględne zwycięstwo, które stanowi pomyślny punkt wyjścia dalszego szybkiego rozwoju, dalszego marszu do socjalizmu. To bezwzględne zwycięstwo może nas wszystkich, całą klasę robotniczą, masy pracujące miasta i wsi, naród polski słusznie napawać poczuciem radosnej dumy.

Odnieśliśmy to zasadnicze zwycięstwo dlatego, że:

P o p i e r w s z e, jesteśmy państwem demokracji ludowej, w którym obalona została władza obszarników i kapitalistów i ustanowiona władza mas pracujących pod kierownictwem klasy robotniczej — najbardziej przodującej klasy narodu. Poprzez państwo demokracji ludowej masy pracujące mają pełną możliwość ukręcać łeb wszelkim próbom i tendencjom nawrotu do ustroju kapitalistycznego i panowania kapitalistów i obszarników.

P o d r u g i e, dlatego, że w ciągu całego okresu naszego istnienia zacieśnialiśmy stosunki szczerej współpracy i przyjaźni ze Związkiem Radzieckim, a dzięki jego pomocy Polska mogła powstać jako państwo demokracji ludowej i rozwijać się ku socjalizmowi.

P o t r z e c i e, dlatego, że jesteśmy składową częścią wielkiego demokratycznego, antyimperialistycznego obozu, na którego czele stoi Związek Radziecki. Oparcie o ten obóz i jego siłę dało nam możność przeciwstawić się skutecznie imperialistycznym próbom okrojenia naszej niepodległości i suwerenności, narzucenia nam imperialistycznego, marshallowskiego dyktanda, zaprzęgnięcia nas do rydwanu imperializmu amerykańskiego i forsowania przezeń odbudowywanego i odradzanego zaborczego imperializmu niemieckiego.

P o c z w a r t e, dlatego, że prowadziliśmy nieprzerwaną walkę z elementami kapitalistycznymi o poddanie ich kontroli, o ograniczenie i wreszcie wypieranie elementów kapitalistycznych. Prowadziliśmy tę walkę mając przed oczyma wielką perspektywę, wielki program likwidacji kapitalizmu, wyrwania z korzeniem wyzysku kapitalistycznego, zniesienia a n t a g o n i s t y c z n y c h [1]) k l a s i zbudowania socjalizmu.

Wszędzie i zawsze, kiedy tę linię stosowaliśmy konsekwentnie [2]), odnosiliśmy zwycięstwo. Wszędzie i zawsze, kiedy nie starczyło nam woli i energii czy dalekowzroczności na konsekwentne stosowanie linii walki z kapitalizmem, ponosiliśmy porażki, opóźniał się nasz rozwój, niebezpieczeństwo zagrażało dalszemu postępowi.

W sumie jednak możemy powiedzieć tu z pełnym poczuciem słuszności i ścisłości, że polityka walki z elementami kapitalistycznymi była drogowskazem całej naszej działalności. Wyraziło się to w sposób jasny na wszystkich odcinkach wielkiej bitwy o odbudowę i rozbudowę gospodarki polskiej i o jej marsz do socjalizmu. Na odcinku przemysłu — w szybkiej odbudowie przemysłu państwowego, zwłaszcza przemysłu środków produkcji, dzięki czemu dominująca pozycja przemysłu socjalistycznego w całości gospodarki naszego państwa została umocniona. Na odcinku rolnictwa — w walce o pomoc dla bied-

[1]) Walczących z sobą, przeciwnych sobie
[2]) Stale

nego i średniorolnego chłopa i ograniczenie wyzysku kapitalistów wiejskich. Na odcinku handlu — w walce o rozbudowę detalicznego handlu państwowego i spółdzielczego, o poddanie surowej kontroli sektora [1]) kapitalistycznego w handlu i ograniczenie jego zysków, w walce o stabilizację cen. Na odcinku finansów — w walce o słuszne rozłożenie ciężarów podatkowych, o słuszny klasowo, ograniczający elementy kapitalistyczne i przyśpieszający marsz do socjalizmu podział dochodu narodowego.

P o p i ą t e, dlatego, że kierowaliśmy się w swojej praktycznej działalności zasadami marksizmu - leninizmu rozumiejąc, że leninizm stanowi uogólnienie doświadczenia rewolucyjnego ruchu we wszystkich krajach, a jego teoria i taktyka stanowi jedynie słuszną podstawę działalności proletariackich partii wszystkich krajów.

Dlatego, że rozumieliśmy, iż demokracja ludowa nie jest czymś zamkniętym i skończonym i rozwijać się, i umacniać może jedynie na drodze marszu do socjalizmu, ograniczając, wypierając i likwidując elementy kapitalistyczne.

Dlatego, że rozumieliśmy, że tak jak kapitalizm, nie bacząc na olbrzymią różnorodność jego konkretnych form, jest jeden w swojej treści we wszystkich krajach, tak i zasadniczo jeden jest socjalizm, wbrew kłamliwej socjaldemokratycznej legendzie o socjalizmie „wschodnim" i „zachodnim". Dlatego doświadczenie Związku Radzieckiego, pierwszego kraju, który zwycięsko zbudował socjalizm, ma znaczenie dla wszystkich krajów, a podstawowe i zasadnicze elementy zwycięskiego budownictwa socjalistycznego w Związku Radzieckim znajdują zastosowanie we wszystkich krajach walczących o zbudowanie socjalizmu. Dlatego wreszcie, że rozumieliśmy i stosowaliśmy w praktyce leninowską zasadę uwzględniania odrębności historycznego i ekonomicznego rozwoju i twórczo stosując tę za-

[1]) Odcinka.

sadę torowaliśmy naszą własną drogę rozwoju do socjalizmu, drogę będącą specyficzną formą zasadniczej drogi, określonej przez doświadczenie Związku Radzieckiego.

P o s z ó s t e, dlatego, że opieraliśmy się na twórczym wysiłku i energii mas ludowych, a przede wszystkim klasy robotniczej, że utrzymaliśmy ścisłą łączność z masami, że coraz konsekwentniej włączaliśmy szerokie masy ludowe do budownictwa gospodarczego, że coraz konsekwentniej i energiczniej wypalaliśmy i likwidowaliśmy te ogniwa i człony naszego aparatu państwowego i partyjnego, które oderwały się od mas, wyrodziły się, odeszły od walki z wrogiem klasowym i w ten czy inny sposób przeszły na jego pozycje.

Odnieśliśmy więc te wielkie zwycięstwa dzięki temu, że umacnialiśmy państwo demokracji ludowej, że rozszerzaliśmy stosunki ścisłej współpracy ze Związkiem Radzieckim, że stanowiliśmy nieodłączną część wielkiego, demokratycznego, antyimperialistycznego obozu, że odpieraliśmy twardo wszelkie próby podporządkowania nas imperializmowi amerykańskiemu, że zwalczaliśmy, ograniczaliśmy i wypieraliśmy elementy kapitalistyczne w marszu od Polski demokracji ludowej do Polski socjalistycznej, że opieraliśmy się w swojej działalności na wielkich zasadach marksizmu - leninizmu, że rozwijaliśmy i umacnialiśmy kontakt z masami, włączając je coraz konsekwentniej do wielkiego dzieła odbudowy i rozbudowy.

Opierając się na tych zasadach pójdziemy do nowych wielkich walk i nowych wielkich, historycznych zwycięstw.

## Współzawodnictwo podstawową metodą budowy socjalizmu

Hilary Minc — Z referatu na Kongresie Zjednoczenia Partii 18. XII. 1948.

Narodowy Plan Odbudowy stawiał na trzeci rok planu, tzn. na rok 1949, ambitne zadanie podniesienia produkcji o 26 proc. w stosunku do produkcji planowanej w roku 1948. Jak wiadomo jednak, dzięki pomyślnym warunkom atmosferycznym, lep-

szemu niż uprzednio zaopatrzeniu w surowce, a przede wszystkim dzięki potężnemu rozrostowi ruchu współzawodnictwa pracy, według przewidywanego wykonania plan produkcji przemysłowej w roku 1948 został wypełniony z nadwyżką 10 proc. W ten sposób postawione przez Plan Trzyletni abmitne zadanie podniesienia w 1949 r. produkcji o 26 proc. redukuje się do nieosiągalnego w warunkach kapitalistycznych, ale względnie skromnego, jak na nasze warunki, zadania podniesienia produkcji o 16 proc. [1]). Znaczna bowiem część zadań postawionych przez Plan Trzyletni dla roku 1949 została wykonana już w roku 1948.

Plan produkcji przemysłowej 1948 roku został przekroczony o 10 proc.

Dlaczego tak się stało?

Może dlatego, że plan źle obliczył możliwości wzrostu produkcji na podstawie wiadomych i uznanych danych o możliwych do zastosowania normach technicznych, o możliwościach wyzyskania maszyn, budynków fabrycznych, surowców, artykułów pomocniczych itd.?

Nie.

Plan te wszystkie możliwości wziął pod uwagę, uwzględnił je i obliczył poprawnie.

Cóż więc zaszło?

Zaszło to, że w grę wszedł w rozmiarach nieprzewidzianych nowy czynnik niedostatecznie uwzględniony przez plan. Tym czynnikiem stał się m a s o w y, p o t ę ż n y r u c h w s p ó ł z a w o d n i c t w a p r a c y. Zapoczątkowany przez nieodżałowanej pamięci towarzysza Pstrowskiego [2]) ruch współzawodnictwa pracy, który ogarnął najpierw dziesiątki i setki ludzi, szybko zaczął szerzyć się jak pożar, organizując w swych szeregach tysiące, dziesiątki tysięcy i setki tysięcy.

Nie rozporządzamy w tej chwili ścisłą liczbą współzawodników pracy. Ale nie sama liczba przodowników pracy decyduje

[1]) 26 — 10 = 16 procent

[2]) Górnika śląskiego

o zasięgu, wpływie i znaczeniu ruchu współzawodnictwa. O zasięgu i znaczeniu tego ruchu decyduje wpływ wywierany za pośrednictwem przodowników pracy przez ideę współzawodnictwa na całość klasy robotniczej.

Dziś w zasadzie nasze zakłady przemysłowe mają zdecydowane oblicze, dziś opinia zbiorowa załogi nie kształtuje się już przypadkowo i przez przypadkowych ludzi, dziś niemal w każdym zakładzie przemysłowym przemożny wpływ na zbiorową opinię załogi wywiera potężna idea współzawodnictwa, którą Polska Zjednoczona Partia poniosła w masy. Dziś przodownicy pracy, których nasza partia potrafiła pokazać całej klasie robotniczej w aureoli bohaterstwa, stanowią przodujący oddział klasy robotniczej i na terenie produkcyjnym swym przykładem i postawą prowadzą większość masy robotniczej za sobą.

Nie można przecenić olbrzymiego znaczenia tego zjawiska.

Dzięki czemu ruch współzawodnictwa pracy rozszerzył się u nas z tak wielką siłą? Dzięki czemu wywiera on tak przemożny i decydujący wpływ na całość klasy robotniczej?

Dzięki temu, że zlikwidowaliśmy u nas ustrój kapitalistyczny, dzięki temu, że nasz przemysł jest przemysłem socjalistycznym, nie znającym wyzysku człowieka przez człowieka.

> W ustroju kapitalistycznym — mówi tow. Stalin — praca ma prywatny, osobisty charakter. Wyrobiłeś więcej, dostaniesz więcej i żyj sobie, jak umiesz. Nikt cię nie zna i nie chce znać. Pracujesz na kapitalistów, ich wzbogacasz? A jakżeż ma być inaczej? Po to cię właśnie wynajęli, abyś wzbogacał wyzyskiwaczy. Nie zgadzasz się na to — marsz do szeregów bezrobotnych i wegetuj, jak umiesz — znajdziemy innych, bardziej ustępliwych. Dlatego też pracę ludzką niewysoko się ceni w ustroju kapitalistycznym [1]).

Jakże inaczej dzieje się u nas, w warunkach, kiedy zlikwidowano wyzysk kapitalistyczny w przemyśle. Teraz robotnik

---

[1]) *Zagadnienie leninizmu*, „Książka", str. 462, 1947.

pracuje nie dla eksploatatorów, lecz dla siebie, dla swojej klasy, dla społeczeństwa. Oto dlaczego sama myśl o ruchu współzawodnictwa pracy w ustroju kapitalistycznym jest z gruntu absurdalna. Oto dlaczego ruch współzawodnictwa pracy powstaje wszędzie tam, gdzie obalono kapitalistów, oto dlaczego powstał on i zwycięsko rozwija się u nas.

Jednakże sam fakt zniesienia wyzysku kapitalistycznego nie wystarczy dla wytłumaczenia źródeł powstania i wielkiego rozmachu ruchu współzawodnictwa. Przecież w 1945 i 1946 roku nie było już u nas w przemyśle wielkich kapitalistów, a jednak nie było również ruchu współzawodnictwa.

Dlaczego więc ruch współzawodnictwa powstał u nas dopiero w 1947 roku, a rozwinął się tak potężnie i masowo w 1948 r.?

Dlatego, że koniecznym warunkiem rozwoju ruchu współzawodnictwa było polepszenie sytuacji materialnej klasy robotniczej.

Właśnie dzięki stałemu i systematycznemu polepszaniu materialnych warunków klasy robotniczej, właśnie dzięki stałemu i systematycznemu wzrostowi płac realnych, właśnie dzięki codziennemu przekonywaniu się o zależności, jaka istnieje w naszych warunkach między lepszą pracą i wydajnością a zarobkiem, mógł powstać ten ruch, który decydująco wpływa dziś na całość naszej gospodarki i na całe życie naszego kraju.

Podstawowe znaczenie ruchu współzawodnictwa pracy polega na tym, że krzewi on, rozwija i rozszerza socjalistyczny stosunek do pracy i że w ten sposób współzawodnictwo pracy stało się u nas w Polsce podstawową metodą budownictwa socjalistycznego.

## Odbudowa Pafawagu

### Jerzy Pytlakowski: *Fundamenty*

Jerzy Pytlakowski, autor współczesnej powieści reportażowej pt. *Fundamenty*, z której fragmenty przytaczamy poniżej, sam charakteryzuje ją we wstępie w następujących słowach: „Niniejsza powieść jest historią czynów załogi Państwowej Fabryki Wagonów (w skróc. „Pafawag") we Wrocławiu

— fabryki, jednej z największych w Europie, w czasie wojny niemal doszczętnie zniszczonej, a po uwolnieniu Wrocławia w ciągu kilku miesięcy odbudowanej".

## I. Pierwsze chwile po wyzwoleniu

Podwórze fabryki wychodziło wprost na ulicę. Parkan uległ całkowitemu zniszczeniu. Tam, gdzie dawniej znajdowała się brama wjazdowa i wartownia, teraz czerniał lej po bombie, który właśnie wyrównywano. Po całej rozległej przestrzeni podwórza snuli się ludzie z łopatami, pchając wózki naładowane gruzem, dźwigając jakieś bale. Większość pawilonów była całkowicie zburzona. Cztery odbudowywano. Koło dwóch stały drewniane rusztowania i w tej chwili także pracowali murarze. Dwa inne odgruzowywano. Właśnie teraz podważano pręty, które wrosły w ziemię. Ta ruchliwość ludzka na tle ruin czyniła wrażenie czyjegoś masowego pogrzebu.

Ogrom zniszczeń... Można było sądzić, że przeszła tędy trąba powietrzna i dlatego budynki rozpadły się w gruzy bądź też zamieniły się w sterczące smutnie i nie wiadomo po co kikuty pojedynczych ścian. Pawilonów fabrycznych było dawniej kilkanaście i ani jeden nie ocalał. Te, nad których odbudową pracowano teraz, były tylko nikłą częścią całości gmachów rozsianych po obszernym placu. Wojnę przypominały leje od bomb i pocisków artyleryjskich, rozkopane miejsca, skąd usunięto już miny, i leżące tu i ówdzie hełmy niemieckie, nikomu niepotrzebne części umundurowania i łuski od kul.

Inżynier przypomniał sobie oglądane niegdyś hale wrocławskiego kolosa, gdy produkował on tysiąc pięćset wagonów miesięcznie.

— Tutaj robiono części i formy. Tam do osobówek. Montownia połykała je. Jak one szły! Wyjeżdżały na szynach wagony. Montownia pierwsza, druga, trzecia. Hale pomocnicze — stolarnia, biura, stołówki. Całe miasto czysto utrzymane, ruchliwe, huczące odgłosami pracy.

Przetarł oczy — sen prysnął.

## II. Powrót maszyn

Demontaż maszyn niemieckich w sowieckiej strefie okupacyjnej szedł pełną parą i należało się śpieszyć z odbiorem ekwiwalentu za maszyny wrocławskie [1]). Dlatego też, mimo że żaden z budynków nie był jeszcze gotów, postanowiono odebrać pierwszy transport. Na granicy polsko-niemieckiej transport dotąd prowadzony przez Rosjan mieli przejąć Polacy. W tym celu wysłano z fabryki specjalną ekipę robotniczą, która jednak w miasteczku pogranicznym długo musiała czekać na transport. Gdy wreszcie pewnej nocy upragniony pociąg nadszedł, wszyscy robotnicy rzucili się do wagonów.

Na odkrytych platformach czerniały zwaliska żelaza. Boczar wdrapał się na platformę i stojąc okrakiem nad balami żelaza zawołał:

— Rewolwerówka!

Inni odkrywali heblarki, części transmisji i szyny żelazne. Wodzili po nich rękami i chrypli od okrzyków. Zwoływali się, stwierdzali prawdomówność odkrywców, opisywali wady i zalety poszczególnych typów maszyn.

Do Wrocławia przyjechali rano. Z dworca skręcili na bocznicę, która miała ich doprowadzić pod samą fabrykę. Tym bocznym, od dawna nie używanym torem, pociąg kuśtykał pomaleńku, co chwila przystając. Wypadali na nasyp i oglądali spojenia szyn. „Można jechać dalej!" Skrzypiący tor, klekocące koła, ziemia pachnąca jesienią... Tak wjechali na teren fabryki, gdzie szeroko otworzyli oczy ze zdumienia. Czworobok z czerwonych cegieł pokrywano rusztowaniem. Krzyknęli wszyscy — ci z pociągu i ci z fabryki. Podczas deszczu układano na ziemi bale drzewa. Ktoś wołał: „Idźcie się przespać, zluzujemy was!". Nikt jednak się nie ruszył. Ciężkie pudła obrabiarek, wiertarek i urządzeń dźwigowych czekały na wyładunek. Deszcz padał. Inżynier otoczony technikami i majstrami biegał po hali, którą zbudowano w czasie ich nieobecności. Woda stała na ziemi. Inżynier wołał o dach. Tymczasem okrywano

[1]) Równowartościowych maszyn

brezentem ładunek jeszcze na wagonach. Stanęło na tym, że lewą, już gotową stronę dachu natychmiast pokryje się szkłem.

Tak więc w potokach wody poruszali się ludzie trzema odnogami. Jedni wznosili rusztowania, inni kryli szybami dach, inni staczali po balach maszyny. Nie wiedzieli, czy ciała ich pokryte są wilgocią potu, czy też dżdżu. Niektórym okrwawione ręce płukał deszcz. Drągi służące do podważania ciężkich, masywnych kadłubów obrabiarek, pękały. Przekleństwa unosiły się gęste jak mgła. Błoto przylepiało nogi do ziemi. Odczepiali je zawzięcie w rytmie wyrzucanego z płuc:

— Hej, ruu — u — up!

Później porozbierali się do pasa. Ich chude, muskularne ciała były napiętymi cięciwami łuków. Wielotonowe ciężary wrzynały się w drzewo. Podnosili je na żerdziach. Znów opadały. Wzięli się tak szybko do roboty, że inżynier zupełnie ochrypł, nim narzucił im jaki taki porządek. Polecił najpierw staczać urządzenia dźwigowe. Szyny spinały klamrami żelaza nowowzniesione mury. Na nich należało osadzić dźwig. Spawacze przystąpili do akcji. Błękitno-czerwone ognie błyskały zza załomu muru. Czarne przeciwsłoneczne okulary źle chroniły oczy od siły płomienia. Oślepieni, przyciskając czarne ręce do twarzy, odchodzili na bok. Zastępowali ich inni.

Wyładunek maszyn trwał bez przerwy trzy dni i trzy noce. Drugiego dnia już uruchomiony dźwig pozwolił zwiększyć tempo. Deszcz ciągle padał.

## III. W świetlicy robotniczej po wyprodukowaniu pierwszej węglarki

Przemawiał dyrektor Grabisz. Wydawał się mały, szczupły, bardzo młody i wcale nie dyrektorski. Mówił rzeczy doskonale znane ogółowi robotników, wielokrotnie poruszane na zebraniach i dyskutowane. Obrazował coś najzupełniej codziennego. Temu i owemu mogło się dotychczas zdawać, iż obecnie omawiane wydarzenie dotyczy tylko jego i jego najbliższych kolegów. Tymczasem te drobne pozornie sprawy doczekały się oświetlenia ze strony samego dyrektora, i to nie w grupie osób

ściśle zainteresowanych, lecz przed całą załogą. Dlatego właśnie słuchano prelegenta z uwagą, ba, z przejęciem.

Chodziło o wagon, o pierwszą wyprodukowaną w fabryce węglarkę. Ze słów Grabisza wynikało najdobitniej, że ta węglarka to właśnie wściekle ważna sprawa. Bo jak było najpierw? Wszyscy doskonale wiedzą. Gdy dyrektor wspomniał, od czego zaczęli, słuchacze patrzyli na siebie, uśmiechali się, a nawet szeptem wypowiadali uwagi. Gdy wyliczał te wszystkie nieprzeliczone trudności, które musieli pokonać, czuli się, jak zwycięscy generałowie na polu bitwy. Gdy później pokazał im — tak jakby sami go nie znali — stan obecny, nasycony już triumfem i jeszcze ciągle nie zadowalający, oddychali głęboko. Gdyby ktoś im powiedział, że jest dobrze, zdumieliby się, a nawet może zwymyślali owego przesadnego optymistę.

## IV. Tysiączny wagon

Fabryka teraz jakby rozkwitała. Wszystko tu było równie świeże i młode, jak zieleń trawy oraz liści krzewów i drzew. Drewniane, pomalowane na czerwono ogrodzenie wyodrębniało spośród zniszczonej przemysłowej dzielnicy fragment bogaty w barwy i porządek, ozdobiony nowowzniesionymi budynkami. Asfaltowa droga wiodąca do bramy wjazdowej, a przecinająca na dwie części cały podwórzec, rozwidlała się w inne aleje betonowe lub nieskazitelnie czysto wyżwirowane. Pasma dróg bieliły się wśród trawników ogrodzonych nisko gładkim drutem. Wśród jasnej, wiosennej trawy widniały łebki jeszcze nierozkwitłych kwiatów. Krzaki jaśminu i bzu niedawno posadzone, zaczynały się zielenić. Nie było widać ani jednego zbędnego kształtu, ani koloru. Ten zielony i prawie kwitnący porządek był absolutny i miły. Biały gmach stołówki wyglądał jak bogaty, przestronny dwór. Za to hale produkcyjne były czerwone. Tutaj panowała zdrowa barwa dobrze wypalonych cegieł. Szklane dachy montowni węglarek i remontowni osobówek oraz wozów tramwajowych błyszczały w słońcu. Czerwone ściany tych budynków kładły się długimi cieniami na trawnikach. Z niewidocznego wnętrza masywnych gmachów dobiegały odgłosy

chrapania maszyn i szczęku żelastwa. Dźwięk warkotu dźwigów mieszał się ze stukotem młotów. Hałaśliwa kuźnia wybiegała daleko naprzód dymem i kłębami pary. Wśród trawy, w głębi dziedzińca, na szynach lśniły w słońcu gotowe już węglarki. Kręcili się koło nich ludzie w roboczych kitlach. Byli to inżynierowie i technicy sprawdzający jakość wykonania wagonów.

— Jest ładnie. Ale w maju musimy wyprodukować przynajmniej czterysta pięćdziesiąt wagonów — mówił dyrektor. — Piątego czerwca tysiączny wagon będzie gotów.

**Dzieje przodownika pracy ze Związku Młodzieży Polskiej** — artykuł z *Pokolenia* nr 14, rok I — 1948.

Gdy Janek miał lat siedem, począł ojcu towarzyszyć w codziennych, uciążliwych, czterokilometrowych marszach do Pruszkowa. Ojciec szedł do fabryki, Janek do szkoły.

Potem była okupacja. Janek z trudnością ukończył siedem oddziałów szkoły powszechnej. I mimo że rodzice otaczali go szczególną opieką, musiał w końcu szukać sobie jakiejś pracy. Ojciec poszedł do partyzantki. Trzeba było samemu utrzymać dom.

Majster płacił po 25 zł tygodniowo. Zakład był mechaniczny, prywatny, tu miał Janek nauczyć się zawodu. Majster uważał, że z niego nic dobrego nigdy nie wyrośnie. Smarkacz śmiał bowiem domagać się często podwyżki i „bez pardonu" wszędzie skarżył się, że jest wyzyskiwany. Jedyne, co zyskał w okresie swego terminatorstwa, to to, że mógł się uczyć. Nauka jego rozpoczynała się wprawdzie dopiero późnym wieczorem, ukończył jednak 3-letnią Wieczorową Szkołę Zawodową jako jeden z najlepszych uczniów.

Od czasu do czasu otrzymywał wiadomość od ojca. Aż któregoś dnia rodzina W. dowiedziała się, że na pewno już w kraju nareszcie wszystko się odmieni. Będzie Polska niepodległa, zupełnie inna od tej, jaką Janek poznał w swoim dzieciństwie.

Janek W. dobrze zapamiętał ten historyczny dla niego dzień, w którym po raz pierwszy zgłosił się do fabryki „Stowa-

rzyszenia Mechaników". Fabryka była całkowicie zniszczona, hale zdewastowane. Robotnicy zgłaszali się do pracy z własnymi łopatami, młotkami i toporkami. Praca odbywała się tylko na placu. Odwalano gruz. Po dwu miesiącach przybył transport z Magdeburga. Do Pruszkowa wróciły zniszczone, zdemontowane przez okupanta szkielety niektórych maszyn.

Zawód tokarza Janek zamienił na szlifierkę. Robota ta po prostu bardziej mu się podobała. Otrzymał wyremontowaną maszynę w opiekę.

Janek przeczytał raz w gazecie, że w kraju rozpoczyna się Młodzieżowy Wyścig Pracy. Przeczytał, pomyślał i poważnie się nad tym zastanowił. Sam jednak nie odważył się zaproponować niczego dyrekcji, gdyż sądził, iż i tak mało kto będzie liczył się z tym, co on powie.

Wkrótce pojawiły się jednak w fabryce tabliczki przed warsztatem każdego z robotników. Ktoś był widocznie bardziej odważny.

Na zebraniach coraz więcej mówiono o współzawodnictwie i dopominano się jego wprowadzenia.

Luty 1948 roku. Jan osiągnął 187% normy, pierwszy jego rekord. Jak to się stało — nie umiał powiedzieć; nie potrafił na to dać odpowiedzi również wtedy, gdy w marcu wykonał 214% i w kwietniu 228%.

Tydzień przed pierwszym maja w fabryce odbyło się oficjalne zebranie młodzieży poświęcone współzawodnictwu pracy. W. usłyszał wtedy po raz pierwszy, na czym polega socjalistyczny stosunek do pracy i co oznacza właściwie współzawodnictwo.

Większość zebranej młodzieży zapisała się na listę tych, którzy będą brali udział w młodzieżowym współzawodnictwie pracy. Wśród nich był także zgłoszony Janek.

Wtedy miał już dokładny plan działania. Rzeczywiście. W sierpniu osiągnął 309% normy. Gdy pytano go, dzięki czemu tak dobrze pracuje, odpowiadał tylko: „czuję, iż cała produkcja, gdy dobrze idzie, jest także uzależniona ode mnie. Lu-

dzie i maszyny w fabryce to jeden powiązany łańcuch. Kiedy ja dobrze robię, zaczynają dobrze pracować inni robotnicy. Ostrzę wszelkiego rodzaju narzędzia do obróbki metalu. Oddaję je do wypożyczalni. Ostre narzędzia wędrują na warsztaty, a tam powstają obrabiarki".

Sekret jednak polegał jeszcze na czymś innym. Wydawało się, że jest to na pozór drobnostka. W czasie odpoczynku Janek znalazł kilka książek, dzięki którym przestudiował tajemnicę działania mechanicznych szlifierek — automatów. Dowiedział się, w jaki sposób można je naprawiać, jak unikać uszkodzeń.

We wrześniu po raz pierwszy nazwisko jego wypisane zostało na liście wyróżnionych przodowników. W listopadzie osiągnął 458% normy. Do domu przyniósł zarobionych — 37 800 złotych.

**Klub wynalazców —**
artykuł z *Trybuny Wolności* z 15 czerwca 1949 roku

„Myśl i ulepszaj — przyśpieszysz marsz ku socjalizmowi" — oto słowa, które widnieją na ścianie pierwszego w Polsce robotniczego Klubu Wynalazców i Racjonalizatorów przy hucie „Andrzej". Statut Klubu mówi o „zwiększeniu oszczędności na drodze rywalizacji, wynalazków i usprawnień, celem stworzenia podstaw pod budowę ustroju socjalistycznego". Mówi także, że klub „w dziedzinie wynalazczości stosować będzie prawidła pracy zespołowej".

Klub ten powstał w 1949 r. w dniu 15 marca. Od tego czasu członkowie jego mają piękny dorobek twórczej pracy. Rzeczywiście zastosowano przy niej zasadę zespołowości, technicy i inżynierowie pomagają robotnikom w opracowaniu dokumentacji technicznej, w wyliczeniach teoretycznych itp. Członkowie pomagają sobie wzajem, dzieląc się swymi obserwacjami i doświadczeniem.

Fakt istnienia Klubu Wynalazców ma wielkie znaczenie ze względu na umasowienie wynalazczości wśród robotników. Niejeden, który by zrezygnował z samotnej pracy nad ulepszeniem,

znajduje zachętę w pomocy kolegów; dowodzi tego fakt zgłoszenia przez czas istnienia klubu 20 razy więcej wniosków racjonalizatorskich niż w poprzednim okresie.

Nowością w Polsce jest planowanie wynalazczości poprzez ustalanie tematów racjonalizatorskich, przez dawanie robotnikom - wynalazcom określonych zadań do wykonania, określonych części czy zespołów do ulepszenia. Takie planowanie tematów odbywa się przez ogłaszanie konkursów dla członków klubu, przy czym na uwagę zasługuje fakt, iż podczas dyskutowania tematów konkursowych robotnicy wypowiadali się za podawaniem raczej trudniejszych tematów racjonalizatorskich, chociaż nie wszyscy mogli mieć odpowiednią wiedzę techniczną dla ich rozwiązania.

Współpraca inżynierów i techników z robotnikami - wynalazcami przyczynia się do zacieśnienia więzów pomiędzy inteligencją techniczną a masami robotniczymi.

**Sojusz robotniczo - chłopski stworzy nowy ustrój socjalistyczny**

Ustawa o reformie rolnej skończyła ze szlachetczyzną w Polsce i odsunęła obszarników od wpływu na sprawy wiejskie. Któż wchodzi na ich miejsce? Oczywiście chłopi — ale jacy? Znaleźli się na wsi ludzie bogaci, którzy dzięki większym działkom uprawianym z pomocą bezrolnych albo dzięki swemu sprytowi handlowemu umieli się wybić na stanowisko przodujące. Odgrywali decydującą rolę w radach gminnych, w Związku Samopomocy Chłopskiej, w spółdzielniach spożywców itp. To stanowisko wyzyskiwali dla swych osobistych interesów, np. dla siebie przede wszystkim kupowali nawozy sztuczne, wynajmowali traktory itp. Dlatego obecnie rzucone jest hasło walki z bogaczami wiejskimi, aby pomoc dla wsi ze strony państwa szła przede wszystkim dla bezrolnych i średniorolnych. Na nich ma się oprzeć nasz ustrój. Aby zwalczyć biedę chłopską, trzeba rozpowszechnić spółdzielczość wytwórców, żeby przy pomocy wspólnie nabytych maszyn rolniczych razem uprawiać ziemię, dzieląc potem sprawiedliwie plony.

Praca na wsi różni się od wytwórczości w mieście, gdzie wszystko robi się przy pomocy maszyn. Ale maszyny można sprowadzić i na wieś przez Samopomoc Chłopską. Można wieś zelektryfikować, korzystać z elektryczności dla maszyn i zamiast tonąć w ciemnościach, schodzić się, zwłaszcza w zimie, w świetlicy wiejskiej czytać i słuchać radia. Nie brak we wsi młodych chłopaków, którzy się interesują majsterką. Dawniej tacy marnowali się, jeśli nie poszli do miasta na zarobek. Teraz mogą pójść do szkoły zawodowej technicznej i służyć we wsi umiejętnością, którą w niej zdobyli. Poza tym w budowie Polski socjalistycznej robotnicy i chłopi muszą się łączyć i pomagać sobie.

Złączyły się już organizacje społeczne i kulturalne. Powstało jedno Towarzystwo Przyjaciół Dzieci z dawnych dwóch — robotniczego i chłopskiego. Powstało też jedno towarzystwo oświatowe, którego zadaniem jest dawać wskazówki i metody pracy kulturalnej i oświatowej dla wsi i miasta. Jest to Towarzystwo Uniwersytetów Robotniczych i Ludowych.

Fabryczne koła Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej nawiązują stosunki ze wsią, chłopi dostarczają swe produkty do fabryk po cenach urzędowych, a robotnicy przyjeżdżają na wieś, żeby reperować maszyny rolnicze. Chłopi podejmują ich w świetlicach wiejskich na zabawach, gdzie można się nasłuchać pieśni ludowych, natańczyć oberka i mazura i odetchnąć świeżym powietrzem. Ale i miejskie zespoły świetlicowe przyjeżdżają na wieś ze swymi przedstawieniami. Częste wyjazdy organizuje też Związek Młodzieży Polskiej. Przyjeżdżają nadto do miasta delegacje ze szkół wiejskich. Oto np. do szkoły RTPD w Łodzi przybywa trzydzieścioro dzieci ze wsi Modlicy, którą się szkoła miejska opiekuje. Dzieci oglądają wystawę książki urządzoną przez samorząd szkolny, a po obiedzie są na przedstawieniu ze śpiewem i tańcami. Dzieci z Łodzi jadą na wycieczkę przyrodniczą do Modlicy i przy sposobności z ciekawością zaglądają do szkoły. Tym sposobem wiąże się wieś z miastem. Wieś korzysta z dobrodziejstw cywilizacji, którą nam przyniosły koleje, samochody, i tym sposobem likwiduje się zapadłe kąty, gdzie lu-

dzie nic nie wiedzą o szerokim świecie, tylko, jak za dawnych czasów, upadają pod ciężarem pracy i nędzy. Reforma gospodarcza wsi, jej uprzemysłowienie, elektryfikacja i uspołecznienie mieszkańców zbliża chłopa do robotnika i staje się podstawą nowego ustroju socjalistycznego w naszej Polsce ludowej.

*W. Sz.*

## Zniesienie przywileju oświaty

Praca niewolników popędzanych batem i praca ludzi wolnych — to dwa rodzaje, dwa style życia. Dzisiejszy nowy styl, czyli sposób, życia oprzeć się musi na człowieku świadomym celu i zadań całego społeczeństwa, na człowieku, który sam chce podjąć trud wiodący do tego celu, który chce zająć odpowiednie dla siebie miejsce w planowym całokształcie prac stojących przed nami.

Miejsce to jednak nie jest tylko oczkiem w sieci najróżnorodniejszych warsztatów pracy. Planuje się całą budowę społeczną dla człowieka. On jest ostatecznym celem rozwoju ludzkości, on jest celem postępu.

Człowiek jako cel — to nić wiążąca wszystkie idee rewolucyjne, dla których walczą i giną tysiące. Szczęście człowieka to obraz — jeszcze daleki, lecz tkwiący we wszystkich postępowych ideologiach, dla których poświęcają się i pracują tysiące, tysiące ludzi.

Czymże jest szczęście człowieka w szczęśliwym społeczeństwie, jeśli nie sumą tego, co jednostka w życiu może poznać, stworzyć i ukochać, co z dóbr kulturalnych całej ludzkości może się stać jej prawem i zdobyczą?

Trzeba umieć cieszyć się życiem, ale też trzeba, żeby to życie coś człowiekowi dawało. Otóż w tym właśnie jest ogromna rozpiętość, są olbrzymie różnice między ludźmi. Każdy myśli, czuje, wzrusza się pięknem, lecz jakże inaczej myśli analfabeta niż uczony, dla którego myślenie i zdobywanie nowych prawd jest szczęściem. Jakaż przepaść leży między samolubnym zadowoleniem groszoroba z dobrze załatwionego in-

teresu a szczęściem ideowca, któremu się udało zdobyć przez organizację zawodową lepsze warunki nie tylko dla siebie, ale i dla towarzyszy. Jak inne zna piękno chłop zamknięty w swej wiosce, patrzący ciągle tylko na wschody i zachody słońca nad swym polem i łąką niż ten, który dzięki swej organizacji kulturalnej, zawodowej czy spółdzielczej poznaje nasze góry i morze, ogląda wystawy, uczy się patrzeć na piękne obrazy, rzeźby, poznaje teatr, słucha koncertów.

Zadaniem demokracji jest znieść okrutny przywilej oświaty, który istniał dotychczas — i przez bezpłatne szkoły powszechne dać wiadomości podstawowe wszystkim dzieciom robotników i chłopów, aby wyrosły na ludzi inteligentnych, tj. zdających sobie sprawę ze zjawisk przyrody, z cudów techniki, z tak bardzo dziś złożonych stosunków społecznych i politycznych. Nauka nie stoi w miejscu, dowiadujemy się ciągle o nowych wynalazkach, zmieniają się stosunki w społeczeństwie, między narodami i państwami.

Człowiek dorosły, który przeszedł przez szkołę, jeśli nie chce stać się bardzo prędko ciemnym, musi wejść do organizacji zawodowej, spółdzielczej, kulturalnej, politycznej i tam stykając się z ludźmi dopełniać swą wiedzę. Gdy tak zacznie żyć ogół obywateli w naszej Polsce demokratycznej, wtedy podniesiemy się jako naród na wyższy stopień kultury, powiększymy i pogłębimy szczęście obywateli.

Ale tego nie dosyć. Z mas robotniczych i chłopskich wyjść muszą dzięki upowszechnieniu szkoły ludzie nieprzeciętnie zdolni, może genialni, którzy dotychczas przepadali dla kraju, marnowali swe zdolności. Są oni potrzebni na stanowiskach kierowniczych w państwie i w zakładach pracy. Są potrzebni jako naukowcy, bo mogą zdobyć przez swe odkrycia i wynalazki nowe sposoby zużytkowania sił przyrody, podniesienia wydajności gleby i wydajności pracy ludzkiej, przedłużenia życia i zachowania zdrowia człowieka itp. Są potrzebni jako muzycy, malarze i inni artyści, aby dać ludziom chwile szczęścia, chwile rozkoszowania się pięknem.

Aby się tacy ludzie znaleźli, konieczny jest dostęp dla wszystkich do bezpłatnych szkół średnich i wyższych, do nauki uniwersyteckiej. Dlatego w Polsce zwycięskiej demokracji, w Polsce robotników, chłopów i inteligencji pracującej urządzane są kursy dające wstęp do uniwersytetów ludziom, którzy nie mogli zdobyć matury. Dlatego tworzy się bursy, stypendia, internaty, aby umożliwić utrzymanie i naukę tym, którzy jej pragną i wiedzą swą chcą służyć Ojczyźnie.

Po wojnie, która wyrwała spośród nas tysiące ludzi wartościowych i zdolnych, musimy jak najszybciej postawić armię pracowników walczących o lepsze jutro. Dlatego rząd sięga do robotników i chłopów, dając pomoc w nauce — by zdobyć ludzi najlepszych, najzdolniejszych, najwytrwalszych, najbardziej związanych z nowym ustrojem Polski.

Będą to nowi ludzie — wolni, twórczy i szczęśliwi tym szczęściem, które daje praca nie z musu, nie tylko dla zarobku, lecz z dobrej woli, powzięta ze zrozumieniem jej znaczenia dla całokształtu potrzeb narodu i państwa.

*W. Sz.*

**Twarde ręce**

Władysław Broniewski: *Krzyk ostateczny*

Miedź i żelazo, nafta i węgiel
z czarnych czeluści krzyczą o czyny:
— Niech nas zamieni w ludzką potęgę
ramię stalowe ludzkiej maszyny!

Niech nas zamieni w tłum parowozów
górnik i giser, ślusarz i monter,
drogi żelazne niech nas zawiozą
ziemiom dalekim za horyzontem!

Niechaj nam szybko rosną kominy
fabryk mnożących ludzką potęgę!
Twarde są ręce, twardsze maszyny! —
woła żelazo, nafta i węgiel.

— My pracujemy w trudzie i znoju —
mówią górnicy, tkacze, murarze —
ziemia surowa stanąć nam każe
co dzień do pracy, tak jak do boju.

My z nią walczymy młotem, oskardem,
aby jej wydrzeć skrzydła do lotu —
mądre są ręce nasze i twarde,
kiedy ujmują ster samolotu.

Ziemia jest twarda, twardsza niż ręce,
gwałtem bogactwa trzeba jej wydrzeć,
w trudzie i znoju, w trudzie i w męce,
ręką na młocie wspartą i świdrze.

Do nas należy ziemia ogromna,
nasze ją ręce ujmą, ażeby
na niej zbudować dom dla bezdomnych,
w domu tym radość dzielić jak chleby.

### Istota najemnictwa

Najemnictwo jest systemem, który opiera się na gospodarce pieniężnej przy udoskonalonej produkcji masowej. W Europie występuje ono w okresie kapitalizmu, gdy dzięki rewolucji francuskiej zwycięża zasada wolności osobistej wszystkich obywateli i równości wobec prawa. Przy systemie najemnictwa robotnik ma więc wolność osobistą, zależność występuje tu jako wyzysk proletariuszy nie mających środków produkcji i zmuszonych sprzedawać swą pracę jako towar właścicielowi narzędzi pracy, tj. fabrykantowi lub właścicielowi ziemskiemu, który produkty pracy zbiorowej przywłaszcza sobie i rozporządza nimi indywidualnie.

**I. Pod względem prawnym**

1) Władza pracodawcy nad robotnikiem jest ograniczona przez dobrowol-

ną umowę obu stron, z których każda może zawsze stosunek najmu rozwiązać. Robotnik może rzucić pracę, a pracodawca usunąć robotnika. Przewaga gospodarcza pracodawcy sprawia jednak, że umowa, teoretycznie dwustronna, w daleko większym stopniu wiąże robotnika niż pracodawcę. Po wiekowej walce klasy robotniczej zmienia się charakter umowy tak, że obowiązuje ona już bardziej pracodawcę, zwłaszcza w wielkim przemyśle. W drodze walki proletariat zdobywa w niektórych krajach prawo do umowy zbiorowej obowiązującej w stosunku do wszystkich przedsiębiorców i robotników danej gałęzi pracy.

2) Poza godzinami pracy robotnik jest wolnym człowiekiem i zasadniczo może rozporządzać swoim czasem, jak mu się podoba. Pracodawca nie ma prawa mieszać się do jego życia prywatnego.

3) Pracodawca poza opłatą należną za pracę nie ma żadnych obowiązków względem robotnika w początkowym okresie kapitalizmu. W wyniku walki zjawiają się ubezpieczenia społeczne.

4) W wyniku walki proletariat zdobywa zasadnicze prawa demokratyczne, które pozwalają mu przeciwstawić się skutecznie zorganizowanej potędze kapitału. Są to prawo strajku i prawo zrzeszania się (organizowania związków zawodowych, spółdzielni i partii politycznych).

**II. Pod względem gospodarczym**

1) Pracodawca obowiązany jest do regularnego wypłacania zarobków robotnikowi, co się wpisuje do książeczki robotniczej.

2) Robotnik musi pracować możliwie intensywnie nie tracąc czasu, powinien szanować dobro fabryczne, nie wolno mu go sobie przywłaszczać i stąd dopuszczalna jest rewizja osobista przy wychodzeniu robotnika z fabryki.

### III. Fazy rozwojowe najemnictwa

Stosunek pracodawcy do robotnika jest różny w różnych okresach rozwoju kapitalizmu. Nie występuje to równocześnie w całej Europie, bo nie wszędzie w tym samym czasie zjawiają się warunki odpowiednie do rozwoju przemysłu i handlu. Tak np. w Anglii przemysł rozwija się znacznie wcześniej niż w Polsce.

Fazy najemnictwa w ustroju kapitalistycznym są następujące:

I. Praca przymusowa w okresie wczesnego kapitalizmu — od odkrycia Ameryki (1492) do wielkiej rewolucji francuskiej i odpowiadającej jej mniej więcej w czasie rewolucji przemysłowej w Anglii w końcu XVIII wieku.

W okresie tym kapitalizm jest silnie związany z feudalizmem, chociaż go zwalcza. Rozwija się pod opieką państwa, które go potrzebuje, aby się przekształcić w państwo nowoczesne. Stosunek pracodawców do robotników zachowuje jeszcze wtedy cechy stosunku pana do poddanego. Często stosuje się przymus pracy.

II. Okres nieograniczonego liberalizmu — od końca XVIII wieku do wiosny ludów w połowie XIX wieku.

Wielka rewolucja wyzwala burżuazję z pęt feudalizmu, poddanym daje wolność, lecz nie chroni ich od głodu i bezrobocia. Stosunek przedsiębiorcy do robotnika jest w tym okresie wyzyskiem niczym nie skrępowanym, opartym na zdobytej przez burżuazję wolności gospodarczej i politycznej.

III. Okres początków nowoczesnego ruchu robotniczego i walk o ochronę i warunki pracy — od połowy XIX wieku do I wielkiej wojny światowej i wielkiej rewolucji rosyjskiej.

W okresie tym państwo pod wpływem naporu organizującej się klasy robotniczej ogranicza swobodę umowy między pracodawcą i robotnikiem przez prawa ochrony pracy.

IV. Okres ograniczania praw i swobód robotniczych w dobie kapitalizmu monopolistycznego i faszyzmu.

Proces organizowania się kapitalistów w trusty, koncerny, syndykaty itp. dochodzi w tym okresie do najwyższego napięcia i prowadzi do całkowitej monopolizacji rynku przez wielki kapitał w skali światowej. Krótkotrwałe kryzysy gospodarcze okresu poprzedniego przekształcają się w wielki kryzys ustroju kapitalistycznego. Bezrobocie staje się chroniczne, co osłabia siły organizacji robotniczych. Faszyzm tam, gdzie zdołał dojść do władzy, znosi wszystkie prawa zdobyte w ciągu wiekowej walki przez robotników, zarówno polityczne, jak i gospodarcze.

Wyzysk kapitalistyczny przenosi się na wieś, obejmuje robotników rolnych, ciąży nad małorolnymi i stwarza tzw. sprawę rolną, której rozwiązania szuka się w reformie rolnej i odebraniu obszarnikom ziemi. Wspólny wróg, kapitalizm, zmusza całą ludność pracującą — robotników, chłopów i inteligentów, do wspólnej walki rewolucyjnej.

Zwycięska rewolucja rosyjska (1917) wysuwa na plan pierwszy prawa człowieka pracy. Rewolucja październikowa obala okres wyzysku pracy najemnej i zapoczątkowuje okres budowy socjalizmu, oparty na gospodarce planowej i na pracy dla zaspokojenia potrzeb ludności pracującej, a nie dla zysku kapitalistów.

*J. K.*

## SPIS TREŚCI


Najemnictwo — Str.

Wolny najmita — Maria Konopnicka . . . . . 4

Wczesny kapitalizm

Walka miast z systemem feudalnym — M. Beer (według książki *Historia powszechna socjalizmu i walk społecznych)* . 7

Owce pożerają ludzi — F. G. Łoziński (z książki *Historia pracy w związku ze zmianami w życiu gospodarczym Europy zachodniej)* . . . . . 8

Praca przymusowa w zaraniu kapitalizmu — E. Abramowski (z książki *Feudalizm*, w skróc.) . . . . . 10

Manufaktura — N. Assorodobraj ( z książki *Początki klasy robotniczej*, w skróc.) . . . . . 14

Rękodzielnia szlachecko-pańska w Polsce — ks. prof. A. Wójcicki (z książki *Dzieje robotników przemysłowych w Polsce)* 21

Babeuf i sprawa robotnicza w czasie wielkiej rewolucji — Ilia Erenburg (z książki *Sprzysiężenie równych)* . . 24

Dzieci ofiarą rodzącego się przemysłu angielskiego—B. Russel (z dzieła *Wiek XIX*, t. I) . . . . . 30

Luddyści (burzyciele maszyn) — M. Beer (według książki *Historia powszechna socjalizmu i walk społecznych)* . . 33

Kapitalizm liberalny i utopie społeczne

Socjalizm utopijny — A. Szaff (wyjątek z artykułu *Socjalizm utopijny i naukowy*, w skróc.) . . . . . 36

Robert Owen — F. Engels (z książki *Rozwój socjalizmu od utopii do nauki*, w skróc.) . . . . . 38

Pionierzy roczdalscy — L. Krzywicki (z książki *Stowarzyszenia spożywcze*, w skróc.) . . . . . 42

Wiosna ludów 1848 roku — N. Gąsiorowska (z książki *Wiosna ludów 1848 r.*) . . . . . 45
Wrażenia człowieka z ludu w dniu ogłoszenia Rządu Tymczasowego — Erckmann - Chatrian (z pow. *Historia człowieka z ludu*) . . . . . 47
Społeczna rewolucja czerwcowa we Francji w r. 1848 — Natalia Gąsiorowska (z książki *Wiosna ludów*) . . . 48
Socjalizm — Adam Mickiewicz (wyjątek z artykułu w *Trybunie Ludów*) . . . . . 51

## Początki nowoczesnego ruchu robotniczego

Manifest Komunistyczny Karola Marksa i Fryderyka Engelsa — J. K. . . . . 53
Manifest Komunistyczny (w wyjątkach) . . . . . 54
Marks i Engels — dwaj przyjaciele — W. I. Lenin (z art. napisanego w 1895 r. po śmierci Engelsa) . . . . 61
Komuna paryska — J. K. . . . . 67
Komuna — W. Broniewski (wyjątki z poematu *Komuna*) . 70
Początki socjalizmu w Polsce — A. Dębski (z broszury *Krwawe zajście w mleczarni Henneberga w roku 1884*) . . 75
Elegia o śmierci Ludwika Waryńskiego — Wł. Broniewski (wiersz ze zbioru *Troska i pieśń*) . . . . . 77
Czerwona Łódź się budzi—A. Próchnik (z książki *Idee i ludzie*) 80
Fabryka w oczach dziecka — P. Hulka - Laskowski (z pamiętnika *Mój Żyrardów*) . . . . . 85
Fabryka cygar — S. Żeromski (z powieści *Ludzie bezdomni*) 87
Praca dzieci w Żyrardowie we wspomnieniach robotników — P. Hulka - Laskowski (z pamiętnika *Mój Żyrardów*) . . 91
Szkoła dla bogatych — S. Żeromski (z powieści *Syzyfowe prace*) . . . . . 92
Gazeciarz w r. 1905 — B. Ostrowska (z powieści *Książka jutra, czyli tajemnica geniusza drukarni*) . . . . . 98
W Łodzi w roku 1905 — A. Strug (z powieści *Dzieje jednego pocisku*) . . . . . 101
Stefan Okrzeja — G. Daniłowski (z książki *Bandyci z PPS* w skróc.) . . . . . 105

## Kapitalizm monopolistyczny, imperializm i faszyzm

Imperializm — W. Lenin (z broszury pod tym samym tytułem) 112
Hymn pokoju — J. Wittlin (wiersz ze zbioru *Hymny*) . . 116
Faszyzm i hitleryzm — St. Ehrlich (z broszury *Istota faszyzmu*) 117
Międzywojenna reorganizacja i racjonalizacja produkcji — P. Hulka - Laskowski (z pamiętnika *Mój Żyrardów*) . . . 121

Terminatorzy w fabryce żyrardowskiej — P. Hulka-Laskowski (z pamiętnika *Mój Żyrardów*) . . . . . 124
Wysługa lat — J. Kaden-Bandrowski (z powieści *Lenora*, z cyklu *Czarne skrzydła*) . . . . . 127
Bezrobocie w okresie kryzysu kapitalizmu (z pracy zbiorowej *Gospodarka — polityka — taktyka — organizacja socjalizmu* pod red. O. Langego) . . . . . 130
Anka — W. Wasilewska (z pow. *Oblicze dnia*) . . . . 134
W drewniaku u bezrobotnych — H. Boguszewska (z książki *Ci ludzie*) . . . . . 136
Lokaut — E. Szymański (wiersz ze zbioru *20 milionów*) . . 140
Chleb — Wanda Wasilewska (z pow. *Oblicze dnia*) . . . 142
Zagłębie Dąbrowskie — Wł. Broniewski (wiersz ze zbioru *Troska i pieśń*) . . . . . 144
Strajk — J. Brzoza (z pow. *Budowali gmach*) . . . . . 146
Strajk polski — H. Krahelska (z książki *Strajk polski*, w skróc.) . . . . . 156
Nędza wsi w czasie kryzysu — W. Sz. . . . . 157
Bandos — M. Konopnicka (z cyklu poezji *Na fujarce*) . . 158
Komornicy w Chłodku — S. Żeromski (z pow. *Przedwiośnie*) 160
Szkoła na marginesie życia — W. Wasilewska (z pow. *Ziemia w jarzmie*) . . . . . 161

## Pod okupacją hitlerowską

W szkole pod niemiecką okupacją — L. Zajączkowska (z pow. *Rozbite gniazdo*) . . . . . 166
Miasto śmierci — L. Hirszfeld (z pamiętnika *Historia jednego życia*) . . . . . 172
Polskie klasy pracujące w czasie okupacji i na progu niepodległości — K. Wyka (z artykułu *Gospodarka wyłączona*) 177

## Rewolucja proletariacka i początki nowego ustroju

Dwie rewolucje — W. Sz. . . . . 183
Czego dokonała rewolucja w Rosji — W. Lenin (wyjątek z Pism) . . . . . 185
Fabryka musi iść — F. Gładkow (z pow. *Cement*) . . . 186
Życie fabryki w Związku Radzieckim przed wojną — E. M. Gaertner (reportaż *Świat twardych ludzi*) . . . . 190
Płomień życia — A. Andrejw (art. z *Pokolenia*, nr 23, rok II, 1949) . . . . . 193

## W niepodległej Polsce demokracji ludowej


Manifest Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego (w wyjątkach) . . . . . 199
Wolność i rewolucja — J. Cyrankiewicz (wyjątek z artykułu) 201
17 stycznia — L. Lewin . . . . . 202
Podstawy gospodarczo-społeczne nowego ustroju Polski — Wł. Sz. . . . . 203
Plan i produkcja węgla — J. Kott (z broszury *Węgiel*) . . 206
Śląsk śpiewa — J. Tuwim . . . . . 208
Sprawa wykształcenia robotników przemysłowych — J. K. 209
Dwie linie rozwoju — Hilary Minc . . . . . 211
Współzawodnictwo podstawową metodą budowy socjalizmu — Hilary Minc . . . . . 216
Odbudowa Pafawagu — Jerzy Pytlakowski (z pow. *Fundamenty*) 219
Dzieje przodownika pracy w Związku Młodzieży Polskiej — (artykuł z *Pokolenia* nr 14, rok I, 1948) . . . . 224
Klub wynalazców — (artykuł z *Trybuny Wolności*, czerwiec 1949) . . . . . 226
Sojusz robotniczo-chłopski stworzy nowy ustrój socjalistyczny — W. Sz. . . . . 227
Zniesienie przywileju oświaty — W. Sz. . . . . 229
Twarde ręce — Wł. Broniewski (wiersz ze zbioru *Krzyk ostateczny*) . . . . . 231
Istota najemnictwa — J. K. . . . . 232



BIBLIOTEKA NARODOWA

Biblioteka Wojsk. Akad. Polit.

Cena zł 140

BIBLIOTEKA NAUKOWA
WAP
4653/2